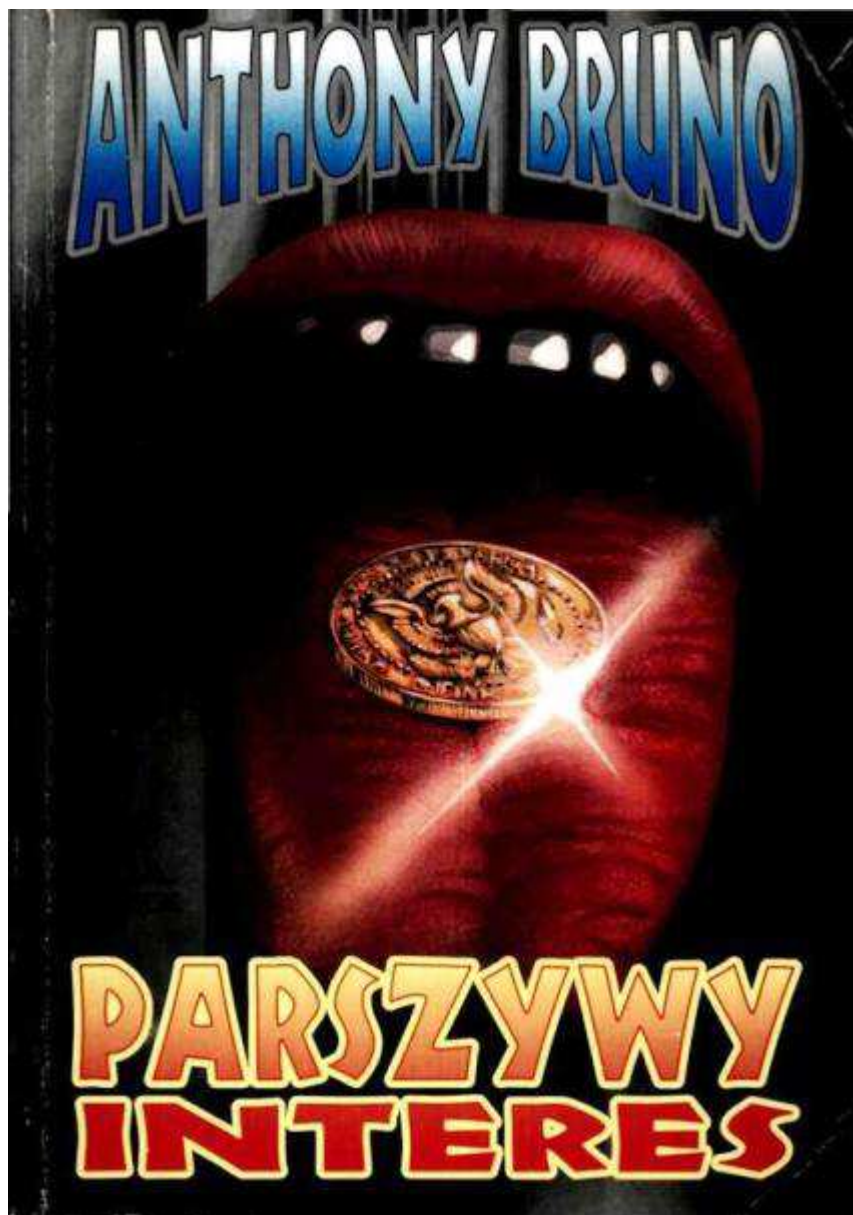


**ANTHONY BRUNO**

**PARSZYWY  
INTERES**





# ANTHONY BRUNO

**Nowy amerykański twórca powieści sensacyjno-kryminalnych, przez krytyków nazwany już mistrzem gatunku.**

Po skończeniu studiów historycznych, w czasie których specjalizował się w problematyce średniowiecznej, przez wiele lat pracował w nowojorskich wydawnictwach jako redaktor. Zajmował się też archiwizowaniem starodruków. Bruno wydał w 1988 roku powieść **Parszywe typy**, która zapoczątkowała całą serię: **Parszywe układy** (1989), **Parszywe szczęście** (1990), **Parszywy interes** (1991), **Parszywy księżyc** (1992) oraz zapowiadane na wiosnę 1994 roku **Parszywe jabłko**. Książki te łączą postacie dwóch głównych bohaterów, agentów FBI: Gibbonsa i Tozziego, niestrudzenie walczących z mafią oraz z rozpanoszoną korupcją i bezprawiem.

*Wartka akcja, wiarygodność psychologiczna postaci, żywe, dosadne dialogi przedstawicieli świata przestępczego i policyjnego, dużo krwi, ale i dużo humoru, to zalety utworów Bruna, wyróżniających się na rynku wydawniczym oryginalnością.*

## PARSZYWY INTERES

**Ambitny prokurator, Tony Augustine, pragnie zostać burmistrzem Nowego Jorku, nie ma jednak dość pieniędzy, by ten cel osiągnąć. Decyduje się więc ofiarować swoje usługi mafii, której kilku członków znalazło się w kłopotach. W zamian za ochronę, którą Augustine zapewni oskarżonym handlarzom narkotyków, mafia sfinansuje kampanię wyborczą prokuratora. Na trop tego układu wpadają Gibbons i Tozzi - przyparty do muru Augustine chce za wszelką cenę zniszczyć obu agentów ...**

CENA: 49.000,-

ISBN 83-7082-365-3

ANTHONY BRUNO

PARSZYWY  
INTERES

przełożył Robert Sudół



Tytuł oryginału BAD BUSINESS

Projekt okładki i stron tytułowych

MAREK ZADWORNÝ

Redaktor

DANUTA BORUC

Redaktor techniczny

ANNA WARDZAŁA

Copyright © 1991 by Anthony Bruno

For the Polish edition Copyright © 1994

by Wydawnictwo Amber Sp. z O.O.

ISBN 83-7082-365-3

Wydawnictwo Amber Sp. z O.O.

Warszawa 1994. Wydanie I

Druk: „DROGOWIEC” Sp. z O.O.

Kielce, ul. Sienna 2

*Książkę tę dedykuję moim Rodzicom*

# PROLOG

*Sycylia, 1989*

Jesteś pewien, że nie pomyliliśmy drogi? – Siedzący na tylnym siedzeniu Tom Augustine nachylił się do przodu i popatrzył na rozgrzaną, zakurzoną drogę. – Jedziemy i jedziemy bez końca.

Vincent Giordano prawie położył się na kierownicy, jakby myślał, że z nosem przyciśniętym do szyby zobaczy coś więcej.

– Właśnie, Nemo. Według mnie to nie było aż tak daleko.

Nemo odkręcił szybę i przytknięciem wyrzucił niedopałek.

– Ej, Vin, wyluzuj się i jedź, dobra? Kurde, nie wiedziałem, że z was takie nerwusy. Jak będziecie się tak przejmować, to wam serduszka wysiądą.

Odwrócił się do Augustine'a i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Co, nerwy puszczają?

Augustine popatrzył na nieznośnego kurdupla i na tę jego obrzydliwą koszulę w kście żółtych, rogalikowatych bumerangów na jednolitym czarnym tle. Lata pięćdziesiąte jak żywe. Czarna koszulka, którą miał pod spodem, pochodziła z jakiejś siłowni w Brooklynie, zwanej „U Jimba”.

– Nie – odparł – nie puszczają.

Silnik zajęczał, kiedy Giordano wrzucił niższy bieg, żeby podjechać pod wzniesienie.

Nemo uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wetknął w usta kolejnego papierosa i zapalił go jaskrawozieloną plastikową zapalniczką.

– Pamiętaj, Augustine, jak masz się spotkać z ważniakami, to musisz trzymać nerwy na wodzy, bo inaczej oni pomyślą, żeś gówno wart, i powiedzą ci, żebyś spierdalał. Ale ty to chyba wiesz, co? Przecież codziennie masz do czynienia z różnymi fiszami, nie? A może to dlatego przegrałeś w zeszłym roku prawybory z tym brudasem Rodriguezem? Wszystkie fisze głosowały na niego. Pewnie wiedział, jak się w ich obecności zachowywać. I teraz on jest kongresmanem, a ty ciągle robisz w prokuraturze. Szlag cię pewnie trafia, co?

Augustine nie odpowiedział. Rodriguez wygrał, bo jest Latynosem. Ścigali się we trzech: dwóch białych, obaj od centrum na prawo, i latynoski liberał. Ponieważ głosy konserwatystów zostały podzielone pomiędzy dwóch kandydatów, wygrał przedstawiciel mniejszości. Tak to było. Ten śniady skurwiel miał szczęście, nic więcej. Tak to było.

Wyjrzał przez okno starego mercedesa na wypalone słońcem brązowe wzgórze, za którymi w oddali cicho kopciała Etna. Samochód przyjmował każdą dziurę w jezdni jako osobistą zniewagę; co chwila jęczał żałośnie. Podskakiwanie na wybojach nie robiło natomiast najmniejszego wrażenia na Nemo: siedział wygodnie i rozkoszował się papierosami. Był zadowolonym z siebie kurduplem; miał metr pięćdziesiąt pięć na tych swoich kubańskich platformach – najwyraźniej nie chciał wyglądać na prawdziwego karła. Ale – trzeba przyznać – miał stalowe mięśnie. Był fanatykiem kultury rystyki i szczyił się tym. Podnoszenie ciężarów – typowe zajęcie mikrusów. Tak się wyrobił, że został mafiosem, pełnoprawnym członkiem La Cosa Nostra. Urósł przez to. Zgodnie z etykietą mafii miał swoją rangę. Był jej *entrée*. No i dobrze. Niech mu tam. Augustine wiedział, kto jest naprawdę ważny. Nemo i Giordano także wiedzieli, kto w tej grze rozdaje karty. On. Ale w tej chwili marzył tylko o tym, żeby przestała go boleć głowa. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, było to cholerne łupanie w czasie.

Augustine patrzył, jak Nemo powoli podnosi papierosa do grubych ust. Zaciekało go, dlaczego mikrus nie rozpina i nie podwija rękawów koszuli. Co za spiekota! Takie cwaniaczki mają wprowadzić swój własny, osobliwy styl, ale Augustine zaczął podejrzewać, że kryje się za tym coś więcej. Zastanawiał się, czy przypadkiem ten karzeł nie bierze dożylnie steroidów i

nie ukrywa pod długimi rękawami śladów po igle. A może to nie steroidy, może szprycuje się czymś innym? Coś zbyt często wyciera nos. I emanuje z niego to ciepłe samozadowolenie, które Augustine widywał u narkomanów. Może Nemo bierze heroinę? To możliwe. Ale podobno w mafii épanie jest surowo *verboten*. A jeśli jednak? I gdyby tamci się o tym dowiedzieli? Jaki by to miało wpływ na sprawy? A na jego sytuację? Boże drogi!

Giordano natomiast wyglądał tak, jakby potrzebował działki. Pot lał się z niego strumieniami, a ten jego okropny garnitur był dopasowany jak zbroja. Czy on naprawdę myśli, że popchnie sprawy do przodu dzięki temu, że wystroi się jak na rozdanie matur? Był taki śmiertelnie poważny. Drobnym urzędniczym poza swoim królestwem ołówków i formularzy, księgowy z wielkimi planami, ale bez ikry. I ta jego woda kolońska – rzygać się chciało. Facet wygadał żałośnie. Ile miał lat – trzydzieści pięć, trzydzieści sześć? – a zachowywał się jak stremowany student na letniej praktyce. Boże, przecież to właśnie on wpadł na ten genialny pomysł. Powinien okazać więcej opanowania. Jeśli będzie taki rozklejony podczas spotkania, tamci mogą się nie zgodzić. Dobry Boże, jak można było przyłączyć się do tych dwóch? Trzeba było ruszyć samemu prosto do tych na górze. Może by go wysłuchali. Ci dwaj na pewno spartaczą całą robotę.

– No i co myślisz, Augustine? – Nemo znowu wyszczerzył zęby w uśmiechu ponad oparciem fotela.

– A o czym?

Nemo się roześmiał, a raczej zasyczał.

– To właśnie mi się podoba w takich facetach jak ty. Zawsze spoko, żeby nie wiem co.

Augustine poruszył brwiami.

– A jacy są ci faceci?

Nemo zaciągnął się papierosem i znów zasyczał.

– Dobra, dobra. Wiesz, o czym gadam. Nie jesteś byle kim, tak jak my, Vin i ja. Jesteś stary szmal. Założę się, że twoja rodzina przypląnęła „Mayflowerem” \*.

\* Okręt, którym w 1620 roku przypląnęli do Ameryki pielgrzymi z Plymouth. Potomkowie tych osadników uważani są za arystokrację Stanów Zjednoczonych – przyp. tłum.



– Raczej nie.  
– Dobra, ale daję głowę, że chodziłeś do prywatnej szkoły. A potem Harvard, co? Mam rację?

– Yale, nie Harvard. Prawo na Yale.

– No i co, nie mówiłem? To widać po twoich ciuchach. Bawełniane polo i spodnie khaki. Zadajesz szyku. Bo widzisz, kiedy ja założę khaki, to wyglądam, jakbym miał kopać rów. A faceci tacy jak ty noszą takie spodnie i wyglądają, jakby zaraz mieli grać w polo albo coś w tym rodzaju.  
– Wskazał nagle za okno. – Dobra, Vin, zwolnij. To tu.

Księgowy nacisnął hamulec; Augustine'em targnęło do przodu. Na lewo, w miejscu, które pokazał Nemo, zaczynała się polna droga. Strzegąca wjazdu obskurna żelazna brama była otwarta.

– Skręć tu – powiedział mikrus.

Giordano wcisnął pedał gazu i samochód skoczył do przodu.

– Jedź do samego końca.

Kiedy przejechali przez wąską bramę, tumany kurzu pokryły szyby. Droga przed nimi była wyboista i stroma i Giordano musiał dwa razy zmieniać biegi, żeby poradzić sobie z pochyłościami. Pola po obu stronach oznaczone były rzędami winorośli oplatających tyczki.

Kiedy pokonywali drugie wzgórze, tłumik mercedesa uderzył o ziemię. Giordano zaklął pod nosem. Pięćdziesiąt metrów dalej droga urywała się pośrodku malowniczego gospodarstwa z małym domkiem z kamienia po prawej stronie, nowoczesnym magazynem o zgniózielonych metalowych ścianach po lewej i – cofniętą odrobinę w głąb – naruszoną zębem czasu drewnianą stodołą między nimi. W jej cieniu stała zaparkowana miniaturowa, trójkołowa włoska wersja pikapa. Pod domkiem czekał mercedes 420, roczny albo może dwuletni, jak sądził Augustine. On też miał w Nowym Jorku czterystadwudziestkę, ale nową.

Nemo wskazał pikapa.

– Podjedź tam – powiedział. Zgniółł papierosa w popielniczce. Giordano zatrzymał samochód, wyrzucił na luz i zgasił silnik. Nemo wyjął klucz ze stacyjki i włożył go do kieszeni spodni. – Zostańcie tu. Powiem wam, kiedy macie wsiąść.

– Chciałbym rozprostować nogi – odezwał się Augustine.

– Trudno, musisz poczekać. – Nemo otworzył drzwi i wysiadł.  
Mały skurwiel.

Giordano obrócił się w fotelu, odprowadzając Nemo wzrokiem.

– Myślisz, że pójda na to?

Augustine nie odpowiedział. Coraz bardziej bolała go głowa.

Nemo był już na środku podwórka, kiedy otworzyły się drzwi domku i młody mężczyzna z czarnymi kędzierzawymi włosami najpierw wystawił głowę, a potem wyszedł na ganek. W dłoni trzymał broń – potężny, niebieskawo pistolet automatyczny z rodzaju tych, co to mają duże magazynki. Jego drugi, ważniejszy kutas.

Po chwili pojawił się jeszcze jeden człowiek. Niski i krępy, łysy, z kilkoma kosmykami włosów przyklejonymi w poprzek glacy, o głęboko osadzonych oczach, pulchnych policzkach i zaraźliwym uśmiechu. Miał na sobie białą rozpiętą u góry koszulę i spodnie od garnituru, rażąco nie pasujące do miejsca, w którym się znajdował.

– To szef Nemo – szepnął Giordano niemal z czcią. – Ugo Salamandra. – Znów obgryzał paznokcie, choć obrobił je już do żywego mięsa.

Augustine kołysał nogą, przyglądając się w milczeniu mężczyźnie, o którym tyle słyszał. Facet wyglądał jak świnka z kreskówki.

Nemo naradzał się ze swoim szefem przez kilka minut, po czym odwrócił się i zamachał do nich.

Giordano klepnął Augustine'a w ramię.

– Idziemy, wołają nas.

Wyskoczył z samochodu i, wygładzając krawat, poszedł w kierunku mężczyzn. Augustine się nie śpieszył. Przeciągnął się, pokręcił parę razy głową dla relaksu i dopiero wtedy ruszył w kierunku stojących. Tak jak mówił Nemo, spokojnie, nerwy na wodzy. Podchodząc usłyszał, jak Nemo przedstawia Salamandrę Giordana:

– Vina już pan zna. Spotkaliście się w tym mieszkaniu w Queens. Pamięta pan? A to jest Tom Augustine, prawnik na rządowej posadce.

Augustine zerknął na Salamandrę, żeby dać mu do zrozumienia, że nie jest zadowolony z prezentacji Nemo.

– Zastępca prokuratora do spraw narkotyków na terenie południowego Nowego Jorku. Cieszę się, że mogę pana poznać, panie Salamandra – powiedział i wyciągnął dłoń.

Salamandra nawet na nią nie spojrział. Uśmiechnął się i skinął głową sam do siebie.

Nemo strącił rękę Toma na dół.

– To nie jest podmiejski klub – powiedział.

Augustine uniósł brew i popatrzył na niego. Wyraźnie czuł na ręce miejsce, którego Nemo przed chwilą dotknął.

Salamandra wciąż uśmiechnięty jak idiota, założył ręce na piersi. Miał wyjątkowo jowialne oblicze, przypominające pysk uszczęśliwionego goryla. Augustine uznał, że u mañosa to bardzo niepokojąca cecha.

– Jak się panu podoba *Sicilia*, panie Augustine? – spytał Włoch. – Miło tu, co? – Miał tak komiczny akcent, że można było podejrzewać, iż się wygłupia.

– Bardzo mi się tu podoba. Doskonały klimat.

– Doskonały do czego? – Uśmiech Salamandry nabrał złowrogiego wyrazu.

Augustine zaśmiał się krótko, żeby nie urazić faceta. Ci ludzie są pewnie cholernie wrażliwi.

Nemo najwyraźniej czuł się nieswojo.

– Słuchajcie – wtrącił – może byśmy...

Nemo urwał, bo w tej właśnie chwili spostrzegł nadchodzącego od strony winnicy mężczyznę. Był to mały staruszek w roboczym ubraniu, niosący w złożonych dłoniach kiść winogron. Trzymał ją tak delikatnie, jakby to był nowo narodzony kotek. Mocno opalony, twarz cała w zmarszczkach. Szedł ku nim powoli, wpatrzony w winogrona, które odrywał po kolei palcami, wkładał do ust i smakował w najwyższym skupieniu. Augustine zerknął na ganek. Facet o wełnistej czuprynie stał na baczność.

Staruszek zatrzymał się w odległości około trzech metrów od nich. Wypluł skórkę na ziemię i spojrział na Salamandrę. Miał przenikliwe, niemal czarne, głęboko osadzone oczy. Salamandra podszedł do niego i zaczął mówić cicho w niezrozumiałym sycylijskim dialekcie. Staruszek kiwał powoli głową, kiedy grubas szeptał mu coś do ucha. Augustine stał zbity z tropu. A więc to jest Emilio Zucchetti? Słynny *capo di capi* mafii sycylijskiej, człowiek handlujący ciężarówkami heroiny, baron narkotykowy, który od niemal dziesięciu lat spędza władzom na trzech kontynentach sen z powiek? Dobry Boże!

Salamandra skinął na Nemo; karzeł natychmiast stanął przed szefem. Augustine zastanawiał się, o czym rozmawiają. Bał się nawet snuć domysły.

Kiedy Nemo skończył swój monolog, staruszek znów wypluł skórkę winogrona, spojrzął na Giordana, a potem na Salamandrę. Zmarszczył czoło i pokręcił głową.

Salamandra popatrzył na Nemo, wzruszył ramionami i też pokręcił głową.

– *Ma perchè?* Ale dlaczego? Nie rozumiem. To dobry układ.

– On mówi „nie” – odparł stanowczo Salamandra. – „Nie” znaczy „nie”.

Augustine poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. W prawą skroń wwiercał mu się powoli świder. Znów ten cholerny ból głowy. Cholera, karzeł ma rację. To dobry układ. Przyniósłby dużo pieniędzy. Pieniądzy, których on, Augustine, bardzo potrzebuje.

– Spytaj go, dlaczego według niego to zły układ – powiedział. – Spytaj go, jak moglibyśmy dobić targu. Powiedz mu, że jesteśmy gotowi do negocjacji.

Pozostali patrzyli na niego jak na kosmitę. Nie wolno mu rozmawiać bezpośrednio z szefem szefów – to wbrew mafijnej etykietce. Co tam, niech ją cholera.

Zucchetti włożył kolejne winogrono do ust, przetoczył je po języku, zgniótł i wypluł skórkę.

– Nie ma targ – powiedział do kiści trzymanej na dłoni. Wskazał na Salamandrę. – Ja ufam Ugo. – Wskazał na Nemo. – Ugo ufa Nemo. – Wskazał na Giordana. – Nemo ufa księgowi. – Podniósł oczy na Augustine'a. – Ale nikt nie może ufać prawnik. Bardzo zły plan.

– Pan się myli, panie Zucchetti. To bardzo dobry plan.

– Zamknij się, Augustine. To nie koło dyskusyjne – wtrącił ostro Nemo.

Zucchetti wypluł skórkę.

– Au-guus-tiin – wymówił powoli nazwisko. – Tak jak święty Augustyn? Bardzo mądry człowiek, święty Augustyn. Myślę, ty też mądry człowiek.

– No... chyba tak.

– Więc rozumiesz łańcuch, święty Augustyn. Jedno ogniwo złe,

cały łańcuch śmieć. Ty mówisz łańcuch dobry, ale ja widzę dwa ogniwo złe. – Zucchetti wskazał na Giordana i na niego. – Dwa ogniwo: księgowi i święty Augustyn.

– A to czemu? Dlaczego my jesteśmy słabymi ogniwami?

Nemo zrobił się siny z wściekłości.

– Kurwa mać, powiedziałem ci, żebyś zamknął japę! Ty tutaj tylko słuchasz!

Zucchetti podniósł rękę i uciszył go.

– Powiem ci, dlaczego łańcuch niedobry. Posłuchaj. Księgowi? Żadne doświadczenie. Mój interes to nie rachunki, nie biuro. Mój interes na ulicy. A księgowi nie mają doświadczenie na ulicy, one siedzą w biuro. No to nie nadaje się do mój interes.

Giordano wyglądał jak kapiąca świeca: był chorobliwie biały i rozpuszczał się w piekielnym skwarze.

Augustine wziął głęboki oddech i zebrał się w sobie.

– A co ma pan do zarzucenia mnie?

Po twarzy staruszka przebiegł chytry uśmiech.

– Ty nie Sycylijczyk. Ty nie jesteś w moja rodzina. Policjant cię złapać, ty wszystko śpiewać. *Znasz omertà!*

– Tak, wiem, co to *omertà*.

– No co?

– To... – Augustine się zawahał nie wiedząc, czy w rozmowie z tymi ludźmi może użyć słowa „mafia” – to zasada przestrzegania tajemnicy w waszej organizacji.

– Tak, moja zasada, ale nie twoja. Ty nie masz do mnie zobowiązanie. Dlatego ja ci nie ufam. – Staruszek obrócił się na piecie i ruszył leniwym krokiem przed siebie.

– Panie Zucchetti, mogę pana zapewnić – krzyknął szybko za nim Augustine – że nikomu nie powiedziałem o tym przedsięwzięciu. Żadnemu z moich doradców ani nawet żonie. Zawsze uważałem, że w ważnych sprawach należy działać w pojedynkę – podniósł głos – bo dzisiejszy zausznik może się jutro okazać zdrajcą.

Staruszek przystanął i spojrzął na niego przez ramię.

– *Bravo*, święty Augustyn. Pięknie mówisz, jak Szekspir. Piękne słowa... tylko gówno warte. Bajubaju.

Nemo i Salamandra rzucali Augustine'owi wściekłe spojrzenia, jakby dokonał niewybaczalnej zniewagi.

– Panie Zucchetti, niech pan mnie wysłucha.

Staruszek przechylił do tyłu głowę i posłał mu chytry uśmiech.

– No to mów, święty Augustyn. Słucham cię. Powiedz mi dobra bajeczka.

– Jestem w pełni świadom, proszę pana, że ma pan na tym polu znacznie większe doświadczenie ode mnie. Na podstawie różnych, dotyczących narkotyków spraw, które prowadziłem, wiem, że główne zarysy naszego planu nie są szczególnie nowatorskie. Giordano nawiązał w Kolumbii ścisłe kontakty z łącznikiem, który będzie mu sprzedawał czystą kokainę. Nemo będzie ją przywoził tutaj. W zamian za kokainę weźmie heroinę i przemyci ją do Stanów. Nic w tym nowego. Wprawdzie specjalnie wykonane orientalne dywany z ukrytą w środku plastikową warstwą to dla mnie nowość, ale mówiąc szczerze, nie wygląda mi to na milowy krok w rozwoju technik przemysłowych. Nemo dostarczy heroinę panu Salamandrze, który rozprowadzi ją w sieci zakładów fryzjerskich i salonów piękności, gdzie zostanie sprzedana w detalu. Zyski popłyną z powrotem do Giordana, który wypierze pieniądze i włoży je do banków szwajcarskich. Nic w tym nowego. To całkiem standardowe rozwiązanie w pana fachu. Czy nie jest tak, panie Zucchetti?

Nemo się zjeżył.

– Ej, Augustine, ty myślisz, kurwa, że do kogo mówisz?

– *Aspett'!* – Zucchetti zgromił wzrokiem karła. – Mów dalej, święty Augustyn.

Augustine nabrał powietrza. Świder nadał rozwiercał mu czaszkę.

– Jediną nową rzeczą w tym planie jest mój udział. Jestem dla was gwarantem, polisą ubezpieczeniową. Główne transakcje będą dokonywane w Nowym Jorku, a to moja jurysdykcja. Jeśli zdarzy się, że ktoś z naszych ludzi zostanie zatrzymany przez policję czy pracowników innych instytucji federalnych, sprawa będzie musiała trafić na moje biurko, a ja wtedy oddalę ją z braku wystarczających dowodów. Nawet jeśli ktoś zostanie aresztowany, mogę zagwarantować, że nigdy nie zobaczy, jak wygląda więzienie od środka. Gwarantuję panu, że spokojnie będzie pan mógł prowadzić swoje interesy.

Zucchetti, zadumany, skinął głową.

– A co się stanie, jak policja łapie Nemo z pięćdziesiąt kilo *heroína!*

Jak ty możesz zrobić, że tyle narkotyk jest „brak wystarczających dowodów”? Jak? Czary?

– Mam nadzieję, że Nemo będzie na tyle ostrożny, że nie da się złapać z taką ilością towaru. Ale przyjmijmy, że tak się stało. W takim wypadku sprawa trafiłaby do sądu i musiałbym ją przegrać.

– I możesz to zrobić?

– Tak, mogę. W amerykańskim systemie sądowniczym jest wiele pułapek i kruczków. Bardzo łatwo jest popełnić mały techniczny błąd, który obróci wniwecz całe oskarżenie. Nie ma z tym problemu.

– A ile to kosztuje, żeby święty pracował w mój interes?

Augustine wyprostował ramiona i odchylił głowę.

– Tyle, ile będzie potrzeba, żebym został burmistrzem Nowego Jorku. Jakieś czternaście milionów na kampanię, tak to oceniam. Jeśli się nad tym zastanowić, nie jest to zbyt wygórowana cena za posiadanie przyjaciela w ratuszu miejskim.

Staruszek patrzył mu w twarz. Ani śladu przebiegłego uśmiešku. Spojrzał na Salamandrę i skinął na niego. Ruszyli razem ku winnicy. Zucchetti odrzucił winogrona i założył ręce do tyłu. Szedł ze wzrokiem utkwionym w odległą Etnę, wsłuchany w to, co jego gruby doradca szepcze mu do ucha.

Świder w głowie Augustine'a zwiększył obroty.

Nemo pienieł się z wściekłości.

– Kurwa, mówiłem ci, żebyś się zamknął! Głuchy jesteś?! Teraz wszystko przepadło. Możesz się z tym pożegnać.

Giordano był w stanie szoku. Stał z wytrzeszczonymi oczami, z obwisłą dolną wargą. Wyglądał, jakby się znalazł o północy na cmentarzu. Był sparaliżowany strachem. Jak wszyscy księgowi, znał się na liczbach, ale nie na ludziach, a z ludźmi trudniej dochodzi się do ładu niż z liczbami. Gdybyż było inaczej!

Salamandra przywołał Nemo. Rozmawiali o czymś gorączkowo. Staruszek milczał i słuchał. Augustine domyślił się, że grubas chce gwarancji, a mikrus pośpiesznie składa zapewnienia. Skończyli naradę uroczystym kiwaniem głowami. Wówczas sprawa została formalnie jeszcze raz przedstawiona Zucchettiemu, który przypatrywał się obu doradcom w milczeniu. Augustine zacisnął dłonie. I wtedy Zucchetti skinął głową. Raz.

Nemo obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku stodoły.

– Chodźcie. Obaj.

Augustine zmarszczył brwi, ale usłuchał i wszedł do środka, mając za plecami Giordana. Za nimi pojawili się Zucchetti i Salamandra. Wewnątrz było chłodno, gdzieniegdzie promienie słońca oświetlały posypane słomą klepisko. Śmierdziało pod samo niebo.

– Gdzie? – spytał Nemo. – Tam?

– Tam – odparł Salamandra. – W tamtej.

Nemo podszedł do przegrody, którą wskazał grubas, i odgarnął koc zakrywający wejście. Jedyne światło, jakie oświetlało wnętrze, dochodziło ze szpar i spoin w drewnianych ścianach. Kiedy oczy Augustine'a oswoiły się z półmrokiem, ku swojemu zdumieniu ujrzał jakąś postać siedzącą pod ścianą. Był to mężczyzna przywiązany do krzesła, z rękami spętanymi do tyłu, w przepoconym ubraniu. Na głowę założono mu kaptur z czarnej tkaniny, obklejony taśmą wokół szyi. Wyczuwszy, że ktoś wszedł, więzień zaczął coś gorączkowo mruzczyć i szarpać głową. Najwyraźniej miał zakneblowane usta.

Salamandra stanął za nim. W rękę trzymał kawałek brudnego sznura.

– Pan Zucchetti jeszcze raz rozważycie twój pomysł. Uważa, że może da się zrobić. Pod warunek, że ti udowodnisz mu, że może ci ufać. On musi wiedzieć, że twoja lojalność jest jak stal, że nigdy być nie złamana. Musi też wiedzieć, że masz wystarczająco dużo ikry, by pracować w naszym interes. – Rzucił sznur Augustine'owi, który pochwycił go, jakby łapał grzechotnika.

– Nie rozumiem – powiedział Augustine. Obrócił się ku Nemo. – O co tu chodzi?

– Słyszałeś kiedyś o włoskiej sztuczce ze sznurem? Teraz się jej nauczysz. Ty też, Vin. – Nemo wziął sznur z rąk Augustine'a i okręcił go dwa razy wokół szyi zakapturzonego mężczyzny. Więzień zaczął rzucać się jak ryba na haczyku. – Macie, ty bierzesz jeden koniec, a ty drugi. Kiedy powiem „jazda”, musicie tylko pociągnąć.

Giordano się nie ruszył. Augustine też nie.

Z wejścia do przegrody rozległ się kostyczny śmiech staruszka.

– Widzicie? Mówiłem, bez jaj.



Augustine spojrział na Zucchettiego.

– Kto to jest?

– To urzędnik magistratu z Palermo. Głupi, młody człowiek, który myśleć, że może być ważniak, prześladować mafia. Tak jak ti, Augustine – odparł Salamandra.

Prokurator patrzył przez chwilę na czarny kaptur, próbując wyobrazić sobie ukrytą pod nim twarz. Ma popełnić morderstwo, żeby udowodnić, iż jest oddany ich sprawie. Tego chcą. To typowa mafijna inicjacja, poddanie próbie, jaka czeka wszystkich, którzy mają zostać mafiosami. Czytał o tym, ale nigdy nie myślał, że sam będzie... I nagle przypomniał sobie o wyścigu do fotela burmistrza. Przypomniał też sobie, że ubieganie się o urząd publiczny jest dla niego praktycznie jedynym wyjściem, ponieważ jego szef dał jasno do zrozumienia, że nie zamierza pisać się wyżej i ustąpić mu miejsca. Była jeszcze możliwość prywatnej adwokatury, ale wszystkie firmy, które mógłby wziąć pod uwagę, prowadzone były przez ojców założycieli, którzy rządili nimi jak mandaryni. Jedyną drogą kariery, jaka mu pozostała, była więc polityka. Ale żeby wspiąć się po tej drabinie, potrzebował pieniędzy, mnóstwo pieniędzy. Spojrzął Zucchettiemu prosto w oczy.

– Moja cena... Czy będzie problem z zapłatą?

I znów Salamandra odparł za starego szefa:

– Żaden problem. Tanio.

Augustine wstrzymał oddech: świder nagle ruszył jak oszalały, nacierając na czaszkę z całej siły. Wziął koniec sznura i owiął go wokół dłoni.

– Dobrze, doskonale. – Spojrzął na Giordana. – Jestem gotów.

Giordano zowu wyglądał, jakby się znalazł w nocy na cmentarzu.

Stał bez ruchu, zagubiony i przerażony. W bezwładnych dłoniach trzymał swój koniec sznura.

Augustine zmrużył oczy pod wpływem bólu głowy.

– Owiń go wokół ręki – mruknął pod nosem. – Jakbyśmy się bawili w przeciąganie liny. Jeden na jednego. Przecież bawiłeś się w to w dzieciństwie, co?

– Taaak... jasne – wybełkotał Giordano.

– No właśnie, więc do roboty.

– Co?

Augustine'owi pot ściekał po twarzy.

– No przecież chcesz tego, nie? Przecież wyraźnie przedstawili swoje warunki. Chcą, żebyśmy pokazali, ile jesteśmy wari, zanim nas w to włączy.

– Tak... tak, wiem.

Świder nacierał na najwyższych obrotach, ból stawał się nie do zniesienia.

– Posłuchaj, Giordano. Po prostu trzymaj mocno swój koniec, nie puszczaj. Ja zajmę się resztą.

Walcząc z łupaniem w czaszce, Augustine zebrał się w sobie, chwycił mocno za sznur i przygotował się. Urzędnik bełkotał coś dziko, próbował wrzeszczeć przez knebel. Trzeba to zrobić szybko, bez wahania, skutecznie. Augustine spojrział na Nemo. Był gotów.

– *Aspett'*. – Staruszek wskazał na urzędnika. – Czy on ma dzieci? – spytał Salamandrę.

Grubas pokręcił głową.

– Nie ma nawet żony, tylko narzeczoną.

– Dalej. – Zucchetti skinął głową.

– Jazda, wykonać – powiedział Nemo.

Augustine ugiął kolana, odchylił się do tyłu i pociągnął, ale Giordano stał z luźnym sznurem w dłoni jak jakiś nedorozwinięty matole. Szarpnął mocniej. Krzesło przechyliło się w jego stronę i omal nie przewróciło razem z ofiarą.

– No dalej, cholera, ciągnij!

Im mocniej Augustine się natężał, tym zacieklej urzędnik walczył o życie. Rzęził i miotał się, próbując zerwać więzy.

– Niech cię cholera, Giordano! Gdzie się podziały twoje marzenia? Mówiłeś, że chcesz być milionerem! Wszystko miałeś zaplanowane i co teraz? Już nie chcesz?

– Widzicie? – prychnął staruszek. – Bez jaj.

Jowialny grubas nachmurzył się groźnie.

Oczy Nemo gorzały.

– Jeśli spierdolisz to teraz, Vin, to już nigdy nic nie zrobisz z żadną rodziną. Nigdy, przenigdy. Pamiętaj, to ja cię tu przywiozłem. Nie zawieźdź mnie.

Augustine wciąż ścisnął sznur, czekając, aż Giordano da znak życia. Czaszka zgrzytała pod napierającym świdrem. Z powodu tego bezkręgowca szansa zostania następnym burmistrzem Nowego Jorku wymykała mu się z rąk.

– Zrób krok do tyłu, Giordano, to nie potrwa dłużej niż minutę. To wszystko. Tylko tyle dzieli cię od pieniędzy, o których mi opowiadałeś. No dalej, pociągnij!

Giordano budził się powoli. Wciąż miał głupią minę, ale owinął sznur wokół dłoni. Wyraźnie brał się w garść.

Augustine jeszcze raz chwycił mocno swój koniec i pociągnął, ale niestety wkład Giordana był minimalny. Spojrzał na pozostałych: na drwiące oczekiwanie malujące się na twarzy Nemo, na zadufany sceptycyzm bijący z oblicza Zucchettiego<sup>1</sup>, na niechęć czającą się w uśmiechu Salamandry. Wiedział, że musi to zrobić sam, tak jak zawsze. Przycisnął łokcie do klatki piersiowej i starał się nie myśleć o tym jako o morderstwie. W końcu kim był ten człowiek? Dla niego tylko kolejnym makaroniarzem. Pomyślał o kampusie w Yale, o najszcześniejszym okresie swego życia, o wioślowaniu w osadzie, o wyścigach na rzece. Zaczął pracować plecami, tak jak to robił na regatach, gdy ciągnął mocno i jednostajnie, zmuszając leniwych skurczybyków do podobnego wysiłku.

Ugiął mocniej kolana i zaparł się, szarpnął z całej siły, ale Giordano nie trzymał sznura wystarczająco mocno. Krzesło się przechyliło i zakapturzony mężczyzna runął bokiem na brudną słomę. Rzucił się, miotał – wielka ryba na pokładzie, usiłująca wskoczyć z powrotem do wody, walcząca o życie. Nie, tej rybie nie można pozwolić uciec. Nie puszczaj, Giordano, nie puszczaj. Przynajmniej udawaj, że pomagasz.

Augustine oparł dla równowagi stopę o ramię urzędnika i odchylił się całym ciałem do tyłu. Zrobić dobrze, znaczyło zrobić samemu. Mięśnie karku mu się napięły, kiedy tak ciągnął nieprzerwanie, z uporem, mocno. Nie popuścić ani na chwilę, ani na chwilę, dopóki rżenie nie ustanie. Wreszcie zamaskowana głowa opadła na bok – martwy ciężar w czarnej torbie.

Wstrząśnięty Giordano wpatrywał się w niego wytrzeszczonymi oczami. Wciąż znajdował się na cmentarzu.

Augustine spojrzął na ciało. Świder stanął, ból powoli mijał. Zrobił to. Naprawdę to zrobił. Uśmiechnął się półgębkiem. To nie było takie trudne.

– No, no – odezwał się Nemo z mieszaniną zazdrości i podziwu w głosie. – Nie myślałem, że was na to stać.

– Zdejmij mu kaptur – polecił stary szef. Nemo pochylił się, zdarł taśmę i ściągnął kaptur. Zucchetti podszedł i kopnął krzesło tak, że martwy urzędnik leżał teraz na plecach, twarzą do góry.

– Spójrzcie na niego – powiedział. – Wszyscy.

Twarz ofiary była sina i wykrzywiona, spuchnięty język zwisał między wargami, oczy były na wpół otwarte, źrenice lekko ściągnięte ku sobie.

Staruszek popatrzył kolejno po pozostałych.

– To jest śmierć – rzekł. – Nie zawiedźcie mnie.

Augustine wziął głęboki oddech i, patrząc na umarłego, wytarł czoło chusteczką.

Nie ma obawy. Nie zawiodę.

# 1.

## *Manhattan, dwa lata później*

**A**gent specjalny FBI Cuthbert Gibbons stał w przejściu, z płaszczem przerzuconym przez ramię, i rozglądał się dokoła. Czuł znajomy zapach sali sądowej: świeżo nasączone tuszem poduszki do pieczęci, zatemperowane ołówki, mokra wełna, zbyt dużo wody kolońskiej, kurz, amoniak, mnóstwo arogancji i szczypta strachu. Adwokaci obrony siedzieli za długimi stołami, z głowami wetkniętymi w otwarte nesesery. Podsądni wałęsali się w małych grupkach, szepcząc coś do siebie, rzucając spojrzenia na boki, sprawdzając, w co ubrali się dziś inni. Zespół prokuratorski skupił się wokół swego stołu; odprasowane, klasyczne garnitury i bystre oczy – absolwenci uniwerku. Ława przysięgłych straszyla pustką; wszyscy trzymali się od niej z daleka, nawet ci, którzy czuli się w sądzie jak u siebie domu.

Gibbons przeniósł spojrzenie na świadków oskarżenia – agentów FBI i DEA, tajniaków z NYPD, techników inwigilacji – którzy siedzieli w pierwszych dwóch rzędach ław dla publiczności. Wyglądali jak sfora niespokojnych psów podwórzowych w kościele. Najparszywszy w całej tej psiarni był kolega Gibbonsa, Mike Tozzi, który siedział na skraju pierwszego rzędu, czytając „Post”. Posiedzenie się jeszcze nie zaczęło, a ten już wyglądał na znudzonego. Gibbons ruszył ku niemu zastanawiając się, na ile jego kumpel jest podobny do psa – postawa owczarka, mordą dorodnego ogara, ciemne, głęboko, trochę zbyt blisko siebie, osadzone ślepia jak u rottweilera. Ujmujący kundel o bystrym spojrzeniu i złym podejściu do roboty.

– Posuń się, Tozzi.

Tozzi zerknął i obnażył zęby.

– Mówi się dzień dobry – warknął.

Gibbons przerzucił płaszcz przez oparcie ławy i usiadł.

– Co ci jest? Gdzie bożonarodzeniowy entuzjazm? Lepiej sprawuj się dobrze, bo Mikołaj nie przyniesie ci prezentu.

– Pierdolę Mikołaja. Chcę stąd iść.

Gibbons posłał mu krokodyli uśmiech.

– Nie wyrażaj się. Jeśli powiem twojej kuzynce, że byłeś niegrzeczny, nic ci nie włoży do skarpety.

– Ona jest twoją żoną, nie moją. Ty idź i włóż jej coś w pończochę.

– No, no, ale dziś jesteśmy kaśliwi.

– A co w tym dziwnego? Tygodniami tu siedzę i czekam na złożenie zeznań. Wolałbym być z powrotem na ulicy.

Gibbons pokręcił głową.

– No i widzisz? O to mi właśnie chodzi. Masz złe podejście. Ty myślisz, że bycie agentem polega na zabawie przez cały dzień w policjantów i złodziei. Myślisz, że jak aresztujesz kogoś, to już koniec. A to właśnie dopiero początek, mój przyjacielu. Trzeba postawić skurwiela przed sądem i wsadzić do pudła. Powinieneś wiedzieć, że właśnie w ten sposób działa system prawny w tym kraju. – Gibbons uwielbiał wkurzać Tozziego.

Tozzi złożył gazetę na pół.

– I ty to nazywasz systemem? Tu nie ma żadnego systemu. Ten proces to kupa gówna i ty o tym wiesz.

– A od kiedy to znasz się na prawie?

– Daj spokój, dobra? To wszystko to jakiś koszmar. Kto, u Boga Ojca, słyszał, żeby postawić przed sądem w jednym procesie dziewiętnastu oskarżonych? Męczą się z tym już siedem miesięcy i prokurator nie przedstawił jeszcze nawet połowy dowodów.

– No więc na co się skarżysz? Ty siedzisz tu dopiero dwa tygodnie.

– Skarżę się, bo to wszystko to gówno. Przepytyują tu jakichś fryzjerów i detalistów z Iowy razem z mafijnymi fiszami. To nie ma sensu.

Gibbons pokręcił głową.

– To sprawa prokuratury, Toz. Próbuje im udowodnić przestępczość zorganizowaną.

– Pieprzenie. Cała ta sprawa to kupa gówna. Ci z DEA mieli cynk o transporcie czterdziestu kilogramów heroiny – osiemdziesiąt milionów dolarów! – ale prokurator nie mógł się doczekać. Musiał mu nieźle stanąć, bo pośpieszyli się z tą robotą, jakby następnego dnia miał nastąpić koniec świata. I co? Muszą ich sądzić na podstawie poszlak. Żadnych poważnych dowodów, żadnej dużej dostawy. Żadnej heroiny, tylko szczypta koki, którą wyciągnęli odkurzaczem z jakiejś ciężarówki. Z taką ilością nie można nawet udowodnić zażywania, a co dopiero handlu. Taśmy – tylko to im zostało. Setki godzin nagrań i tysiące zdjęć gości wysiadających u fryzjerów. Dużo mogą tym udowodnić. – Tozzi był wyraźnie zdegustowany.

– Niech prokuratorzy się o to martwią. Twoja rola polega na złożeniu zeznań, powiedzeniu im, co widziałeś i słyszałeś. To wszystko.

– Nieprawda! – Tozzi obrócił się ku niemu i ciągnął burkliwym tonem: – Moja rola polega na łapaniu tych skurwieli, aby można ich było wsadzić. Powiniennem mieć tyle luzu, by doprowadzić dochodzenie do końca i nie pozwolić się zatrzymać w połowie drogi przez bandę gównianych prawników, którzy chcą udowodnić, że potrafią sprytnie stosować prawo i dlatego chcą doprowadzić do skazania bez dowodów. Dla nich to tylko gra, a dla mnie nie. My odwalamy brudną robotę, a oni się bawią w jakieś gierki. A kiedy przegrywają, to nas za to winią.

Tozzi zerknął na jasnowłosą panią mecenas z zespołu obrońców.

– Znowu to robisz, Toz.

– Co?

– Gapisz się na tę Halloran.

– Wcale nie.

Gibbons wyszczerzył zęby w uśmiechu i pokręcił głową.

– Wiesz, czytam w tobie jak w otwartej księdze. Od dwóch tygodni masz wisielczy humor, bo Halloran nie poświęciła ci ani minuty swego cennego czasu. – Gibbons wskazał kciukiem obiekt zainteresowania Tozziego.

Lesley Halloran była blondynką o delikatnych rysach i ruchliwych ramionach. Widząc ją w tej chwili, nikt by się chyba nie domyślił, że podczas przesłuchiwania świadków przystojna pani mecenas przeistacza się we wściekłą sukę o języku jak brzytwa i oczach jastrzębia szukającego żeru.

Była dość niska, ale jak na niewysoką kobietę miała ładne nogi. Bardzo ładne. A Tozzi zwracał uwagę na nogi.

– Nie wiesz nawet, o czym mówisz, Gib. Mam w dupie Lesley Hallo-  
ran.

Gibbons znów się uśmiechnął. Tozziego zdradzała jego mina. Kiedy tylko padało to nazwisko, w jego oczach natychmiast malował się ból i żal. Trwało to zaledwie parę sekund, ale Gibbonsowi wystarczało. Widział wyraźnie.

– Nie wiem, Gib, dlaczego ciągle o niej głędzisz. Czemu miałaby mi się podobać? Broni Ugo Salamandry, jebanego Cyrulika Sewilskiego. Jak więc mogłaby mi się podobać?

Gibbons wysunął dolną wargę i wzruszył ramionami.

– No to co, że go bronisz? Co ma piernik do wiatraka?

– Salamandra jest największym łotrem z nich wszystkich. To niby nic nie znaczy?

Gibbons zerknął na Salamandrę, który siedział za plecami Lesley Hallo-  
ran. Odchylony do tyłu, zapuszczał sobie krople do oczu. Cyrulik Sewilski – tak go nazywały gazety, ponieważ rozprowadzał podobno heroinę przez sieć zakładów fryzjerskich i salonów piękności w dziewięciu stanach. Facet nie wyglądał na gangstera. Raczej na zwykłego, tłustego świntucha, z rodzaju tych, co to opowiadają sprośne dowcipy, jak tylko panie wyjdą z pokoju, i chrapią przed telewizorem po obiedzie w Święto Dziękczynienia.

– Prawnicy rzadko są zaprzyjaźnieni ze swoimi klientami, Toz. Przecież wiesz.

– Ale dlaczego ze wszystkich ludzi w Nowym Jorku, którzy potrzebu-  
ją obrońcy, wybrała właśnie jego? Dlaczego?

– A co, nie wiesz? Tacy cwaniacy płacą najwyższe stawki.

– Ale ona nie należy do mafijnych adwokatów. Tutaj jest poza swoim  
żywiółem.

– I właśnie dlatego Salamandra ją wynajął. Tylko popatrz na nią. Ona  
wygląda inaczej niż ci wszyscy śliscy mecenasi. Jak uczennica porządnej  
katolickiej szkoły irlandzkiej. Salamandra ma nadzieję, że coś z tego spły-  
nie i na niego. Poza tym ona nie ma tak wygórowanego cennika jak znani  
obrońcy, co potwierdza jego twierdzenie, że jest biednym, niewinnym biz-  
nesmenem, którego wzięto za handlarza narkotyków tylko dlatego, że po-  
chodzi z Sycylii.



Tozzi znowu popatrzył na Gibbonsa z niesmakiem.

– Cholera, jakbym słuchał prawnika. Na wszystko masz gotową odpowiedź.

– O rany, mówię ci po prostu, jak to jest. Taki proces to jak film. Wszyscy grają jakieś role.

– Taa, oczywiście, oczywiście.

– Ej, czy musisz być taki wkurzony tylko dlatego, że jesteś sfrustrowany seksualnie? Chyba mi nie powiesz, że Lesley Halloran to pierwsza kobieta, która nie chce, żebyś jej pokazał fiuta?

– Skończ z nią wreszcie, co? Mówiłem ci, że wcale mi się nie podoba.

– Tak, wiem, że ci się nie podoba. Ale tylko dlatego, że ty jej się nie podobasz. Jeśli myślałbyś, że się jej podobasz, to wtedy dopiero zaczęłaby ci się podobać. Mam rację? Wy dwoje musicie mieć ze sobą coś wspólnego. Czy nie mówiłeś przypadkiem, że chodziłeś z nią do szkoły czy coś takiego? Co się stało? Nie chciała z tobą zatańczyć na zabawie?

Tozzi pochylił się i oparł łokcie na kolanach. Spojrzał z ukosa na Gibbonsa.

– Nie, nie chodziliśmy razem do szkoły. Ona mieszkała o kilka przecznic dalej, w Vailsburgu.

– Tak, ale znałeś ją?

– Nie, nie znałem. Nie bardzo.

– Co to znaczy „nie bardzo”?

Tozzi wypuścił powietrze przez nos. Był coraz bardziej rozdrażniony.

– Wiedziałem, kim ona jest, i ona prawdopodobnie wiedziała, kim ja jestem, ale chodziła, a raczej jeździła autobusem, do tej elitarnej szkoły dla dziewcząt w South Orange. Wiesz, mundurki szkolne i te inne bajery. Jej stary był kapitanem policji w departamencie Newark, więc musieli tam mieszkać ze względu na wymóg zameldowania, ale ona uważała się za kogoś lepszego. Miała gdzieś Vailsburg.

– Tak?

– Tak. Zachowywała się, jakby była z Bernardsville albo innej baje-ranckiej dzielnicy. Pamiętam, jak chodziła z zadartym nosem z przystanku do domu, przyciskając do piersi książki, z włosami związanymi do tyłu grubym kawałkiem materiału, tak jak to robiły wszystkie szykowne dziewczyny.

Była jedynym dzieciakiem w całym sąsiedztwie, który uczył się w tej szkole. Reszta z nas chodziła albo do państwowej budy, albo do Najświętszego Serca Jezusa. Pamiętam, że kroczyła jak królowa. Jakby jej gówno nie śmierdziało.

Tozzi najwyraźniej ją lubił. I nienawidził. Gibbons znał to uczucie. Większość facetów prędzej czy później poznaje jego smak.

– Ej, Gib, widzisz, kogo tu mamy? – Tozzi patrzył w kierunku zespołu prokuratorskiego. – Czy to nie twój stary kumpel Jimmy McCleery?

– Kto?

– Jimmy McCleery.

Gibbons pobiegł wzrokiem za spojrzeniem Tozziego. Zmrużył powieki, żeby dokładniej przyjrzeć się mężczyźnie w brązowej sportowej marynarce z tweedu. A jakże, to on, pieprzony Jimmy McCleery, irlandzki amant. Stał tam ze skrzyżowanymi ramionami, chrzaniąc coś jednemu z młodszych bystrookich prokuratorów. Zdumiewające, że mężczyzna słuchał spokojnie, chociaż stali twarzą w twarz. Zwykle McCleery'emu tak cuchnęło z gęby wódą, że mogłoby ściąć z nóg konia. Ale niektórzy uważali, że jego pochlebstwa są czarujące. Skurwysyn.

– Słyszałem, że McCleery dał sobie spokój z FBI. Pracuje teraz dla prokuratury jako oficer śledczy – rzekł Tozzi.

– McCleery nie nadaje się nawet do zmiatania chodników. Nigdy nie pojmę, jak ten facet zdołał zostać agentem. Dzięki Bogu, już nim nie jest.

Tozzi pokręcił głową.

– Nie rozumiem, co masz do niego.

– To po prostu kawał łajna. Samo jego istnienie mnie obraża.

– Pamiętam, że kiedyś, jak byłem na urlopie, kazali wam obu pracować razem. Kiedy wróciłem, McCleery rozpowiadał na prawo i lewo, że praca z tobą to były dwa tygodnie spędzone w piekle. Do dziś nie mogę z ciebie wydusić, co się wtedy stało.

Gibbons jakby nie słyszał. Siedział wpatrzony w McCleery'ego.

– Ej, Gib, ogłuchłeś? Powiedz coś.

Gibbons zerknął na zegarek.

– Cholera, na co oni czekają? Powinno się zacząć dziesięć minut temu.

– Zmieniasz temat – nie ustępował Tozzi.

– Masz rację, zmieniam.

– Panowie! – Prokurator Tom Augustine, główny oskarżyciel w tej sprawie, stanął przy drewnianej barierce, twarzą do psiarni. – Panowie, czy mogę prosić o chwilę uwagi? – Wypielęgowany seter o błyszczącej kasztanowej sierści, ulubieniec swego pana, przemówił do kundli. – Niestety mamy pewne opóźnienie. Nie wiem, jak duże. Zdaję sobie sprawę, że macie inne rzeczy do zrobienia, ale proszę się nie rozchodzić, dopóki nie będzie wiadomo, jak długo to potrwa. Dziękuję bardzo. – Wrócił do stołu.

Kundle jęknęły i podrapały się.

– Niech to cholera – mruknął Tozzi. – Pierdoleni adwokaci.

– Ej, przestań, Toz, Augustine jest w porządku. Pracuje się z nim łatwiej niż z innymi dupkami z prokuratury.

– Prawnik to prawnik, wszyscy są gówno warci i Augustine nie stanowi wyjątku. No spójrz tylko na niego. Gładziutki elegancik, wiecznie zarumienione policzki, opadająca grzywka, amerykański chłopaczek w każdym calu. Dokładnie za takimi uganiała się Lesley Halloran.

Gibbons uśmiechnął się dyskretnie.

– Aha, więc o to chodzi?

Tozzi posłał mu mordercze spojrzenie.

Gibbons nie mógł się opanować i parsknął śmiechem. Boże, ten facet jest jak otwarta księga.

– Proszę wstać, sąd idzie! – rozległ się nagle wśród gwaru rozmów stanowczy głos woźnego. – Rozprawie przewodniczy sędzia Irwin E. Morgenroth.

Morgenroth wyszedł szybkim krokiem ze swojego pokoju, szeleszcząc czarną obszerną togą. Pokonał jednym susem schodki i klapnął na duży skórzany fotel. Rozejrzał się po sali. Nosił okulary z grubymi szklami. Był mały i kompletnie łysy, lekko blade, jak po żółtaczce. W tym towarzystwie przypadła mu rola ratlerka. I jak wiele małych psów, był bardzo szczekliwy i lubił kąsać.

Popatrzył na skład obrony, kiwając palcem wskazującym przy liczeniu głów.

– Kogoś brakuje – warknął. – Gdzie jest pan Giordano i jego obrońca, pan Bloom?

– Wysoki Sądzie!

Zebrani jak na komendę odwrócili głowy ku drzwiom, żeby zobaczyć, kto krzyknął.

– Wysoki Sądzie, czy mogę podejść? – To był Marty Bloom, spocony i zdyszany.

– Niech się pan pośpieszy, panie Blood. Jest pan już spóźniony.

– Śpieszyłem się, jak tylko mogłem, Wysoki Sądzie.

Zasapany adwokat szedł głównym przejściem między ławami, z nesese-rem i płaszczem w jednej ręce, z książkami i papierami ściśniętymi pod łokciem drugiej. Okulary mu się przekrzywiły, jedną połowę koszuli miał wyciągniętą ze spodni. Mimo ubóstwa szarych, poskręcanych włosów, Bloomowi niewątpliwie przypadła w tym przedstawieniu rola owczarka. Rzucił swoje rzeczy na stół i podszedł do stanowiska sędziego. Morgenroth nachylił się i rozmawiał z nim po cichu przez kilka minut. Na skrzywionym obliczu ratlerka odmalowywał się coraz większy sceptycyzm i irytacja.

W końcu sędzia spojrzął po sali i wskazał kościstym palcem Toma Augustine'a.

– Proszę podejść. To dotyczy pana.

Bloom i Morgenroth zaczęli relacjonować, co się wydarzyło, a Augustine słuchoł uważnie, kiwając głową, z dłonią na podbródku. Seter stał wyprostowany, z uniesionym łbem – idealny wzorzec swojej rasy. Tozzi miał rację – było w nim zbyt wiele z monarchy. Ale cóż, facet został tak wychowany. Jak się człowiek urodzi w czepku, to już go nie zdejmie. Augustine biegał wprawdzie po prawej stronie bieżni, ale był w porządku. Trudno go winić za to, że pochodzi z wyższych pięt.

– Co się dzieje? – spytał szeptem Tozzi. Gibbons wzruszył ramionami.

– A skąd, cholera, mam wiedzieć?

Sędzia wezwał pozostałych obrońców, wszystkich osiemnastu. Osiemnaście podejrzliwych twarzy stłoczyło się dokoła ratlerka i słuchoło. Po chwili zaczęło się szemranie, które rychło przybrało na sile, kiedy ci z tyłu kręgu zaczęli się głośno domagać, żeby ich wysłuchano przed innymi. Morgenroth stuknął młotkiem tak długo, aż zapadła cisza.

– Chcę widzieć was wszystkich w moim pokoju za dziesięć minut. Rozprawa odroczone do drugiej po południu. – Jeszcze raz uderzył młotkiem w pulpit, zebrał dokumenty i zbiegł po schodkach.

– I co teraz? – spytał Tozzi rozgoryczony.  
– Panowie! – Augustine znów stał przy barierce. – Możecie iść, nie będziemy już dziś potrzebować. Przepraszam, ale nie wiedzieliśmy o tym wcześniej.

Kundle warknęły.

Augustine wzruszył ramionami.

– Przepraszam, ale naprawdę nie wiedzieliśmy.

Już miał się odwrócić, kiedy Gibbons przechylił się przez barierkę i złapał go za rękaw.

– O co chodzi?

Augustine zerknął na boki, po czym nachylił się i wyszeptał:

– Sprawa się rypla. Vincent Giordano zdecydował się zeznawać przeciw swoim kumpłom w zamian za zmianę oskarżenia.

– To chyba dobre wieści?

– Może i bardzo dobre. Obrona będzie kopać i gryźć przez kilka dni, domagając się unieważnienia postępowania, szukając jakichś kruczków, ale o ile znam Morgenrotha, on na to nie pójdzie. – Augustine wyprostował się i podniósł głowę. Seter pozwolił sobie na lekki uśmiech. – Chyba trzymamy ich za to, za co najlepiej trzymać, żeby nie puścić – za jaja.

Gibbons wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Wspaniale.

– Muszę zmykać, bo sędzia czeka. – Augustine wrócił do stołu i zaczął zbierać papiery.

Gibbons obrócił się ku Tozziemu.

– Słyszałeś? Wygląda na to, że faceci są udupieni.

– Co? – Tozzi nie słuchał. Zbyt był zajęty obserwowaniem Halloran.

Gibbons skrzyżował ręce na piersi i pokręcił głową. Kurwa mać, księga, otwarta księga. Odwrócił się, żeby powiedzieć pozostałym o tym, co właśnie usłyszał od Augustine'a, kiedy na ułamek sekundy zobaczył własne odbicie w okularach faceta, który siedział trochę z boku. Widok siebie samego był jak nagłe wspomnienie znajomej fotografii. Bulldog.

I wtedy kątem oka dostrzegł plecy McCleery'ego. Patrzył, jak Irlandczyk płynie w tłumie ku wyjściu. Obnażył zęby.

## 2.

**B** było już ciemno, kiedy szofer podwiózł Augustine'a pod jego dom na Sześćdziesiątej Szóstej. Piąta i Madison wciąż były zakorkowane, jak zwykle w godzinach szczytu. Ludzie zostawali w mieście na świąteczne zakupy. Kiedy samochód odjechał, Augustine postawił na chodniku nesesor i podniósł kołnierz płaszcza. Spojrzał na fasadę swego georgiańskiego domu, na dwie kolumny stojące po obu stronach wejścia. Styl architektoniczny nieczęsto tu spotykamy. Jego dziadek kupił ten dom w 1907 roku i nawet przy obecnych, niskich cenach nieruchomości był on wart kawał grosza. Myśl o sprzedaży była jednak bardzo przygnębiająca, niemal zdrożna. Augustine odetchnął głęboko chłodnym powietrzem, zastanawiając się, co na miłość boską ma teraz począć.

Giordano, ten bezkręgowiec, spanikował. Jest gotów wejść w układ z prokuraturą, zeznawać przeciwko pozostałym. Facet bez głowy, bez jaj. Przecież mają obiecanie unieważnienie procesu! Co ten Giordano sobie myśli? Że to można załatwić w jeden dzień? To nie jest zwykła sprawa, na to potrzeba czasu. Co on naprawdę myśli? Czy rzeczywiście jest gotów sypać Salamandrę, żeby ratować własny tyłek? Czy naprawdę jest na tyle naiwny, by sądzić, że policja zdoła go uchronić przed zemstą jego sycylijskich przyjaciół? Niech go cholera. Unieważnienie procesu i tak nie było prostą sprawą, a teraz, przez tego durnia, stało się prawie niemożliwe. Niech go cholera weźmie.

Augustine podniósł nesesor i ruszył do drzwi. Musi to przemyśleć.

Musi opracować dobrą strategię, w przeciwnym razie może się pożegnać z czterdnastoma milionami na kampanię. Drink i chwila samotności w gabinecie – tego mu trzeba, żeby się nad tym zastanowić. Potrzebuje...

– Hej, prokuratorze Augustine!

Serce skoczyło mu do gardła. Odwrócił się, żeby zobaczyć, kto go woła.

– Tutaj, tutaj.

W brązowej furgonetce UPS-a, która stała parędziesiąt metrów dalej, siedział otyły Murzyn i machał do niego. Kogut na dachu błyskał jasno, ale Augustine nie zwrócił na to uwagi. Samochody dostawcze były powszechnym widokiem w okresie przedświątecznym. Czarny pociągał przez słomkę z największego papierowego kubka, jaki Augustine kiedykolwiek widział, większego od szklanek na koktajle mleczne, sporo ponad pół litra. Augustine natychmiast zrobił się podejrzliwy. Skąd ten facet zna jego nazwisko? Wprawdzie gazety często o nim wspominają, ale żadna z niego sława. Może ma je w zleceniu? Najprawdopodobniej.

– Słucham? – zawołał ze stopą na pierwszym stopniu.

– Mam coś dla pana. – Murzyn włożył z powrotem słomkę w usta i skinął głową, dając do zrozumienia, że to „coś” jest w furgonetce.

Augustine się nie ruszył.

Grubas spojrział na niego wilkiem.

– No chodź tu, facet. Mam dla ciebie coś ważnego. Zajdź od tyłu.

Augustine'owi nie podobał się ten bezczelny ton, ale uznał, że lepiej posłuchać. Może to jakaś przesyłka i czarnemu po prostu nie chce się podnieść tyłka? Ruszył w kierunku samochodu, a Murzyn znów kiwnął głową, pokazując mu, żeby podszedł od tyłu.

Augustine wszedł między zaparkowane samochody. Zrobiło mu się sucho w gardle, bo przyszło mu nagle do głowy, że może ten człowiek ma wiadomość od Sycylińczyków. Uspokajał się myślą, że na pewno nie będą chcieli zrobić mu nic złego. W końcu to on jest kluczem do wolności dla Salamandry.

Żaluzjowe drzwi furgonetki były podniesione na trzydzieści centymetrów od podłogi. Kiedy zatrzymał się przed nimi, skoczyły nagle do góry z łoskotem, który go przeraził.

– Ej, Augustine, dawno się nie widzieliśmy.

Odetchnął głęboko. To był Nemo, ten obmierzły karzeł, trzymający jedną ręką uchwył drzwi, z uśmiechem na gębie.

– Wstąp, proszę, do mojego gabinetu.

Augustine się zawahał, zerkając przez ramię. Uśmiech zniknął z twarzy Nemo.

– No jazda! Właż!

Prokurator wszedł do środka i Nemo puścił drzwi, które opadły z hukiem.

– No, jak się miewasz, Augie? – spytał mikrus, siadając na niebieskiej skrzynce na mleko. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę lotniczą i ozdobioną nadrukiem koszulkę w kolorze morskim.

– Nie powinieneś tu przyjeżdżać. Czego chcesz?

Nemo wyciągnął zębami marlboro z paczki.

– A jak myślisz?

Zapalając papierosa, zaśmiał się sucho, jak to on, i Augustine'owi przypomniała się nagle ich jazda do gospodarstwa na Sycylii. Z trudem kontrolował oddech. Rozejrzał się po wnętrzu. Lampka na ścianie roztaczała nieostrosownie ciepły blask. Poprzez szczelinę między kabiną a tyłem słyszał, jak Murzyn wysysa przez słomkę resztki napoju. Podłoga była zaśmiecona papierowymi torebkami i plastikowymi opakowaniami, jakby ktoś tu mieszkał. Zerknął przez ramię. Pod ścianą leżał niedbale zwinięty, bardzo duży dywan. Krew uderzyła mu do głowy, zabarwiła uszy. O mój Boże...

– Mamy problemy – powiedział Nemo.

– Tak, jestem tego świadom. – Odkaslnął w kułak.

Nemo zasnurował wargi i pokręcił głową.

– To dlaczego nic nie robisz? Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, ile w to włożyliśmy. Dlaczego się opierdasz?

Augustine zmarszczył brwi.

– Jak to?

Nemo wskazał głową dywan.

– Siedzę na kupie towaru, ogromnej ilości towaru. Nie mogę go rozprowadzić, bo wszystkim się ziemia pali pod nogami. Nie dotkną tego gówna, dopóki toczy się proces. Nie mogę nawet rozmawiać o tym z moim fryzjerem. Wiesz, o kogo chodzi.

O Salamandrę, Cyrulika Sewilskiego. Augustine skinął głową na znak, że wie.



– Nic się nie dzieje. To, kurde, jak podwójny nelson. Wiesz, o czym gadam, co? Wiszę z tym dywanem zbyt długo i oni mogą już myśleć, że specjalnie zwlekam i chcę ich wyrolować. A poza tym, jeśli ten drugi facet, no wiesz, ten z gospodarstwa, nie dostanie swojego do-re-mi, to zajeży się jak cholera. A my przecież nie chcemy, żeby on się wściekł.

Zucchetti, o niego chodziło. Augustine pokręcił głową. Nie, za nic nie chciał denerwować Zucchettiego. To on pociągał za sznurki, to on podpisywał wypłaty.

– Moim zdaniem, Augie, mamy kilka możliwości. – Nemo zaciągnął się papierosem i wydmuchnął dym kącikiem ust. – Po pierwsze, zrobisz, co obiecałeś. Załatwisz unieważnienie procesu, tak żeby wszyscy przestali marnować czas na to pieprzenie w sądzie i mogli wreszcie wziąć się do roboty.

– Unieważnienie wymaga czasu. To duży proces. Nie mogę...

– My nie mamy czasu – przerwał mu Nemo. – Vin sypie. Zamienił się w ptaszka i śpiewa. Trzeba to przerwać. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– A co ja mam na to poradzić? Nie mogę przecież zatkać mu gęby.

Nemo wzruszył ramionami.

– A może jednak powinieneś spróbować. Postaraj się. Wiesz, o co mi chodzi?

– Sugerujesz, że powinienem...? – Augustine nie mógł nawet wydusić z siebie tego słowa.

– Obiecałeś facetowi z gospodarstwa, że załatwisz unieważnienie, jeśli dojdzie do oskarżenia. Ja ci nie będę mówił, jak masz wykonywać to, co do ciebie należy. Zrób to tak, jak uważasz, byle dobrze.

– Ale to właśnie nie do mnie należy. Umawialiśmy się, że ja nie będę miał nic wspólnego z... – wskazał na dywan – z tymi sprawami. I z pewnością nie zamierzam Giordana... wiesz, co mam na myśli.

Wsadziwszy papierosa między zęby, Nemo pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

– Ej, obiecałeś, a dla moich ziomków obietnica to rzecz święta. Nie pieprz mi tutaj, że to nie należy do ciebie. Należy i tyle. Zrób to, jak chcesz, tylko zrób, i to szybko.

Pot ściekał Augustine'owi po plecach.

– Ale powiedziałaś, że jest kilka możliwości. Może lepsza byłaby jakaś inna?

Nemo skinął głową, zaciągając się ponownie.

– Taa, mamy kilka opcji. Jest na przykład opcja sycylijska.

– A co to takiego?

– Opcja sycylijska jest wtedy, gdy porywamy twoje dzieci i wysyłamy ci je z powrotem kawałek po kawałku, aż w końcu robisz to, co do ciebie należy.

Augustine kręcił uparcie głową, nie wierząc, że to mu się naprawdę przytrafia.

– No więc popatrzmy. Tom junior jest w szkole w Providence, a Missy gdzieś pod Philly, w – jak to się mówi? – Brine Mower?

– Bryn Mawr.

– Niech będzie. – Nemo spojrzał na niego i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nie wyglądasz za dobrze. Może usiądziesz? No, kłapnij sobie na dywan, nie mam nic przeciwko. Zobacz, jak to jest, kiedy się siedzi na osiemdziesięciu balonach.

Augustine nie skorzystał z zaproszenia. Nie chciał nawet spojrzeć na dywan.

– Jest chyba jakieś inne wyjście? Jestem pewien, że możemy znaleźć jakieś inne rozsądne rozwiązanie.

Nemo parsknął śmiechem.

– Pierdolę rozsądne rozwiązania. My tu nie negocjujemy. Ja ci mówię, co masz zrobić. Masz zrobić to, co obiecałeś, i tylko o to tu chodzi.

– Proszę cię. Jeśli jest jakieś inne rozwiązanie, do przyjęcia, to powiedz mi.

– No cóż, możemy zostawić dzieciaki w spokoju i wygrzmocić ciebie. Co ty na to?

Augustine poczuł ukłucie w lewej skroni. Boże, nie. Nie teraz. Tylko nie ból głowy.

– Nie mówisz poważnie?

– Jak to: nie mówię poważnie? Dobierzemy się do ciebie i unieważnienie mamy praktycznie w kieszeni. Główny oskarżyciel łyka kilka kulek, ława przysięgłych się o tym dowiaduje i ten stary skurwiel, sędzia, musi postawić na sprawie krzyżyk. Zastraszenie prokuratury, doprowadzenie

ławników do szaleństwa, czy jak wy to, kurwa, nazywacie. Zadziała. Mam rację?

Niestety, miał.

Zaciągnął się po raz ostatni, rzucił niedopałek na podłogę i roztarł go butem.

– Ale tak po prawdzie, nie chcielibyśmy tego robić. Mielibyśmy złą prasę, wiesz, o co mi chodzi? Dla wszystkich najlepiej by było, gdybyś wziął się w garść i zrobił to, co do ciebie należy.

Augustine zamknął oczy i skinął głową. Zaczęło się. Jakby długi gwóźdź wwierał mu się w skroń.

Nemo podniósł się ze skrzynki i podciągnął drzwi.

– No to ruszaj do roboty, Augustine. Nie masz zbyt dużo czasu. – Wskazał głową dywan. – Pamiętaj, musimy ruszyć z towarem. No dobra, zmykaj.

Augustine schylił się i wysiadł na miękkich nogach. Jak tylko znalazł się na zewnątrz, Nemo zatrzasnął drzwi i ryknął do Murzyna:

– No jazda, jedziemy.

Silnik zawył i furgonetka ruszyła. Przejechała na zielonym świetle Madison Avenue i skręciła za róg, w kierunku przedmieścia.

Augustine wszedł na chodnik i skierował się do domu, powłócząc nogami. Spojrzał jeszcze raz na fasadę i pomyślał, że to właśnie to: fasada i nic więcej.

Wszedł powoli po stopniach, spocony, nieświadomy zimna i zapadających ciemności, mrużąc oczy przed przemykającymi światłami samochodów skręcających z Piątej Alei. Gwóźdź rozwiercał mu czaszkę. Musi wejść do środka i położyć się na chwilę. Musi pomyśleć. Dobry Boże, musi pomyśleć...

### 3.

Wysoki Sądzie, wobec niejasnej i nie umotywowanej zmiany stanowiska pana Giordano jestem zmuszony pójść w ślady moich kolegów i zażądać unieważnienia procesu. Pan Giordano ma zamiar zeznawać na temat rzekomej działalności mojego klienta, ale jednocześnie przyznaje, że nigdy się z nim nie spotkał, a jego wiedza na temat poczynań mojego klienta to w najlepszym razie pogłoski...

Ble-ble-ble.

Tozzi powstrzymywał ziewanie, patrząc na niskiego, brodatego adwokata, który głądził już od dwudziestu minut. To ten podobny do Zygmunta Freuda. Nachylił się ku Gibbonsowi.

- Kto to, bo nie pamiętam? – spytał szeptem.
- Chyba Kostmeyer. – Wyglądało na to, że Gibbons naprawdę uważnie słucha.
- Kogo on reprezentuje?
- Jednego z właścicieli salonów piękności. Albo tego z Buffalo, Divantiego, albo tego z Cleveland. Nie pamiętam.
- Założę się, że sędzia też nie.

Sędzia Morgenroth siedział pochylony nad stołem, z głową wspartą na pięści. Od samego rana nic innego się nie działo. obrońcy, wszystkich osiemnastu, wstawali po kolei i wygłaszali mowy, żądając dla swoich klientów unieważnienia procesu. Wiedzieli, że to nic nie da, albowiem sędzia na samym początku wyraźnie dał do zrozumienia, że nie zamierza

tego zrobić tylko dlatego, że Giordano zmiękł, ale adwokaci mieli prawo do wypowiedzi i żaden z nich nie zamierzał z tego prawa zrezygnować.

– Panie Kostmeyer – donośny, choć piskliwy głos sędziego wypełnił nagle salę jak syrena obrony przeciwlotniczej – nie mówi mi pan tu niczego, czego bym już nie słyszał wiele razy, aż *ad nauseam*. Ryzykuję wprawdzie, że wydam się równie nudny i namolny co pan i pańscy kole-dzy, niemniej powtórzę to, co powiedziałem wam wszystkim wczoraj. Jeśli któryś z was uważa, że sprawa przybrała zły obrót dla jego klienta, to niech idzie na ugodę. To uświęcona wiekami amerykańska tradycja, proszę pana. Jeśli obawia się pan, że ława przysięgłych każe powiesić pana klienta, to niech pan go ratuje i dojdzie do porozumienia z oskarżeniem. Ma pan moje błogosławieństwo. Wszyscy je macie.

Adwokat odwrócił się i popatrzył na siedzącego za jednym ze stołów obrony niewiarygodnie chudego mężczyznę z przyciętym starannie wąsem. Spojrzenie chudzielca pobiegło ku Salamandrze, który zajmował miejsce przy drugim stole. Salamandra siedział nachmurzony. Pokręcił lekko głową, niemal niedostrzegalnie. Chudy mężczyzna spojrział ponownie na Kostmeyera i też pokręcił głową. Adwokat popatrzył na sędziego i wzruszył ramionami.

– Wysoki Sądzie, mój klient nie chce ugody.

Tozzi obserwował Salamandrę. To on tu pociągał za sznurki. Ci faceci nie mogli nawet głębiej odetchnąć bez jego pozwolenia. Jebany grubas mógłby wyświadczyć wszystkim przysługę i kipnąć na atak serca.

Po chwili Tozzi przeniósł spojrzenie na Lesley Halloran. Zastanawiał się, jaką ona w tym wszystkim odgrywa rolę, kim jest – pionkiem, podwładną, współpracowniczką? Zastanawiał się też, dlaczego, do cholery, ona tak go obchodzi. W szkole średniej była niezłą zołą, ale to zamierzchłe czasy. Powinien o tym zapomnieć, nie zwracać na nią uwagi. Poza tym ona i tak go nie pamięta, nie wie nawet, kim jest.

Nagle walniecie młotkiem w pulpit zaskoczyło go. Zaczerwienił się, bo przyłapał się na tym, że nieświadomie na nią patrzy.

– Dwudziestominutowa przerwa. Sąd zbierze się ponownie o godzinie jedenastej. – Sędzia wstał i przeciągnął się.

– Ależ Wysoki Sądzie – zaprotestował Kostmeyer – przerwano mi w połowie wywodu. Chciałbym skończyć, żeby nasze stanowisko było znane

w całości, jeśli oczywiście Wysoki Sąd nie ma nic przeciwko temu.

Sędzia Morgenroth skrzywił się i spojrział groźnie z góry na adwokata.

– Wysoki Sąd musi iść się wykasztanić, panie Kostmeyer. I właśnie przeciwko temu nic nie ma. – Zebrał papiery, zeskoczył ze schodków i znikł w drzwiach.

– No cóż – odezwał się Gibbons, zakładając ręce na piersi – na pewne rzeczy człowiek nie ma wpływu. Jak mus to mus.

– Mmm? – Tozzi nie odrywał wzroku od Lesley Halloran. Wyjaśniała coś Salamandrze.

– Powiedziałem, że jak mus to mus. Jak człowieka przyciśnie, to nie ma rady.

Tozzi przestał się w końcu gapić na Lesley i pokręcił głową.

– To niezupełnie tak. Wiesz, niektórzy ludzie potrafią robić niesamowite rzeczy, jeśli się skoncentrują. Czytałem o jednym takim swami w Indiach, który do tego stopnia posiadał władzę nad własnym ciałem, że potrafił na zawołanie odwrócić kierunek pracy przewodu pokarmowego.

– Pewnie na przyjęciach sprawiał ludziom sporo uciechy.

– Śmiejesz się, ale od takich ludzi można się wiele nauczyć. Koordynacja ciała i umysłu. Utrzymywanie ich w równowadze. To klucz do poznania własnego potencjału.

– Proszę cię, oszczędź mi wykładu o aikido. Już to słyszałem.

– A ja chciałbym to kiedyś usłyszeć. – Tozzi zauważył, że obok nich, przy barierce stanął Tom Augustine. Najwyraźniej podsłuchiwał, gumowe ucho.

– Nie chciałbym być wścibski, Mike, ale czy dobrze usłyszałem, że ćwiczysz aikido?

– Tak.

– Interesujące. Wiele o tym czytałem. To chyba coś innego od pozostałych sztuk walki. Bardziej umysłowe. Chciałbym kiedyś spróbować. Gdzie ćwiczysz?

– W Hoboken, w klubie, który się nazywa Szkoła Aikido Koki-Kai, na ulicy Waszyngtona.

– A kiedy odbywają się zajęcia?

– Spotykamy się w poniedziałki i środy wóół do ósmej wieczorem i w soboty o trzeciej.

Augustine wyjął elektroniczny kalendarzyk kieszonkowy i wprowadził do niego informację.

- Chyba spróbuję. Dzięki za informację.
- Nie ma za co. Nowicjusze zawsze mile widziani. Przyjdź i spróbuj.

A z przyjemnością cisnę swoją gładziutką dupą o matę, dodał w myślach.

Gibbons odchylił się na krześle i splótł palce na kolanie.

– Ej, prokuratorze, jak długo będą trwały te pierdoły? Dlaczego nie puszczą nas do domu? Tylko grzejemy tu tyłki.

– Chętnie bym was zwolnił, ale nie mam pojęcia, jak długo się będą targować. Może wszystkie wnioski o unieważnienie będziemy mieli z głowy już dziś po południu, a może potrwa to do końca tygodnia. Zależy od tego, jak gadatliwi są nasi przeciwnicy. Nie potrafię powiedzieć.

Tozzi zauważył, że Lesley Halloran stoi przy stole wraz z Freudem i innymi obrońcami. Śmiała się z czegoś szeroko otwartymi ustami, mrużąc oczy. Położyła od niechcienia rękę na ramieniu Freuda i na moment oparła na niej czoło. Mieli z czegoś dobry ubaw. Tozzi zastanawiał się, czy ona sypia z tym obrzydliwym kutasem. Twarz mu rozgorzała od tych myśli.

– Wiesz co – odezwał się, spoglądając na Augustine'a – ten cały proces to wielkie gówno. Według mnie powinniśmy załatwić to tak, jak zrobiłaby to mafia: wydać wyrok śmierci na wszystkich osiemnastu oskarżonych i ich świętych gadaczy. Po prostu czapa dla każdego. Żadna strata, uwierz mi. Sam chętnie bym kilku załatwił. Przecież oni są winni jak sam diabeł. Wszyscy, co do jednego, to jasne jak słońce.

Lesley, rozbawiona do łez, wciąż opierała głowę na ramieniu Freuda.

Nagle Augustine zrobił się jakiś nieswój. Wyprostował plecy i spojrzał ponad głową Tozziego. Tozzi odwrócił się i zobaczył faceta pochylonego nad notesem, w którym pośpiesznie coś zapisywał. Był ubrany w skórzany płaszcz, czarne spodnie, czarne włoskie mokasyny, białą, rozpiętą pod szyją koszulę i ciemne okulary. Miał bladożółtą skórę, a długi, haczykowaty nos w zestawieniu z cofniętym podbródkiem nadawał mu wygląd szczura. Do klapy marynarki miał przypiętą plakietkę prasową.

– Agencie Tozzi, czy zechciałby pan określić dokładniej, w jaki sposób zamierza pan wykonać wyrok na oskarżonych i ich obrońcach? – przemówił szczur nosowym jazgotem z Brooklynu.

Tozzi wpił w niego oczy.

– To prywatna rozmowa, nie do publicznej wiadomości.

Szczur wyszczerzył kły.

– Ale to nie jest wywiad. Pan to powiedział, a ja usłyszałem. Mogę to zamieścić w relacji.

– Kim jesteś?

Szczur zignorował pytanie i nadal bazgrał.

– Czy chciałby pan coś dodać do tej wypowiedzi?

– Powiedziałem, koleś, że to nie jest do publicznej wiadomości. Jeśli to wydrukujesz, zaprzeczę, że to powiedziałem.

Szczur podniósł wzrok znad notesu. Miał małe, błyszczące ślepka i krzywy uśmiech.

– Po co niedźwiedź pierdziałby w lesie, gdyby nikt nie chciał wachać?

– A wiesz, koleś, co to pomówienie?

– Zamknij się, Tozzi – wtrącił Gibbons. – Ani słowa więcej.

– Ale...

– Powiedziałem ci, żebyś się zamknął. – Obrócił się do szczura. – Spadaj. Masz to, czego chciałeś.

Dziennikarz wzruszył ramionami, zachichotał i dał drapaką. Tozzi kipiał z wściekłości.

– Kto to, do cholery?

Augustine wyglądał na bardzo niezadowolonego.

– Nazywa się Mark Moscovitz. Reporter z „Tribune”.

Gibbons jęknął.

– Cudownie.

Tozziego zaczął boleć brzuch.

– Przecież on chyba nie może tego wydrukować? Nie mówiłem tego serio, to chyba jasne, nie?

Augustine skrzyżował ręce na piersiach i chwycił palcami podbródek.

– Owszem, może. Doniesie o tym jako o czymś, co usłyszał na sali sądowej. Ponieważ nie udzielałeś mu wywiadu, nie możesz powiedzieć, że to było wyłącznie do jego wiadomości. Radzę ci, żebyś na przyszłość uważał na to, co mówisz, szczególnie w sądzie.



Tozziemu nie podobał się ton Augustine'a. Facet rugał go jak niegrzecznego chłopca.

– Nie możemy go jakoś powstrzymać? Legalnie? Może powinienem pójść i z nim pogadać?

– Nie – odparł Augustine ostro. – Jeśli to zrobisz, pomyśli, że chcesz coś zatuszować, i zrobi się podejrzliwy. Trzymaj się po prostu od niego z daleka. Jeśli będziesz miał szczęście, redaktor wydania dostrzeże, jakie to niedorzeczne, i wyrzuci tę informację do kosza. Jeśli jednak to wydrukują, będziemy musieli wypić to piwo. Jeśli w ogóle będzie jakieś piwo. Nie martwiłbym się jednak na zapas.

– Nie mam zamiaru. – Twarz Tozziego płonęła. Fakt, to co powiedział, nie było najmądrzejsze, i żałował, że w ogóle to powiedział, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie wzięłby tego dosłownie. I nie ma powodu, żeby Tom tak się nadymał i wymądrzał. Skurwiel.

– Muszę zadzwonić w parę miejsc – powiedział Augustine. – Przepraszam, chłopcy, ale nie mogę was puścić. Musimy poczekać, żeby wiedzieć, co będzie dalej.

Gibbons wzruszył ramionami.

– Co każesz.

Augustine obrócił się na pięcie i ruszył przejściem między ławami, z gładkim podbródkiem wysuniętym do przodu, z miękką grzywką unoszącą się i opadającą w rytm jego kroków.

## 4.

**T**ozzi zrzucił z ramion płaszcz i zamknął biodrem drzwi.

– Widzisz, mówiłem, że zaraz wrócę. Szybko i sprawnie.

W kuchni, przewiesiwszy płaszcz przez oparcie krzesła, siedziała jego kuzynka Lorraine. Ubrana była w dżinsy i golf w kolorze śliwkowym, włosy miała zaczesane do tyłu i spięte grzebykami. Na stole, w pudełku z zimową scenką na pokrywce, leżały przyniesione przez nią bożonarodzeniowe ciasteczka. Tozzi postawił obok nich papierową torbę. Był pewien na sto procent, że podczas jego nieobecności Lorraine dokonała krótkiej inspekcji, że przejechała palcem po zakurzonych beżowych blatach, że sprawdziła, czego brakuje w szafkach i zajrzała do lodówki, żeby zobaczyć, co w niej gnije. Rzadko jadał w domu. Rzadko też w nim sprzątał. Lesley Halloran dostałaby mdłości na widok tego mieszkania. Zawsze miała ten nobliwy wygląd, była taka wyelegantowana i czyściutka, że można by z niej jeść.

– Czy za każdym razem, kiedy chcesz się napić kawy, idziesz do delikatesów na rogu? – spytała Lorraine. Za wszelką cenę próbowała wyzbyć się tonu przygany.

– No... właściwie to tak. – Włożył rękę do torby i wyciągnął dwa duże papierowe kubki.

Potrząsnęła głową z dezaprobatą.

– Jesteś taki sam jak Gibbons.

– Nigdy nie będę taki sam jak Gibbons, nawet gdybym się bardzo starał. On zrobiłby ci kawę błyskawiczną z gorącą kranową. A w ogóle nie mów o moim kumplu pod jego nieobecność.

– To mój mąż. Będę o nim mówiła, kiedy przyjdzie mi na to ochota. – Zawinęła kosmyk włosów wokół ucha. Był długi i ciemny, przetykany siwizną.

Usiadł i podważył wieczko kubka, po czym poszperał w torbie i wyjął małe plastikowe pojemniki ze śmietanką.

– Podobno masz mi coś do powiedzenia. O co chodzi?

Lorraine najpierw wzięła głęboki oddech i dopiero wtedy odpowiedziała:

– Dzisiaj rano umarł wujek Pete.

*To dobrze.*

– Aha... – Tozzi skinął głową, mieszając kawę plastikowym patyczkiem. – Przykro mi.

– Wcale ci nie jest przykro. – Uniosła brew w wyrazie potępienia. – Nigdy go nie lubiłeś.

– To on mnie nigdy nie lubił.

– Daj spokój, Michael...

– A nie, przepraszam: on nikogo nie lubił.

– To świństwo mówić tak o zmarłym.

– Lorraine, posłuchaj. Ja nic nie mam do faceta. On po prostu nigdy mnie nie lubił, to wszystko. Nie lubił mnie, kiedy byłem dzieckiem, i później, kiedy dorosłem. Zawsze, gdy ja i rodzice przychodziliśmy do niego z wizytą, zamykał mnie samego w tym swoim ogródku na tyłach domu. Z tym całym złodem, który tam składał. Mogłem się przecież zabić. Pamiętam, że miał tam dwie stare, ale z dobrymi drzwiami lodówki. Słyszałaś, jak dzieciaki zamykają się w lodówkach i duszą się na śmierć? Codziennie się to zdarza. Nie mówię, że wujek Pete chciał, żebym zginął w jednej z tych lodówek, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby posprzątać tam trochę, bo raz na jakiś czas wpadają z wizytą siostrzenice i siostrzeńcy. Nigdy. A my, ponieważ on był chrzestnym mego ojca, łączyliśmy tam w niedziele przynajmniej raz na miesiąc, więc to ja byłem tym dzieckiem, którego życie było w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Rozumiesz, co mam na myśli? Wujek Pete mnie nie lubił i wyraźnie dawał to do zrozumienia.

*Żałosny pierdziel.*

– To nieprawda, Michael.

– Ile on miał lat? Dziewięćdziesiąt trzy, dziewięćdziesiąt cztery?

Niech Bóg ma go w swojej opiece. Miał długie życie. – Tozzi podniósł kubek do ust. – Jeśli można to nazwać życiem.– Michael!

– No cóż, bądźmy szczerzy. Facet żył jak ostatni żebrak, a nie musiał. Dom miał sypialny, dostawał dobrą emeryturę i jeszcze dodatek z ubezpieczeń społecznych. On po prostu chciał żyć jak ostatni łajza. I miał do tego prawo. Tak samo jak miał prawo mnie nienawidzić.

– Michael, wujek Pete bardzo cię lubił. Mogę to udowodnić.

– Jak? – Tozzi poczęstował się ciasteczkami z pudełka: choinka z zielonymi kropeczkami.

Sięgnęła do kieszeni palta i wyciągnęła pęk kluczy.

– Wyznaczył cię na wykonawcę testamentu. To klucze do jego domu.

– Szurnęła nimi po blacie.

Tozzi spojrział na nie, zatrzymawszy się z ciasteczkami przy ustach. Westchnął i opuścił rękę.

*Cholera.*

– Żartujesz sobie?

Upiła kawy i potrząsnęła głową.

– Nie, wcale nie żartuję.

Wciąż patrzył na klucze.

*Potrzebne mi to jak kula we łbie.*

Lorraine parsknęła śmiechem.

– Michael, wyglądasz jak mój sąsiad, kiedy zobaczy, że jakiś pies narobił mu na trawnik.

– Cieszę się, że dobrze się bawisz. – Podniósł rękę i przegryzł na pół choinkowe ciasteczko. – A skąd masz klucze?

– Adwokat wujka zadzwonił do twojego biura, ale powiedziano mu, że jesteś na procesie, więc zatelefonował do mnie. Wujek określił mnie jako najbliższą rodzinę... po tobie.

– Więc dlaczego nie wybrał ciebie?

Lorraine wzruszyła ramionami.

– Bo ciebie chyba bardziej lubił. – Z uśmiechem Giocondy łyknęła kawę.

– Akurat. Pewnie dlatego, że mój ojciec był jego chrzestnym synem. To dlatego wybrał mnie.

– Więc dlaczego nie wybrał twojego ojca?

– Bo nienawidził mojej matki. Nigdy jej nie ufał.

– Michael, daj spokój, dobrze?

– To święta prawda. Nie ufał jej, bo nie jest Włoszką. I pewnie dlatego i mnie nie lubił. Bo jestem mieszzańcem.

– Więc dlaczego cię wyznaczył na wykonawcę testamentu?

– Z zemsty.

Tozzi wziął drugie ciasteczko – dzwon z czerwonymi kropeczkami. Wrzucił je do ust i zaczął bezmyślnie żuć, po czym nagle uświadomił sobie, że je to ciasteczko jedynie ze zgryzoty, albowiem nigdy nie brał do ust niczego barwionego sztucznie na kolor czerwony. Barwnik E, numer jakiś tam. Rakotwórczy.

*Cholera.*

Lorraine poszperała w pudełku i wyjęła zwykle ciasteczko, bez żadnych ozdóbek.

– Nie powinienes się tak przejmować. Wypełnienie testamentu to nie taka znowu wielka sprawa.

– Nie wielka? Wolałbym już zostać Sekretarzem Generalnym Narodów Zjednoczonych. Lepiej uważaj. Z tego będą same kłopoty. Dowiesz się nagle o krewnych, których istnienia nigdy byś nie podejrzewała. Wywają ją testament i pojawią się nagle spod ziemi z wyciągniętymi rękami. Zobaczysz. I wszyscy będą przysięgać, że byli z wujkiem w zażyłych stosunkach. I do kogo zaczną mieć pretensje, gdy nie dostaną tego, czego chcą? Z kim będą się procesować? No z kim? Z wykonawcą testamentu, czyli ze mną. – Tozzi wybrał ciasteczko z orzechem pośrodku. – Poza tym nie mam teraz na to czasu. Jestem uwięzany przez ten proces, wiesz, Łącznik Figara. – Wgryzł się w ciastko, a ono rozkruszyło mu się w dłoni. – Cholera.

– Nie przesadzaj. Są ferie, uniwersytet jest zamknięty do końca stycznia. W przyszłym semestrze będę miała tylko jedno zajęcia, w dodatku mam notatki z ostatniego roku, więc nie będę się musiała dużo przygotowywać. Mogę ci w tym trochę pomóc.

– Naprawdę? Myślałem, że malujecie mieszkanie Gibbonsa, doprowadzacie je do użytku, skoro już się tam wprowadziłaś?

Lorraine spojrzała na niego smętnie. Nie uśmiechała się już.

– Od dwóch tygodni kłócimy się o kolory. Nie chce niczego, co ja proponuję. Mówi, że mam drobnomieszczański gust.

– Nie możecie dojść do porozumienia?

Lorraine westchnęła.

– A czy ty wiesz, co dla niego oznacza porozumienie? Mocny róż! A dlaczego akurat mocny róż? Bo mówi, że na taki kolor maluje się policyjne pokoje przesłuchań. Wpływa to podobno kojąco na podejrzanych. Tak mi powiedział. Za kogoś takiego wysłał za męż. – Wzięła kolejne ciastko. Dzwon z czerwonymi, rakotwórczymi plamkami.

– A nie ma różowej farby, która by się wam obojgu podobała?

– Nienawidzę różowego. A pamiętasz ten obrzydliwy niebieski chodnik w przedpokoju? Mówi, że go lubi. Nie pozwala mi go wyrzucić.

Tozzi zmarszczył czoło i wzruszył ramionami.

– Nie jest wcale taki brzydki. – Pamiętał ten chodnik. Przypominał jak nic niebieskie plisowane spódnice, w których Lesley Halloran chodziła do szkoły. Nosiła do nich szkolny granatowy blezer. Pamiętał też dzinsową minispódniczkę i koronkową bluzkę, którą w drugiej klasie założyła na bal w Halloween \*. Tej nocy o mało nie poprosił jej do tańca.

\* Przeddzień święta zmarłych – przyp. tłum.

– Michael, słuchasz mnie?

– Co?

Lorraine pokręciła głową, zniechęcona.

– Jesteś taki sam jak on. Myślicie tylko o jednym: o FBI.

– Daj spokój, wiesz, że to nieprawda.

– W takim razie może to ze mną jest coś nie tak. Kiedyś potrafiłam przemykać oczy na jego dziwactwa, ale teraz, kiedy się pobraliśmy, ruszają mnie o wiele bardziej, niż myślałam. Robię, cholera, co mogę, żeby uniknąć stereotypu, no wiesz, stereotypu narzeczonej, która zaciska zęby i dzielnie wszystko znosi, mając nadzieję, że jak tylko się pobiorą, wychowa faceta. Ale on mi niczego nie ułatwia.

– Jakie dziwactwa? Pracuję z Gibbonsem już jedenaście lat i nigdy nie zauważyłem u niego żadnych dziwactw. Oczywiście, czasem wyłazi z niego upierdliwiec, a nawet ohydny skurwiol, złośliwy na dodatek, ale poza tym jest solą tej ziemi. – Tozzi wyszczerzył zęby w uśmiechu, czekając na reakcję Lorraine.

– Tak, może on i jest solą tej ziemi, ale rzadko kiedy. Natomiast chwilami zachowuje się tak, że... – zagryzła wargę i potrząsnęła pięścią – rozwalilibym mu łeb.

– Ja też. Na przykład dzisiaj. Cały dzień był w podłym nastroju i dopiekał mi, jak tylko otworzyłem usta. I to tylko dlatego, że w sądzie

zobaczył faceta, którego nie cierpi, tego, który kiedyś z nami pracował.

Lorraine zmrużyła oczy.

– Jak się ten facet nazywa?

– Jimmy McCleery.

Lorraine spuściła powieki i skrzywiła się.

– To tłumaczy, dlaczego wczoraj wieczorem zachowywał się jak gbur. Boże drogi. – Otworzyła nagle oczy i chwyciła z pudełka choinkę z zielonymi kropeczkami. – Po co ja to jem?

– Znasz McCleery'ego?

Zerknęła na niego, jakby się zastanawiała, czy powinna mu powiedzieć.

– Tak – odparła wreszcie – znam.

Tozzi postawił kubek na stole.

– Dobrze?

Skrzywiła się.

– Nie za dobrze. Spotykaliśmy się przez jakiś czas, to wszystko.

Tozzi był wstrząśnięty.

– Spotykaliście się? Kiedy?

– Dawno temu. Jimmy właśnie wtedy zaczął pracować w biurze na Manhattanie. W tym czasie Gibbons i ja mocno się pozarliśmy, bardzo mocno. Powiedzieliśmy sobie parę ostrych słów, na koniec ja stwierdziłam, że nie chcę go więcej widzieć. Żadne z nas nie chciało pierwsze wyciągnąć ręki i przestaliśmy się widywać. Mnie wkrótce przeszło i chciałam zgody, ale znasz Gibbonsa, on wszystko stawia na ostrzu noża. Nie był wcale gotów do rozejmu. Właśnie wtedy spotkałam Jimmy'ego na przyjęciu bożonarodzeniowym. Od razu wiedziałam, że to ten typ człowieka, którym Gibbons gardzi, tak więc aby w końcu pomóc mu ochłonąć, skorzystałam z okazji i umówiłam się z Jimmym, kiedy mi to zaproponował.

– Chodziłaś z Jimmym McCleery'm? To nie do wiary.

– Do niczego nie doszło, Michael. Spotkaliśmy się dwa czy trzy razy, nawet dokładnie nie pamiętam. Nic się nie wydarzyło. Naprawdę. Zrobiłam to tylko po to, żeby Gibbons poczuł się zazdrosny. I najwyraźniej podziałało, bo szybko się pogodziliśmy, w dzień świętego Walentego. Bardzo dobrze to pamiętam. Przyniósł mi róże.

– Gibbons przyniósł róże?

Lorraine podniosła kubek do ust, ale nie wypić.

– Może nie wiesz, ale on ma czasem wolne. I jest w nim dużo delikatności. Ma miękkie serce, choć może ukrywa to głęboko.

– Taak, mięciutkie jak nadzieje landrynki.

Lorraine zmarszczyła brwi.

– Nie podoba mi się ten sarkazm. Mam go wystarczająco dużo w domu.

– Nie wątpię.

Puściła te słowa mimo uszu i znów przetrząsnęła pudełko z ciastkami. Zaczęła nerwowo gryźć.

– Lorraine, powiedz mi prawdę. Naprawdę chodziłaś z Jimmym McCleerym? Trudno mi to sobie wyobrazić. To znaczy... on jest taki... no nie wiem... skończony dupek.

– Ale ma piękny głos. I prawdziwe zamiłowanie do literatury irlandzkiej. Pamiętam, że raz cytował mi Yeatsa, „Ledę i łabędzia”. Potrafił nawet wyrecytować z pamięci cały ustęp z monologu Molly Bloom z „Ulisses”, słowo w słowo. Byłam oszołomiona.

Tozzi upił kawy i skinął głową.

*To musiała być naprawdę świetna randka.*

– Jimmy McCleery jest słodki. Nie to co Gibbons, ale jest słodki.

Tozzi wywrócił białka.

*Nawet tak nie myśl, dziewczyno.*

Zaczął szperać w pudełku, szukając ciasteczka bez rakotwórczych plamek, kiedy zadzwonił domofon. Lorraine spojrzała na drzwi.

– To pewnie Gibbons. Umówiliśmy się, że tu się spotkamy. – Tozzi się uniósł, ale dała mu znak, żeby nie wstawał. – Ja go wpuszczę – powiedziała i wyszła do przedpokoju naciśnięć przycisk.

Tozzi splótł palce wokół ciepłego kubka z kawą i zapatrzył się przed siebie.

*Pierdolony wujek Pete. Nawet zza grobu udało mu się mi dopiec. Dobry, kochany wujcio. Powinni go pochować w jednej z tych starych lodówek.*

Podniósł wzrok, usłyszawszy pukanie. Ze swojego miejsca widział drzwi wejściowe. Zajrzał ponownie do pudełka z ciasteczkami i dostrzegł jedno z orzeszkiem. Wziął je w chwili, kiedy Lorraine otwierała drzwi.

– Och... dzień dobry.



Dzień dobry? Zbyt uprzejmie, by mógł to być Gibbons.

– Dzień dobry. Czy to mieszkanie Michaela Tozziego?

Tozzi spojrzął w kierunku przedpokoju i aż go ścisnęło w dołku. Co do... nędzy? Lesley Halloran we własnej osobie. Czego ona chce, cholera?

Wstał i poszedł do drzwi. Jak, jasny gwint...?

– Cześć, Michael – powiedziała Lesley, posyłając mu promienny, serdeczny uśmiech jak majowy poranek. – Przepraszam, że wpadam tak bez uprzedzenia, ale nie mieliśmy możliwości porozmawiać w sądzie.

Wyjęła rękę z kieszeni czarnego wełnianego palta i wyciągnęła ją do niego. Tozzi popatrzył na jej okrycie. Palto miało welwetowy kołnierz. W dziewiątej klasie nosiła szary płaszcz z podobnym welwetowym kołnierzem. Jak Elizabeth Taylor w jednym z tych strojów do konnej jazdy w „Wielkiej Nagrodzie”. Strojnisia.

Uściskał jej dłoń, cały spięty. Miała zimne palce.

*Czego ona, cholera, chce? Czy zaproponuje mi torbę pełną mamony za to, żebym przy składaniu zeznań dostał ataku amnezji? A może myśli, że udzielę jej dyskretnej informacji o tym, co oskarżenie szykuje przeciw jej szefowi, Salamandrze? Niewiarygodne. No cóż, mam gotową odpowiedź, jedno jedyne słowo, na „s”.*

Przybrawszy śmiertelnie poważną minę, odkaslnął i zaczął grać srogiego funkcjonariusza federalnego. Był to jedyny sposób, żeby z nią rozmawiać i nie czuć się idiotycznie.

– Skąd pani ma mój adres? Zdaje pani sobie sprawę, że zwracanie się do mnie w ten sposób jest wysoce niestosowne. Muszę panią ostrzec, że być może będę zmuszony poinformować sąd o tym spotkaniu, jeśli potrwa ono choć chwilę dłużej.

Grał swój najlepszy numer, rolę złego fedzia, ale ta zółza nie zwracała na niego uwagi. Gapiła się na Lorraine.

– Przepraszam, ale czy pani... nie nazywa się przypadkiem Lorraine Tozzi?

– Tak... A raczej kiedyś tak się nazywałam – odpowiedziała zaintrygowana Lorraine.

– Lorraine! Pewnie mnie nie pamiętasz, ale kiedyś przychodziłaś do nas opiekować się mną, jak byłam mała. Jestem Lesley Halloran. Córka komendanta policji, pamiętasz?

Lorraine rozdziawiła usta.

– O mój Boże... – Patrzyła na nią, przygryzając dolną wargę. – Mała Lesley... Mój Boże, to ty!

Padły sobie w objęcia, potem zrobiły ten numer, który robią wszystkie kobiety: odsunęły się od siebie na wyciągnięcie ręki, żeby się sobie przyjrzeć. Jak w jednym z filmów z Julie Andrews.

Tozzi zmarszczył czoło. Przestały zwracać na niego uwagę.

Chrząknął znacząco.

– Pytałem, skąd pani ma mój adres – powtórzył, zagłuszając okrzyki radości.

Patrzyły na niego niebieskie oczy, zdumione tą stanowczą, oficjalną postawą. Dobrze wygląda, lepiej niż w szkolnych czasach, pomyślał, ale do tego przedstawienia powinna była utrefić włosy. Kogo ona chce nabrać? Daleko jej do Shirley Temple. Jest pozbawioną skrupułów obrończynią jednego z największych handlarzy heroiną, przebiegłego bandziora.

– No... mam go... od twojego kuzyna Sala, tego agenta ubezpieczeniowego. Tego, który mieszka na South Orange Avenue.

Lorraine pokręciła głową.

– No tak, Sal. Sal Długi Język. Ale tak szczerze mówiąc, mimo iż nie powinien był dawać ci adresu Michaela, to cieszę się, że go masz.

Znów się uściskały i odegrały numer Julie Andrews. Echo tych filmowych pierdoł rozniosło się na kraniec świata.

– Lorraine, chwileczkę. Przepraszam panią, ale chciałbym wiedzieć, po co pani do mnie przysłała. Dlaczego nie skontaktowała się pani ze mną przez biuro?

– No bo... no bo chciałam z tobą porozmawiać... nieoficjalnie. – Najwyraźniej mówiła szczerze, była nawet trochę onieśmielona, ale Tozzi nie dał się nabrać.

Ona czegoś chce.

– Nieoficjalne kontakty między adwokatem obrony a agentem federalnym biorącym udział w trwającym śledztwie są surowo zabronione, chyba że toczą się w obecności prokuratora i przełożonego rzeczonoego agenta. – W drzwiach stanął Gibbons, jego twarz wyłoniła się ponad ramieniem Lesley. Wytrzeszczył gały. Ten to dopiero potrafi zagrać złego fedzia.

Lorraine uśmiechnęła się niepewnie, trochę zbита z tropu nagłym pojawieniem się męża.

– Cześć. Jak wszedłeś?

Gibbons popatrzył na nią i obrócił w palcach kartę kredytową.

– American Express. Nie wychodzę bez niej z domu. – Spojrzał na Tozziego. – Zdaje się, że miałeś powiedzieć gospodarzowi domu, żeby zmienił zamek. Ten jest nic niewart.

– Wiem.

Lorraine zmusiła się do uśmiechu i podeszła do męża. Wyglądała przy nim jak Piękna przy Bestii.

– Uwierzyłybyś, że byłam kiedyś opiekunką tej pani? Gibbons, to jest Lesley...

– Wiem, kto to jest. I chciałbym wiedzieć, co ona tu robi?

Lorraine zmarszczyła brwi. Nie była zachwycona manierami męża.

Obcesowe zachowanie Gibbonsa nie zrobiło na Lesley wrażenia.

– Masz absolutną rację. To rzeczywiście może wyglądać niestosownie. Ale moja wizyta nie ma nic wspólnego z procesem. – Obróciła się ku Tozziemu. – Chciałam się z tobą zobaczyć, pogadać o starych czasach, ale nie w sądzie.

– Co?

– Zdaję sobie sprawę, że powinnam była najpierw zadzwonić. Najwyraźniej przyszedłam nie w porę, bardzo przepraszam. Może moglibyśmy więc zjeść jutro razem lunch? Co wy na to?

Tozzi popatrzył na kumpla.

– Kupujesz to? – spytał Gibbons.

Lorraine zmartwiała, ale Lesley zachichotała.

– No cóż, mam nadzieję, że kupi. Co ty na to, Michael?

Tozzi wzruszył ramionami.

– No... dobra, czemu nie.

– A ty, Lorraine, mogłabyś przyjść?

– Jasne, że tak. Bardzo chętnie. – Lorraine rzucała mężowi spojrzenia, które wyraźnie mówiły, że go zabije, jeśli się nie będzie zachowywał właściwie.

Gibbons zsunął kapelusz na tył głowy.

– W takim razie ja chyba też się załapię. Nie byłoby dobrze, gdybyście się z Tozzim spotykali bez nadzoru funkcjonariusza. Na wszelki wypadek powinien być ktoś, kto będzie mógł zaświadczyć, że nie rozmawialiście o procesie, gdyby wam zarzucono łamanie reguł gry.

Lorraine założyła ręce na piersi.

– Nie chcielibyśmy cię zmuszać.

Zerknął na nią z ukosa.

– Nie szkodzi, jakoś wytrzymam.

Lesley uśmiechnęła się do szczęśliwej pary.

– W takim razie spotkajmy się w sądowej rotundzie jutro o dwunastej, dobrze, Michael?

– Mmm... taa, dobrze.

– Wspaniale. A więc do jutra.

Panie się uściślały, ucałowały w policzki, po czym Lesley przecisnęła się obok Gibbonsa. Wychodząc na korytarz, zerknęła na Tozziego i uśmiechnęła się na pożegnanie. Odgłosy oddalających się kroków wypełniły klatkę schodową. Nikt się nie odezwał, dopóki nie trzasnęły zamykane na dole drzwi.

Gibbons spojrział na kolegę.

– O co, według ciebie, chodzi?

Tozzi wzruszył ramionami.

– Przygrywka do łapówki? Mały bodziec finansowy dla zapominalskiego świadka? A ty jak myślisz?

– Przystaniecie? – Lorraine stała z pięściami wspartymi na biodrach.

– Dobry Boże, wy w każdym widzicie przestępcę. Jesteście tacy podejrzliwi. Znam tę dziewczynę od kołyski.

– Ty najwyraźniej nie zdajesz sobie sprawy – powiedział Tozzi, zakładając ręce na piersi – że nasze zajęcie polega na łapaniu przestępców.

– Wyłącznie na łapaniu przestępców – dodał Gibbons, uśmiechając się jak krokodyl.

– A do cholery z wami oboma! – Weszła rozeźlona do kuchni. – Bożonarodzeniowy nastrój.

Gibbons ruszył za nią.

– Wiesz, zawsze uważałem, że Scrooge był w porządku, dopóki te cholerne duchy nie poplątały mu w głowie\*.

\* Aluzja do „Opowieści wigilijnej” Charlesa Dickensa. Bohaterem tej powieści jest skąpiec Scrooge, który w Wigilię Bożego Narodzenia przechodzi duchową metamorfozę i staje się człowiekiem współczującym bliźnim – przyp. tłum.

Lorraine spojrzała na niego wilkiem.

– Mój mąż, znawca literatury.

– Spytaj go, czy zna coś z Yeatsa – rzekł Tozzi. Nie mógł się powstrzymać.

– Kogo? – spytał podejrzliwie Gibbons.

Lorraine zazgrzytała zębami i rzuciła Tozziemu mordercze spojrzenie znad kubka z kawą.

– Dosyć tego pieprzenia – powiedział Gibbons. – Zbieraj się, Tozzi. Ivers chce nas widzieć, natychmiast.

Lorraine rozczapierzyła na blacie palce jak kot pazury.

– Wydawało mi się, że wybieraliśmy się wszyscy na obiad.

Gibbons pokręcił głową.

– Przepraszam, wypadło coś w ostatniej chwili. Potrzebują nas.

Założyła ręce na piersi i wyduła wargi.

Przysiadł obok, oparł się łokciem o stół i nachylił ku niej.

– Przepraszam, ale to naprawdę pilne.

Tozzi był odrobinę zdumiony pojednawczym tonem Gibbonsa. Chyba przemówiło to jego mięciutkie nadzienie.

– A o co ten szum, Gib?

– O Vincenta Giordana. Musimy się nim zaopiekować. – Gibbons zajrzał do pudełka z ciastkami. – Nie uwierzysz, co się dzieje. Te palanty z biura szeryfa zaczęły lamentować, że ich nie uprzedzono, że coś takiego może się wydarzyć. A ponieważ święta za pasem, to oni nie są w stanie zorganizować od ręki stosownej ochrony dla Giordana.

– Ale bzdety!

– Więc kto musi sprzątnąć to łajno? FBI, a któż by inny?

– Ale dlaczego wy dwaj? – spytała Lorraine. – Jest pewnie stu innych agentów w waszym biurze. Dlaczego akurat wy?

Gibbons przekrzywił głowę i uśmiechnął się obmierzle.

– Boże Narodzenie. Ivers wybrał bezdzietnych facetów, ponieważ w takie święta rodziny powinny być razem. – Chwycił ciastko i zaczął je chrupać. – Kurwa mać. – Chwycił drugie na drogę i wstał. – No dobra, Tozzi, idziemy.

– Chwileczkę – powiedziała Lorraine. – Ja też mam złe wieści.

Gibbonsowi opadła szczęka. Zaniepokoił się.

– Co się stało?

– Dzisiaj rano umarł wujek Pete.

– Uff, dzięki Bogu.

– Co?!

– No bo parę dni temu byłaś u ginekologa, nie? Myślałem, że coś nie tak z twoją hydrauliką. Kto to jest wujek Pete?

– Znałeś go przecież. To ten, który mieszkał w Jersey City. Poznałeś go na naszym ślubie.

– Masz na myśli tego pomarszczonego staruszka, który podkradał kandyzowane migdały?

Lorraine zmarszczyła brwi na to wspomnienie.

– Tak, tego.

– Rany, przykro mi bardzo. To ten, który miał ten dom z piaskowca, nie? Przy tym parku, w którym pełno dzieciaków?

– Tak, park Van Vorsta.

– A wiesz co, Toz, słyszałem, że takie stare domy jak ten idą teraz po trzysta, czterysta tysięcy dolarów.

– Tak, wiem – odparł Tozzi. Widział już nadchodzącą burzę.

Gibbons zerknął wymownie na Lorraine.

– Czy wujek Pete cię lubił?

– Bardziej niż Michaela. – Lorraine kipiła ze złości. Spojrzała na pudełko i zaczęła w nim szperać w poszukiwaniu kolejnego ciastka. Próbowwała nie zwracać na nich uwagi. Zaczęła nerwowo chrupać.

– Pytam poważnie. Byłaś z nim blisko związana?

Szperала niespiesznie w pudełku, aż znalazła ciastko w kształcie chatki.

– Słyszałam, że spotkałeś się dzisiaj z Jimmym McCleerym – powiedziała zjadliwie. – Jeśli go znowu zobaczysz, powiedz mu ode mnie cześć. – Zamknęła oczy i powoli wgryzła się w ciastko.

Teraz Gibbons się zatrząsł z wściekłości. Spojrzał wrogo na Tozkiego.

– Szybko, zbieraj się.

Tozzi zacisnął szczękę. Wstał.

– Zaraz będę gotów.

Kiedy brał palto z oparcia krzesła, dostrzegł kątem oka twarz Gibbonsa. Można było na niej usmażyć jajko. Ze wszech miar próbował powstrzymać wesołość, ale nie mógł. Tak, Gibbons był zazdrosnym mężem, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Tozzi patrzył, jak Bestia gapi się na Piękną, jak jedno robi przedstawienie z ciastkiem w kształcie chatki, a drugie pieni się coraz bardziej. Nie mógł uwierzyć, że ona potrafi tak się z nim drażnić. Nigdy by nie pomyślał.

*No, Gibbons, ulżyj sobie.*

Ale i tak Lorraine daleko do Lesley Halloran. Tamta to dopiero musi być żołą. Jak by to było, być jej mężem? Co za myśl! Taa... co za myśl...

- Pobudka, Tozzi, idziemy.
- Idę, idę. – Wypadł na korytarz jak poparzony, żeby nie zobaczyli, że się zaczerwienił.

## 5.

Choć para buchała mu z ust – tak było zimno – Giordano pocił się jak ruda mysz. Krępy Portorykańczyk z FBI i jego kumpel, ten wysoki blondyn – jak on się nazywa? – Cooney, prowadzili go schodami do domu z piaskowca. Trzymali go za łokcie. To taki policyjny chwyt, który oni wszyscy stosowali. Trzeci z fedziów, Tozzi, stał u szczytu schodów, próbując otworzyć drzwi. Tuż za plecami miał tego starszego gościa, Gibbonsa, wyraźnie wkurzonego, lustrującego cienie w parku po drugiej stronie ulicy. Ale ten to zawsze wyglądał na wkurzonego.

- Otworzysz je jeszcze dziś, Tozz? – spytał Gibbons.
- Kurczę, to stary zamek, kiepsko działa... tak jak ty.
- No, dalej, Tozzi, pośpiesz się – rozległo się z tyłu. Giordano spojrział przez ramię: to ich szef, Brant Ivers, zastępca dyrektora nowojorskiego wydziału FBI, wielka fisza. Stał na chodniku, pod latarnią, rzucając długi cień. Pan Władza. Z tych facetów, co to grają w tenisa. Jeżdżą lincolnami, grają w tenisa i pływają z żonami na transatlantykach. Kwadratowe ramiona, kwadratowa głowa, siwizna na skroniach, coś jak ten nieudacznik na kanale dwunastym. Ten, który skończył w wariatkowie.

Giordano spojrział na Tozziego pochylonego z kluczami w ręku nad zamkiem. Szybciej, szybciej. Zadrżał i pokręcił głową. Pod koszulą czuł kamizelkę kuloodporną. Zbroja – tak ją nazwał Tozzi, kiedy pomagał mu ją założyć. Dobra, a co będzie, jeśli trafią w głowę? I kto wpadł na ten genialny pomysł, żeby go przywieźć do Jersey City? To ma być bezpieczne



miejsce? Ludzi się chowa w lesie, w Montanie, w Wyoming, nie w Jersey City. Zbiry Salamandry mogą tu być wszędzie. Na przykład za krzakiem w parku, z karabinem snajperskim. No szybciej, otwieraj te cholerne drzwi!

Wreszcie Tozzi uporał się z zamkiem. Wyciągnął pistolet i machnął na stojących z Iverssem dwóch facetów, którzy mieli pod płaszcami długie giwery. Strzelcy wbiegli po schodach i weszli do środka razem z Tozzim i tym starym zgryźliwcem Gibbonsem. Po chwili w oknach zaczęły się zapalać światła.

*Jezu najmilejszy, co oni robią?! Dają znać całemu światu, że tu jesteśmy? Muszę stąd wiać. Zabiją mnie przez tych skurwieli. Muszę stąd wiać, i to szybko.*

Gdy już cały dom rozświetlił się jak pieprzona choinka, w drzwiach pojawił się Gibbons.

– W porządku, wprowadźcie go.

Cooney i Portorykańczyk chwycili Giordana za łokcie i ponieśli w górę schodów. Kiedy stanęli w progu, Gibbons pokręcił głową i mruknął do nich pod nosem:

– Ale burdel.

Światła w przedpokoju oślepiały. Giordano, wszedłszy do środka, zmrużył oczy. Wewnątrz było zimniej niż na dworze, tyle że był to inny chłód, bezlitosny. Szybko odeszli od drzwi.

– Trzymaj się z daleka od okien – powiedział Cooney.

– Dlaczego?

– Snajperzy.

*O Jezu. Muszę stąd wiać. Jak tylko nadarzy się okazja, spierdalam.*

Czuł się słabo, kręciło mu się w głowie. Zamknął oczy i wtulił głowę w kołnierz palta. Targnął nim gwałtowny dreszcz.

– Dobrze się pan czuje?

Skinął głową, przełknął ślinę, złapał ustami powietrze.

– Na pewno? – To pytał szycha Ivers, stanąwszy przed nim.

– Taa... w porządku.

Otworzył oczy i dopiero wtedy zobaczył wnętrze. A niech to jasna cholera!

Nie wierzył własnym oczom. To było jakieś pierdolone składowisko rupieci. Po obu stronach hallu znajdowały się pokoje, ale niczym nie różniły

się od siebie, wszędzie pełno było tego gówna. Sterty czasopism na podłodze, krzesła pokryte poźółkłymi firankami. W hallu na stoliku stały dwie kuchenki zwieńczone małym staroświeckim tosterem. Do tego spleśniała kanapa, na niej z jednej strony stos butów, z drugiej stare gazety. Chodnik biegnący w górę schodów był w wielu miejscach poprzecierany, a na każdym stopniu wznosiły się przy poręczy sterty naczyń, talerzy, filiżanek, szklanek. W obydwu pokojach znajdowało się po kilka biurek uginających się pod ciężarem kartonowych pudeł, ustawionych w sięgające sufitu kolumny. Pokój, w którym chyba kiedyś jadano, zapchany był zdezelowanymi rowerami. Ten naprzeciwko musiał być chyba pokojem gościnnym, bo stały w nim, jeden na drugim, jak części jakiegoś totemu, trzy telewizory, a na dole duży, w szafce, pośrodku dwudziestocalówka, na górze trzynastka.

– To niewiarygodne – powiedział Portorykańczyk. – I ludzie mówią, że to my, Portoryki, żyjemy jak świnię?

Cooney tylko kręcił głową.

– Wspaniałe lokum. Jak długo musimy tu siedzieć?

Gibbons kopnięciem odrzucił z drogi sflaczałą piłkę.

– Cholera, kim był twój wujcio, Tozzi? Którymś z braci Collyerów?

Tozzi schodził z piętra, wkładając pistolet do kabury.

– Kim?

– No wiesz, Collyerowie, ci dwaj starszankowie, których znaleziono martwych w Harlemie, pogrzebanych żywcem we własnych rupieciach. W latach czterdziestych. Nie słyszałeś nigdy o Collyerach?

– Nie przypominam sobie.

Gibbons zrobił wściekłą minę.

– Ja też nie.

Strzelcy wrócili z sutereny.

– O dół nie musicie się martwić – powiedział jeden z nich – wszystkie wejścia są zawałone... gratami. Tylko do bojlera prowadzi ścieżka, ale tak wąska, że ledwo można się przecisnąć. To wszystko.

– Jezu, Tozzi, czy twój wuj nigdy niczego nie wyrzucał? – spytał Portorykańczyk.

– A jak ci się wydaje?

– Uskarżasz się na coś, Santiago? – zagrzemiał Ivers. Fisza stanął

między pudłami. Miał wkurzający głos dyrektora szkoły.

*Gdzie masz juniorki, Santiago?*

– Nie, proszę pana, na nic – odparł Portorykańczyk. – Chodzi mi tylko o bezpieczeństwo. Zastanawiam się, czy te graty nie ograniczają naszych możliwości ochrony świadka.

Ivers wzruszył ramionami.

– Nic lepszego nie mamy, a zadanie trzeba wykonać. Mamy szczęście, że Tozzi w ogóle pozwolił nam tu przyjść, bo nie byliśmy przygotowani na ochronę świadka. Powiedziałbym, że jak na taki pośpiech, to więcej niż zadowolające.

Giordano zauważył, że Tozzi przygląda się płataninie rowerów w jadalni. Miał nieobecny wyraz twarzy, jakby chciał być daleko stąd. Tak samo jak on.

– Coś nie tak? – spytał Ivers.

– Nie, nie. Myślałem sobie właśnie, że czeka mnie porządkowanie tego całego bajzlu. Jako wykonawca testamentu będę musiał przejrzeć każdą rzecz po kolei, spisać to, co się jeszcze nadaje do użytku, a śmiecie wywalić... Jezusie Nazareński.

Cooney parsknął śmiechem.

– Może pan Giordano poleciłby ci usługi jakiegoś dobrego podpalacza.

Ivers odwrócił się do niego.

– Tego rodzaju komentarze nie są ani mile widziane, ani stosowne. Szczególnie w obecności świadka.

Giordano znów poczuł się słabo. Dlaczego wciąż mówią o nim jak o rzeczy?

*Świadek.*

Ivers po raz drugi zajrzał mu w twarz.

– Na pewno dobrze się pan czuje?

– Tak, nic mi nie jest. Tylko trochę tu zimno.

– Chciałbym, żeby pan wiedział, że według nas wszystkich to wspinały akt odwagi z pana strony. Pańskie zeznania przeciwko Salamandrze i pozostałym handlarzom będą bezcenne. Kiedy to się już skończy, ci ludzie dostaną za swoje. Zmieni pan tożsamość i będzie pan pod ochroną. Nie będzie się pan musiał obawiać zemsty ze strony tych ludzi.

*Tak? Ty, facet, gównu wiesz.*

Ivers przysunął się bliżej.

– Pan jest spocony. Może chce pan czegoś?

*Tak, żebyś w końcu zszedł mi z oczu.*

- Chętnie skorzystałbym z łazienki.
- Tozzi, pokaż panu Giordano, gdzie jest łazienka.

Tozzi wskazał na schody.

– Musisz iść na górę. Łazienka na dole jest po sufit zapchana piłeczkami golfowymi.

- Piłeczkami golfowymi?

Tozzi wzruszył ramionami.

- Z wujka był dziwak; co ja mam wam powiedzieć?

Giordano ruszył za nim po schodach, uważając, by nie nastąpić na filiżanki i spodeczki. W przedpokoju na piętrze znajdowało się jeszcze więcej pudeł i masa starych książek, powiązanych w paczki. Tyle tego było, że musieli iść jeden za drugim, a kiedy dotarli do łazienki, Giordano z wielkim trudem przecisnął się obok Tozziego.

– Ivers ma rację. Nie za dobrze wyglądasz. Pewnie cię jakaś franca dopadła.

- Muszę się tylko wysrać. Czy mogę to zrobić na osobności?

- A co, myślisz, że będę stał i patrzył?

- No nie wiem. W biurze szeryfa patrzą.

– Ci od szeryfa to chorzy ludzie. – Tozzi wyciągnął rękę i wcisnął wyłącznik światła. Na podłodze leżał stos zasłon, pod umywalką stare egzemplarze „National Geographic”, a w wannie gazety i abażury. – Poza tym nie ma tu nawet miejsca dla dwóch. Na razie, rób swoje. Zaczekam w tamtym pokoju, może pod tymi gratami znajdzie się jakieś łóżko dla ciebie.

Tozzi dał krok nad kartonami i ruszył do sypialni naprzeciwko.

Giordano zdjął palto i wszedł do łazienki, zamykając za sobą drzwi. W ostrym świetle nagiej żarówki wewnątrz zrobiło się jeszcze bardziej klaustrofobiczne. Popatrzył w lustro. Pot łał mu się z twarzy strumieniami. Wyglądał bardzo kiepsko, jak przerażony szczyl. I właśnie tak się czuł. Odkręcił zimną wodę, nabrał jej w dłonie i umył twarz. Zaczął szczerkać zębami. Niech to cholera. Patrzył na swoje odbicie w lustrze. Był przegrany i wiedział o tym.

*Gdzie ja, kurwa, mam łeb? Świadek oskarżenia? A gówno! Nie będzie żadnego świadka. Chciałem po prostu się stamtąd wydostać. Ten chuj Augustine zaczął mnie wrabiać. Przejrzałem go. Przez niego sprawy zasłyły za daleko. Pozwolił, żeby oskarżenie trafiło do sądu. A miał do tego nie dopuścić. Sprawy wymknęły mu się spod kontroli i teraz miał już tylko*

*jedno wyjście, żeby wyjść na czysto. Znalazł sobie kozła ofiarnego. Chce mnie w to wrobić. Właśnie mnie, nikogo innego. To jedyne logiczne rozwiązanie. Salamandra to ważniak, Augustine nie może go tknąć. Pozostali to regularni mafiosi albo krewni Salamandry, więc też są nieetykalni. Zostają tylko ja, czyli nikt, ten, którego mają gdzieś. Choć to ja wpadłem na ten pomysł, to ja nawiązałem kontakty z Kolumbijczykami, a potem poszedłem z tym do Nemo. Ale jestem nikim, na mnie im nie zależy. Zucchetti niemal otwarcie to wtedy powiedział. Musiałem spierdalać z tego sądu, zanim Augustine mnie ukrzyżuje. Ale co teraz? Teraz ukrzyżuje mnie Salamandra. Jego ludzie mnie znajdują, to pewne. Kurwa mać, jestem już martwy.*

Serce waliło mu jak oszalałe. W łazience było ciepło i śmierdziało pleśnią. Nie mógł oddychać. Rozpiął koszulę. Żarówka świeciła jak reflektor obrony przeciwlotniczej. Nie ma dokąd uciekać, nie ma gdzie się schować. Jest w pułapce. Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Umrze. Ale tu duszno. Poczuł, że zaraz zemdleje. Usiadł na brzegu wanny, popatrzył szklanym wzrokiem na ten burdel: garnek do gotowania spaghetti, olbrzymia latarka, z tych na baterie R-12, parę połamanych abażurów, klucz francuski...

Widok klucza podsunął mu myśl o narzędziach, takich jak ukryty w torcie pilnik, które można by wykorzystać do ucieczki. Zaczął grzebać w tym bajzlu, nie mogąc się skupić, nie za bardzo wiedząc, czego szuka. Szperał jednak dalej, z nadzieją, że znajdzie coś, co będzie mógł wykorzystać, co okaże się pomocne. Odsunął abażury i grzebał rękami, odgarniając śmiecie na boki, spocony, zdyszany, z sercem walącym jak młotem. Dokopał się do poduszki. Kiedy jej dotknął, uniosła się chmura kurzu i pleśni. Wstrzymał oddech. Pod nią znajdowała się książka telefoniczna. Chwycił ją, żeby odrzucić na bok, i zobaczył, że jest tam coś jeszcze. Patrzył na białe dno wanny, nie bardzo jeszcze rozumiejąc, nie wierząc, że naprawdę widzi to, co widzi. Telefon, chyba jedno z tych bezprzewodowych cacek. Święty Jezu!

Bał się wziąć go do ręki, bał się, że to pułapka. Po jebanych fedziach można się spodziewać wszystkiego. Nie, to głupie, pomyślał, wariuję ze strachu. To przecież śmiecie i graty. Ten umarłak, wuj Tozziego, był

jakimś pierdolniętym kolekcjonerem wszystkiego, co stare i popsute. Ten telefon na pewno nie działa. W tej samej chwili zauważył cienki kabel. Wychodził z wanny i biegł pod stosem czasopism leżących pod umywalką. Giordano upadł na kolana i wetknął głowę za kibel. Zobaczył nierówno wykutą dziurę w ścianie, jakby wybitą młotkiem. Kabel biegł tamtędy dalej.

Cofnął się do wanny i spojrzął na telefon. Kabel przyczepiony był do podstawy aparatu. Nie, na pewno nie działa. Podniósł słuchawkę i przystawił do ucha. Serce skoczyło mu do gardła. Był sygnał.

Usiadł sparaliżowany na krawędzi wanny, z dźwiękiem telefonu w uszach. Czy to pułapka? Czy federalni chcą go udupić? Jezu, Jezu przenajświętszy! Za drzwiami czekał Tozzi. A co, jeśli to nie pułapka? W końcu znajdują ten aparat. Pierwszy, który tu przyjdzie się wysrać, zobaczy kabel. Giordano zdał sobie sprawę, że nie będzie miał drugiej takiej szansy. Jeśli chce coś zrobić, to musi to zrobić teraz. Zaraz.

W jego piersi siedział sędzia Morgenroth i walił młotkiem, ile wlezie, z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości i nabrzmiałą krwią. *Proszę o ciszę! Spokój, bo każę opróżnić salę!* Nagle Giordano przypomniał sobie pewien film, „Muchę”, tę starą, czarno-białą wersję z Vincentem Pricem, o facecie, który się zmniejsza i w końcu przeistacza w muchę z głową człowieka. Tak właśnie wyobraził sobie sędziego wewnątrz swojej klatki piersiowej i bardzo się wystraszył. Wystukał szybko numer, żeby się nie rozmyślić.

Pierwszy, drugi, trzeci sygnał. No, odbierzcie! Czwarty... Tozzi był pewnie za drzwiami, czekał na niego. Piąty... No! Szósty... Odbierzcie, cholera! Siódmy...

– Siłownia u Jimba, słucham.

– Czy jest tam gdzieś Nemo? – szepnął w słuchawkę. – Proszę mi powiedzieć, że dzwoni Vin.

– Chwilę.

Czekał całą wieczność, a tymczasem jego serce wykonywało jakieś ekwilibrystyczne popisy. W końcu Nemo podszedł.

– Ty pierdo...

– Czekaaj, posłuchaj mnie.

– Pierdol się, facet. Jesteś już martwe mięcho. Nie chcę z tobą gadać.

– Posłuchaj mnie, dobrze? Nie mogę długo rozmawiać. Chcę, żebyś powiedział Salamandrze, że wcale go nie będę sypał. Powiedz mu, że zrobiłem to specjalnie, żeby... Mam pewien plan.

– Jaki plan? Co ty mi tu pierdolisz?

*Co ja pierdołę? Ratuje własną dupę, taki mam plan. Mówić, byle mówić.*

– Doprowadzę do unieważnienia procesu. Powiedz Salamandrze, że doprowadzę do unieważnienia procesu.

– Co?

– Załatwię to tak, że sędzia wyrzuci całą sprawę do kibla. Augustine nie robi tego, co powinien, więc ja muszę to zrobić. Powiem im coś na przesłuchaniach, ale w sądzie zeznam coś zupełnie innego, spierdołę im całą linię oskarżenia.

– Jak to ma się udać?

– Teraz nie mogę ci tego wyjaśnić. Nie mogę długo gadać, mówiłem ci.

– Co to znaczy, że nie możesz długo gadać? Lepiej, kurwa, gadaj, dobrze ci radzę. Wiesz, że to ja jestem za ciebie odpowiedzialny. To ja cię wprowadziłem, to ja cię, cholera, rekomendowałem. I to ja dostanę za to w dupę.

– Dlaczego? Co powiedział Salamandra?

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć? Co ty myślisz, że może zadzwoniłem do niego? Masz mnie za durnia? Wszystkim ziemia się pali pod nogami. Oni pewnie myślą, że ja to z tobą ukartowałem. I to jest najgorsze.

– Dlaczego mieliby tak myśleć?

– Bo wciąż mam... tę rzecz. Wiesz, tę z czterdziestoma litrami szamponu. Wiesz, o co chodzi? Nie mogę im tego teraz przekazać, bo pewnie ich pilnują. Ale co będzie, jeśli pomyślą, że specjalnie zatrzymałem dostawę, że chcę ich zrobić w chuja? Wiesz, ile to warte. Czterdzieści kilo czystej heroiny. Niemal dwa balony za jeden kilogram. Osiemdziesiąt balonów jak w mordę strzelił. Jezu Chryste.

– Hej, Vin, jesteś tam? Co nic nie mówisz?

– Jestem, jestem. Posłuchaj mnie. Nie mogę długo rozmawiać, ale wszystko załatwię. Z Salamandrą będziemy na cacy, i ty, i ja, zobaczysz. Teraz dam ci pewien adres. Masz czym zapisać? Chcę, żebyś zawiózł tam te czterdzieści litrów.

– Co ty, odbiło ci?

– Posłuchaj choć przez chwilę! W Jersey City jest taki dom, w którym mieszkał pewien stary zgred. Właśnie kopnął w kalendarz, a ten dom jest pełen różnych gratów. Zapchany tym gównem po sam sufit. Nikt nawet nie zauważył, jak to tu przywieziesz.

– Tyś, kurwa, zwariował...

– I to będzie tutaj bezpieczne, bo nikt w tym domu niczego nie może dotknąć, dopóki testament starego nie zostanie wykonany.

– Pierdol się.

– Chcesz, żeby ludzie Salamandry znaleźli u ciebie te czterdzieści litrów? Teraz, gdy od długiego czasu nie dałeś znaku życia?

*No, Nemo, dalej, decyduj się! Nie bądź dupkiem.*

Nemo nic nie mówił.

– Człowieku, posłuchaj. Chcesz, żeby cię znaleźli z tym gównem? I z tymi śladami po igle na rękach? Tak?

Nemo nadał milczał. Nie miał pojęcia, że ktoś wie o jego nałogu.

– A więc słuchaj, co do ciebie mówię. Zapisz ten adres. Każ temu swojemu Frytce przywieźć towar do domu pana Pete'a Tozziego – T-O-Z-Z-I-E-G-O. York Street 894. To w samym środku Jersey City. Zapisaleś?

– Taa... zapisałem. Ale nie wiem...

– Zaufaj mi. Przywieź to tutaj, tu będzie bezpieczne, przynajmniej przez kilka tygodni. Potem możesz się tu włamać i zabrać wszystko z powrotem. Przywieź to, a potem skontaktuj się z Salamandrą i powiedz mu, że kontroluję sytuację. Chyba że chcesz, żeby się dowiedzieli, że bierzesz to gówno. Mogę powiedzieć któremuś z prokuratorów. Rozniesie się.

*Nemo, nie myśl za dużo. Powiedz, że to zrobisz.*

– Dobra, dobra. Ale co powiem Ugo? Będzie chciał wiedzieć, co się z tego wykroi?

– Powiedz mu, że załatwię unieważnienie procesu. Wszyscy się urwą z haczyka. To się wykroi. I powiedz mu też, że zaoszczędzi dzięki mnie czternaście baniaków.

– O czym ty mówisz?

– Robię to, co powinien robić ten dupek Augustine. A to znaczy, że nic mu się nie należy. Czternaście baniaków zostanie w portfelu Salamandry.

– Hej, Giordano, usnąłeś?

*O kurwa, to Tozzi.*



Wyciągnął rękę i spuścił wodę w sedesie.

– Nie, już wychodzę.

– Ej, Vin – spytał Nemo – co tam się dzieje?

– Muszę już kończyć – szepnął Giordano w słuchawkę. – Powiedz mi tylko, czy na pewno to zrobisz?

– A nie puścisz pary z gęby? No wiesz, o mnie?

– Nie, nie martw się.

Nemo westchnął.

– Jeśli wszyscy się urwą i zaoszczędzimy jeszcze czternaście bania-ków... No dobra, zrobione. Wyślę Frytkę jutro rano furgonetką UPS-a.

– Świetnie. Im szybciej, tym lepiej. Skontaktuję się z tobą.

– Dobra, i spoko...

Giordano odłożył słuchawkę, wcisnął aparat między strony książki telefonicznej i zakopał ją z powrotem w wannie. Rezerwuar w sedesie wciąż się napełniał. Giordano z bijącym sercem przykrył abażurami stos śmieci w wannie. Wstał, odkręcił zimną wodę w umywalce, umył ręce, spryskał twarz i wytarł się postrzępionym ręcznikiem, wiszącym na haczyku. Musi zachować pozory. Wciągnął głęboko w płuca powietrze i zamknął oczy. Serce powoli się uspokajało. Jeszcze raz głęboko odetchnął i otworzył drzwi.

Tozzi stał oparty o szafkę, z rękami założonymi na piersi.

– W porządku, chłopie? Myślałem, że wykorkowałeś.

– Nie, już dobrze, zupełnie dobrze. – Zdobył się na uśmiech. – Teraz czuję się znacznie lepiej.

## 6.

Giordano stał u szczytu schodów i pochylał się, żeby zobaczyć, kto przyszedł. Santiago, ten Portorykańczyk, wrzasnął na niego, żeby się nie wychylał, kiedy otwierają drzwi, bo nigdy nic nie wiadomo, ale on nie mógł usiedzieć na miejscu. Martwił się o ten dywan. Nemo obiecał, że go przyśle, czekał więc na tego wielkiego świra Frytkę, który miał przyjechać tą podrobioną furgonetką UPS-a. Jak dotąd, czekał na próżno. Przy każdej sposobności wyglądał przez okno. Samochody UPS-a były wszędzie, doręczając paczki w ostatniej chwili. Dzisiaj Wigilia. Gdzie ten Frytka, do cholery? Co on sobie myśli? Że przyjedzie tu jutro, w pierwszy dzień świąt? Bez głowy, ci faceci działają bez głowy.

Cooney, kumpel Portorykańczyka, siedział przy wejściu i za każdym razem sprawdzał, kto dzwoni. Giordano usłyszał trzask zamykanych drzwi, lecz widział jedynie plecy agenta. Nachylił się jeszcze bardziej, ale nic nie zobaczył. Kurczę, żeby tylko Nemo się nie rozmyślił. Potrzebuje tego pieprzonego dywanu, żeby móc się targować. Osiemdziesiąt milionów w czystej heroinie, zaszytej w małych paczuszkach w dywanie. Dobije targu z Salamandrą. Dywan za życie. Może grubas na to pójdzie.

Patrząc na okryte czarną marynarką plecy Cooneya, Giordano przypominał sobie nagle tego faceta w stodole, tego z kapturem na głowie, którego zadusili, on i Augustine. Włoska sztuczka ze sznurem. Przypomni

sobie, jak kurewsko bezlitosny okazał się Augustine, jakby całe życie nic innego nie robił, tylko zabijał ludzi. Pamiętał też, że zanim go zabili, Zucchetti spytał, czy facet ma żonę i dzieci. Nie miał. Giordano poczuł suchość w gardle. On też nie miał.

Bóle brzucha powróciły z taką siłą, że musiał wstrzymać oddech. Nawet jeśli ci frajerzy odzyskają dywan, nie ma gwarancji, że Zucchetti odwoła wyrok śmierci. Oni nie rozumieją, dlaczego tak postąpił, myślą, że zamierza ich zakapować. Ale jeśli tylko uda mu się dzięki temu dywanowi zyskać trochę czasu, żeby się pozbierać, to raz, dwa i już go tu nie ma. Przy pierwszej sposobności znika stąd. Nie znajdują go. Ani Salamandra, ani Zucchetti, ani fedzie. Nikt.

Na dole, w zasięgu wzroku Giordana, pojawił się jego obrońca, Marty Bloom. Uniósł ręce nad głowę. Santiago przejechał ręcznym wykrywaczem metalu po jego tułowiu, a Cooney w tym czasie zajął do jego nesesera.

– Mam nadzieję, że Augustine'a też czeka ten rytuał – rzekł adwokat.

– A co? Uważa pan, że to pogwałcenie pańskich praw?

– W żadnym razie. Nie chcę tylko, żeby stracił okazję, by poczuć się jak ważniak.

Obaj agenci parsknęli śmiechem, przez grzeczność. Żydowski humor Blooma ostatnio zawodził.

Zdejmując kapelusz i szalik, adwokat zerknął w górę schodów.

– Dzień dobry, Vincent. Jak się masz?

*Jeszcze żyję.*

– Dobrze, Marty, a ty? – Giordano zszedł, żeby się przywitać.

– Doskonale. Nie mogę narzekać.

– Nie wiedziałem, że mamy się dziś spotkać. No bo dzisiaj Wigilia i w ogóle.

– A jak myślisz, dlaczego wszyscy ci mówią, żebyś wziął sobie Żyda na adwokata? Jesteśmy nie tylko sprytni, ale jeszcze pracujemy w Boże Narodzenie i w Wielkanoc. – Bloom zaśmiał się z własnego dowcipu, ale nikt inny się nie roześmiał.

– A Tom Augustine? Też przyjdzie?

Bloom wzruszył ramionami.

– Powiedział, że wpadnie.

– Nie robi sobie przerwy na święta?  
– Prokurator? Broń Boże! Oni wierzą jedynie w oskarżenia. – Bloom zerknął znad okularów na Santiaga. – Nie powiesz Tomowi, że to powiedziałem, co?

Agent pokręcił głową.

– Proszę się nie martwić.

Bloom spojrział na swojego klienta i uniósł brew.

– Martwię się. Urzędnicy państwowi trzymają ze sobą.

Cooney oddał mu neseser.

– Jest pan czysty. Żadnych bomb.

– Oczywiście, że żadnych bomb. Wszystkie swoje bomby wysyłam do Izraela.

Cooney przewrócił oczami.

– Wy dwaj powinniście mieć dzieci, wiecie? Dzieci to błogosławieństwo. Gdybyście je mieli, nie musielibyście wykonywać tego gównianego zadania – powiedział Bloom.

Santiago uśmiechnął się szczerze.

– Już niedługo. Moja rodzi w marcu.

– *Mazel tov\**.

\* Żydowska formułka oznaczająca gratulacje – przyp. tłum.

– Dziękuję.

Giordana tak bolał brzuch, jakby miał w środku wijącego się boa. Pragnął, żeby Bloom skończył tą cholerną pogawędkę i poszedł do domu. I żeby ten chuj Augustine nie przychodził, na co on tu? Jeśli robiłby to, co do niego należy, w ogóle by ich tu nie było. Jebani prawnicy.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Cooney i Santiago najeżyli się jak przestraszone koty. Portorykańczyk położył dłoń na biodrze, przy kaburze z pistoletem.

– Doktor Augustine, jak mniemam – powiedział Bloom.

Cooney wskazał głową jadalnię.

– Wejdźcie tam – powiedział Santiago, popychając ich do środka. Musieli się wcisnąć między krzesła, kartony i co tam jeszcze było. Santiago stanął w progu pokoju. Wciąż trzymał rękę na biodrze.

Cooney otworzył drzwi na długość założonego łańcucha i wyjrzał. W dłoni za plecami trzymał pistolet.

– UPS. Mam przesyłkę dla pana Pete'a Tozziego.

Boa owinął się dokoła serca i zacisnął sploty. Giordano stanął na palcach i ponad stosem pudeł na biurku zerknął przez okno. Przy chodniku stała zaparkowana brązowa furgonetka UPS-a z błyskającym kogutem. Na desce rozdzielczej walały się torebki McDonalda, serwetki i papierowe kubki. Frytka.

– Nie spodziewamy się żadnej przesyłki – powiedział Cooney ostro, jakby mówił: „Spierdalaj, koleś”.

Boa owinął się wokół żołądka. O kurwa.

Giordano wyciągnął szyję, żeby coś dostrzec ponad głowami Blooma i Santiaga. W lustrze wiszącym w przedpokoju zobaczył koszulę Frytki, opinającą fałdy jego tłustego cielska. Twarzy nie widział, ale spostrzegł papier, który Murzyn trzymał w łapie, i gigantyczny sygnet z wygrawerowaną literą „F”.

*O rany, Cooney się zorientuje. Domyśli się, że jesteś podstawiony: Doręczyciele UPS-a tak nie wyglądają. Nie noszą takich pierścieni. Nie mają chlewu w samochodzie. Kurwa mać, Cooney się zorientuje.*

– Czy odmawia pan przyjęcia przesyłki?

– A co to jest?

– Nie wiem. Bierze pan czy nie?

– Chwileczkę. – Cooney zamknął drzwi i zerknął na Santiaga. – Tozzi coś ci o tym wspominał?

– Skąd.

– Co to może być? – wtrącił się Bloom. – Dlaczego nie użyjecie tego zdrajcy metali, którym mnie obszukaliście? Może ktoś przysłał jeszcze jednego prawnika. – Zachichotał z własnego dowcipu.

*Dupek.*

– Zrób tak, użyj detektora – powiedział Santiago.

Cooney skinął głową i otworzył drzwi.

– Niech się pan odsunie – powiedział do Frytki.

– Po co?

– Inaczej nie przyjmę przesyłki.

– Jak pan sobie życzy.

Giordano zobaczył w lustrze, że Murzyn schodzi o kilka stopni niżej. Cooney zdjął z drzwi łańcuch i kucnął, rozkładając ręce. Giordano wyobraził sobie, jak agent przesuwając wykrzywaczem po dużej, ciężkiej pace, po zrolowanym i zapakowanym w brązowy papier dywanie. Paniczny strach

chwycił go za gardło, kiedy przyszło mu na myśl, że w wewnętrznej plastikowej wyściółce, gdzie schowano prochy, są może jakieś metalowe elementy. Ale chyba powinien tam być tylko towar i plastik. Przecież to musiało przejść przez odprawę celną. Nemo chyba wziął to pod uwagę?

Serce tłukło mu się w piersi jak ptak w klatce. O Jezu.

Cooney się podniósł.

– Chyba wszystko w porządku – powiedział do Santiaga, nie odwracając głowy.

– Podpisz, zaczekaj, aż facet odjedzie, i wnieś to.

– Dobra.

Z powrotem założył łańcuch.

– Podejdz pan, to podpiszę! – zawołał do Frytki. Zlecenie przecisnęło się przez szparę między drzwiami a framugą.

– Proszę podpisać pod szóstką. – Cooney podpisał.

– Życzę panu wesołych świąt – powiedział Frytka.

– Wzajemnie.

Giordano stanął na palcach i spojrzął przez okno akurat w chwili, gdy Murzyn ładował dupę do furgonetki. Usiadł za kierownicą, wyciągnął rękę, chwycił parę frytek z torebki leżącej na desce rozdzielczej i wepchnął je do ust. Silnik zawarczał i samochód ruszył.

Serce omal nie wyskoczyło Giordanowi z piersi.

Cooney zaczął wciągać dywan do środka.

– Jezu, jakie to ciężkie. – Dywan był zawinięty w brązowy papier i obwiązany sznurkiem.

Santiago schował pistolet i wyszedł do przedpokoju. Zamknął za Cooneyem drzwi na zasuwkę.

– Odwiń to.

Giordano przestał oddychać, kiedy zobaczył, że Cooney wyjął z kieszeni scyzoryk, żeby przeciąć sznurek. A jeśli ręka mu się ześlizgnie i ostrze niechcący wjedzie w dywan, przebije jedną z paczuszek i proszek zacznie się wysypywać? Kurwa mać.

Ale Cooney miał pewną dłoń. Przeciął sznur i ściągnął papier. Dywan był luźno zrolowany i złożony na pół. Wyglądał jak duży naleśnik na talerzu. Cooney rozłożył go i rozwinął do połowy. Santiago dokończył nogą.

– Żadnej kartki? – spytał Bloom.

Cooney pokręcił głową. Przyglądał się przesyłce podejrzliwie. Boa znów się owinął Giordanowi wokół żołądka. Bloom pochylił się i pomacał.

– Śliczny dywan. Pewnie oryginalny. Jak myślisz? Perski, turecki?

Giordano uświadomił sobie, że adwokat zwraca się do niego. Wzruszył szybko ramionami.

– Nie wiem, nie wiem. Nie znam się na dywanach. – Zaczął się zastanawiać, jak to zabrzmiało. Czy nie powiedział tego zbyt szybko? Czy nie za prędko się wyparł?

Agenci stali w milczeniu, nachmurzeni, wpatrzeni w dywan. Santiago spojrział na Cooneya.

– Myślisz, że powinniśmy o tym zawiadomić?

Cooney odął usta.

– Po prostu napisz o tym w raporcie. Stary pewnie posłał dywan do pralni albo coś takiego.

Santiago najwyraźniej nie był przekonany.

– Jak widać, nic nigdy nie czyścił. Dlaczego miałby czyścić dywan?

Jezu. Nie pomyślałem o tym. Nemo powinien być włożyć do paki jakąś kartkę. Rachunek albo coś w tym rodzaju.

Marty Bloom zrobił krok do przodu, kręcąc kudłatą głową, z uśmiechem znużonego światowca na twarzy.

– Chłopaki, wy we wszystkim szukacie przestępstwa. Może wuj Tozziego kupił ten dywan przed śmiercią. Może posłał go do renowacji. Może to prezent na gwiazdkę. A może pożyczył go komuś, kto usłyszał o jego śmierci i teraz go zwraca. Może...

– Dobra, dobra, już pan się wypowiedział, mecenasie – rzekł ze śmiechem Cooney. – Czasami dywan to po prostu dywan, to pan chciał powiedzieć?

Santiago zmrużył oczy.

– Chyba że to coś innego, a pan tu nam mydli oczy.

– To zupełnie możliwe, ale z jakiego powodu kazałbym przywieźć to tutaj? Czy to jest broń? Czy mam zamiar zabić własnego klienta i wynieść trupa w tym dywanie? Czy to według ciebie ma sens, agencie federalny?

Santiago stał z rękami skrzyżowanymi na piersi. Cooney chichotał. Bloom czekał na odpowiedź.

W końcu Portorykańczyk się uśmiechnął.

– Dobrze już, dobrze. – Zaczął zwijać dywan. – Przesuńmy to gdzieś w ką. Aha, pamiętaj, żeby powiedzieć o tym Tozziemu – rzekł do Cooneya.

Agenci zrolowali dywan, złożyli go na pół i zaciągnęli do pokoju z rowerami. Giordano odetchnął. Bloom podniósł swój neser.

– Vincent, pójdziemy na górę i klapniemy sobie gdzieś?

– Czy ktoś chce kawy? – spytał Cooney. – Właśnie nastawiłem wodę.

– Bardzo chętnie – odparł Bloom. – Z odrobiną mleka, ale bez cukru.

Mam własny, niskokaloryczny.

– A ty?

– Nie, dziękuję – odparł Giordano, idąc za Bloomem na górę. Chciał być jak najdalej od dywanu. Nie mógł odwrócić od niego oczu i bał się, że Cooney i Santiago to spostrzegą. Kiedy doszli na piętro, ktoś zadzwonił do drzwi i Giordano podskoczył.

Bloom przystanął i spojrzał przez ramię, zasapany.

– To pewnie Augustine.

Santiago otworzył drzwi.

Augustine przywitał go miłym uśmiechem.

– Dzień dobry, Santiago. – Musiał się mocno starać, żeby być dla niego uprzejmym. Portorykańczyk przypominał mu kongresmana Rodrigueza.

– Dzień dobry, panie prokuratorze.

Cooney pojawił się w przedpokoju w chwili, kiedy Santiago zdejmował łańcuch z drzwi. Tom Augustine wszedł do środka, z neserem w jednej ręce, z papierową torbą zawierającą zapakowane gwiazdkowe prezenty w drugiej. Dostrzegł wykrywacz metali w dłoni Cooneya i zaciśnął szczęki, kiedy agent przejechał nim najpierw po jego ciele, następnie po neserze i po torbie. Była to pobieżna, rutynowa kontrola. Sprawdzali wszystkich, którzy tu przychodzili, nie wyłączając urzędników z prokuratury. Wykrywacz był wykalibrowany na dużą ilość metalu, więc nie powinno być problemu. Ale kiedy Augustine zaczął się rozbierać, przyszło mu do głowy, że ktoś może zauważyć, iż ma dziś na sobie nieatrakcyjne granatowe palto, a nie szarobury płaszcz z wełny, jak zawsze. Jeśli ktoś by o to spytał, powie,



że zalał go kawą i oddał do pralni.

Zerknął na schody. Bloom i Giordano przyglądali mu się jak małpy.

– Dzień dobry panom.

Adwokat skinął głową, wstrzymując oddech.

– Cześć, Tom.

– Dzień dobry. – Giordano miał dziwny wyraz oczu: wyrażały wrogość, a zarazem strach. Jedno uczucie karmiło się drugim.

Augustine obdarzył żalosego fiuta uśmiechem. To mógł zrobić.

Odetchnął głęboko i napiął pierś, choć serce mu biło mocno. No, teraz już jest za późno na rozterki. Opanować się i robić swoje. To co trzeba.

– Zanim zaczniemy – powiedział – mam dla was małą niespodziankę. – Pokazał im torbę. – Z okazji świąt. Cooney i Santiago, chodźcie na chwilę na górę.

Ruszył pierwszy, agenci za nim. Bloom i Giordano weszli do sypialni, w której mieli zamiar rozmawiać. Augustine po chwili dołączył do nich. Postawił nesesor na podłodze, a torbę położył na łóżku. Bloom zwalił się na wygodny fotel, żeby odetchnąć. Cooney i Santiago stanęli przy nogach łóżka, a Giordano oparł się o biurko, tuż obok Blooma.

Nie zdjąwszy palta ani rękawiczek, Augustine sięgnął do torby i wyjął z niej dwa pudełka zapakowane w błyszczący papier i przewiązane czerwonymi wstążkami. Sprawdził karteczki z imionami i dał jedno Santiaga, a drugie Cooneyowi.

– Dziękuję, panie prokuratorze. To naprawdę niepotrzebne, naprawdę – rzekł Cooney, speszony. Nieszczерze, aż strach.

– Bardzo dziękuję. – Słowa Santiaga zabrzmiały bardziej naturalnie, ale pewnie tylko dobrze udawał.

– Zaslugujecie na wiele więcej – powiedział Augustine. – Musicie wiedzieć, iż zdaję sobie sprawę, że to, co tu robicie, znacznie wykracza poza wasze obowiązki. – Uśmiechnął się ciepło. – No, proszę, otwórzcie paczki.

Agenci spojrzeli po sobie: dwaj mali chłopcy, którzy mają zamiar zrobić coś, czego robić nie powinni. Wzruszyli zgodnie ramionami i zaczęli odwiązywać wstążki.

Sięgając znowu do torby, Augustine zerknął na Giordana i szybko uciekł oczami przed wrogim spojrzeniem. Serce mu waliło. *No dalej, kończ z tym*, powiedział do siebie. *Już to kiedyś zrobiłeś*. Włożył obie ręce głęboko do torby i poczuł pistolety ukryte w stronicach najświeższej gazety. Nie mógł się doczekać. Ścisnął mocno kolby pistoletów dłońmi w rękawiczkach i położył palce na spusty.

– A teraz wy, panowie...

Nagle wybuchy wstrząsnęły pokojem. Cooney zatoczył się do tyłu, z rękami nad głową, i wypadł do przedpokoju. Santiago trzasnął ciałem o ścianę, tryskając krwią na tapetę, po czym runął do przodu, uderzając głową o kant łóżka. Jego upadek narobił więcej huku, niż Augustine się spodziewał. Jak wór kamieni spadający na drewniany pokład. Osiemdziesiąt kilo martwej wagi.

Zdenerwowanie Augustine'a przemieniło się w tryskającą energią podniecenie. Pistolety były cudownym przedłużeniem jego ramion. Dawały mu siłę. Jak mógł kiedykolwiek wątpić w skuteczność tej cudownej broni?

Odwrócił się do Giordana i Blooma, dwóch przerażonych małpek z otwartymi pyszczkami i wystraszonymi ślepkami.

Uśmiechnął się.

– Wiem, o czym myślicie, panowie. To dziewiętnastki Glocka. Mają siedemnastokulowe magazynki, a mimo to są niemal całkowicie zrobione z plastiku. – Jeden pistolet wycelował w Blooma, drugi w Giordana. – Zdaje się, Marty, że jeden z twoich narkoklientów przemycił coś takiego latem do sądu. Przemknął z tym przez bramkę i załatwił w toalecie konkurenta.

Pamiętasz?

Bloom siedział wciśnięty w fotel. Wdychał powietrze, ale go nie wydychał. Położył dłoń na sercu.

Pistolet z prawej dłoni wystrzelił nagle, jakby sam z siebie. Dwa krótkie, szczekliwe strzały. Głowa Blooma odskoczyła, po czym kiwnęła się do przodu. Adwokat powoli zwinął się w kłębek i spadł z fotela. Augustine zauważył, jak rażąco niezdarne są ludzkie ciała, kiedy padają. W oparciu fotela zostały dwie dziury, jedna nad drugą.

– Ty chuju – syknął Giordano.

Augustine zamrugnął oczami. Oddychał szybko, ale czuł się tak, jakby dostał skrzydeł.

– Niektórzy ludzie są do odstrzału, Vincent – powiedział, łapczywie łykając ustami powietrze. – Powiedziałem to wtedy Zucchettiemu, ale nie chciał słuchać.

– Ty chuju jebany. Miałeś zadbać o wszystko. Nie było mowy o...

– Właśnie to robię. – Kiwnął głową w kierunku martwego Blooma. – Adwokaci obrony podniosą raban, będą się obawiać o własne bezpieczeństwo. Będą się trząść jak galareta. Ich wspólne wołanie o unieważnienie procesu będzie tak głośne i odbije się tak szerokim echem, że nawet ja nic już nie poradzę. Gwarantuję ci to.

Giordano próbował się uśmiechnąć.

– Wspaniale. A więc to koniec, co? To znaczy... że już po procesie?

Augustine skinął głową.

– Prawie.

– Więc ja powinienem zniknąć, prawda? Zwieję i więcej się nie pokażę, tak?

Ponowne skinienie.

Giordano dał niezdamny krok nad ciałem Blooma i ruszył do drzwi.

– Vincent, jeszcze jedno.

Przerażona małpka odwróciła się.

– Tak?

– Ta woda kolońska, której używasz. Zawsze mnie to zastanawiało. Jak się nazywa?

– Eee? A, to... to... Singapur. Trach-trach! Trach!... Trach!

– Jest obrzydliwa.

Giordano huknął głową o podłogę między łóżkiem a ścianą. Przez kilka minut Augustine stał nieruchomo, wpatrzony w ciało, ale ono się nie poruszyło.

*Przepraszam cię, Vincent, ale nie miałem pewności, że będziesz trzymał buzię na kłódkę. Wymknąłeś się spod kontroli. Spanikowałeś. Mogłeś im o mnie powiedzieć, o spotkaniu we Włoszech. Nie mogłem ci już ufać. Zucchetti miał rację. Byłeś słabym ogniwnem. Poza tym martwy oskarżony zwiąże Morgenrothowi ręce i zmusi go do unieważnienia procesu. Jeśli martwy oskarżony może komuś związać ręce.*

Augustine odetchnął głęboko. Serce zwolniło bieg, powoli się uspokajał. Położył na łóżku pistolety, potem neseser i otworzył go. Schował broń, po czym wyjął z torby gazetę i rzucił ją obok. Składając torbę, zerknął na stronę „Tribune” poświęconą sprawom miasta. Wybijał się jeden tytuł: „Obrońcy Figara żądają unieważnienia procesu”. Obok był komentarz Marka Moscowitza. Włożył torbę do nesesera, po czym wziął gazetę i uśmiechnął się. Myślał o Tozzim.

*Dzięki, że mi podsunąłeś ten pomysł, Michael.*

## 7.

Znaleźli wolny stolik przy oknie, i całe szczęście, ponieważ nikt się nie odzywał. Przynajmniej, jeśli rozmowa nie będzie się kleiła, możemy po-  
wyglądać sobie na ulicę, pomyślał Gibbons. Tego ranka znów pokłócił się z Lorraine, bo nie chciał u siebie na ścianach żadnych kolorów, których nazwy pochodziłyby od nazw owoców. Za każdym razem, kiedy wspominała, że chce pomalować łazienkę na „miodowo w malinowy rzucik”, dostawał dreszczy. Chryste! Powiedział jej, że jeśli chciałby mieszkać w straganie z owocami, ożeniłby się z Koreanką. Nie spodobało jej się to. Potem popełnił kolejny błąd mówiąc, że wujek Pete nigdy nie marnowałby pieniędzy na jakieś wyszukane farby, a ona oskarżyła go o to, że wspomina wujka jedynie dlatego, iż obchodzi go spadek po nim. To było pomówienie. Miał głęboko w dupie to, czy stary zostawił jej coś w tej rupieciarni czy nie. Powiedzieli to sobie, a raczej wykrzyczeli, w samochodzie, w drodze na lunch i ona teraz zachowywała się lodowato, traktując go jak powietrze.

Halloran robiła to, co robią wszystkie kobiety w takich sytuacjach, to znaczy oczy trzymała spuszczone, a buzię na kłódkę, na znak poparcia dla Lorraine. Ten lunch to był jej pomysł, powinna więc być mistrzem ceremonii. Ona jednak zajęła się szukaniem czegoś w notesie.

Tozzi, rzecz jasna, nie był zbyt pomocny, siedział zamyślony i podejrzliwy. Nadal nie wiedział, co o tym myśleć. Nie ufał Halloran, ale na jej

widok odczuwał silne podniecenie. Ale kino. Czy ten facet przestanie kiedyś myśleć fiutem? Może kiedyś, jak mu stuknie dziewięćdziesiątka.

Gibbons zaczekał, aż wszyscy usiądą, po czym klapnął przy samym oknie, urwał kawałek chleba z bochenka w koszyku i odwinął kostkę masła. Pieczywo było ciepłe, za to masło zmarznięte i twarde jak skała. Lorraine siedziała naprzeciwko, ze spuszczonej powiekami, sącząc wodę ze szklanki. Nawet nie chciała na niego spojrzeć. Miodowy w malinowy rzucik. Czy jest się o co klócić?

Spróbował rozsmarować twarde masło, lustrując jednocześnie lokal. Tradycyjna, rodzinna włoska knajpka z obrusami w kratę, zaledwie kilka przecznic od sądu, w Małej Italii. Jednak naprawdę interesowała go inna restauracja – ta znajdująca się po drugiej stronie ulicy.

Ugryzł kawałek chleba i spojrzął w jej kierunku. Mieściła się na parterze budynku mieszkalnego. Dzięki ciężkim czerwonym kotarom z welwetu, zakrywającym frontową witrynę, wyglądała bardziej elegancko niż restauracja, w której siedzieli. Na parapecie stało otwarte menu, tak jak tu. Szyld biegł wzdłuż całej szerokości budynku: LA BELL' ISOLA RISTORANTE – WYBORNE WŁOSKIE POTRAWY I WINA. Na skraju lewej strony witryny była mapa Sycylii, ukazująca tylko czub włoskiego buta oraz kopaną przez niego wyspę, przypominającą mocno zdeformowaną piłkę. La Bell' Isola, Piękna Wyspa. Restauracja należała do Salamandry. Na górze miał mieszkanie. Gibbons, żując chleb, zerknął na Halloran. Czy to zbieg okoliczności, że wybrała knajpę naprzeciwko lokalu Salamandry? Może Tozzi ma rację, że jej nie ufa?

W końcu Halloran znalazła w torebce to, czego szukała.

– To moja córka Patricia – rzekła. Położyła zdjęcie na stoliku, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

Jezu Chryste! Tylko na to ją stać?

Lorraine wzięła fotografie do ręki.

– Śliczna. – W jej słowach nie było za wiele uczucia, bo się dąsała. Ale przyzwoitość nakazywała coś powiedzieć. – Ile ma lat?

– W zeszłym tygodniu skończyła pięć.

Gibbons rzucił okiem na zdjęcie.

– Fatalnie – powiedział.

Lorraine popatrzyła na niego wrogo.

Odwzajemnił się tym samym.

– Chodzi mi o to, że fatalnie jest mieć urodziny w grudniu, tak blisko gwiazdki. Dostaje się wtedy mniej prezentów, chyba że rodzice są nadziani. Wiem coś o tym, ja też mam urodziny w grudniu.

Lorraine zmiażdżyła go spojrzeniem i wypięła łyk wody. Lesley zwilżyła językiem wargi i uśmiechnęła się nerwowo. Próbowwała rozruszać towarzystwo, ale to posunięcie jej nie wyszło. Większość ludzi, którzy mają małe dzieci, uważa rozmowę o potomstwie za temat bezpieczny, przełamujący pierwsze lody. Ale to działa tylko wtedy, gdy pozostałych Pan Bóg też obdarzył dziatwą albo gdy są oni starymi ramolami, którzy mają fisia na punkcie wnucząt.

Tozzi wziął do ręki zdjęcie.

– Milutka – powiedział.

Wyglądał jak jedna z tych kamiennych rzeźb na Wyspie Wielkanocnej. Mała naprawdę była ładna, ale nie miał zamiaru z tego powodu paść trupem. Nie dla Lesley Halloran. Nie da jej tej satysfakcji.

Halloran dzielnie próbowała przełamać jego rezerwę i posłała mu jeden z tych uśmiechów typowych dla przymulonych rodziców, z nadzieją, że może jednak uda jej się wykrzesać z towarzystwa odrobinę wesołości.

– Patricia nie może się doczekać gwiazdki. Wciąż jeszcze wierzy w świętego Mikołaja, co jest dość niezwykle u dziecka mieszkającego w mieście.

Tozzi skinął głową. Lorraine skinęła głową. Gibbons skinął głową. Święty Mikołaj. Co można powiedzieć o świętym Mikołaju?

Lesley zmieniła temat.

– Słyszałam, Michael, że twoje biuro strzeże Vincenta Giordana. Zwykle to chyba szeryf zajmuje się takimi sprawami?

Gibbons odął usta. Uchwycił spojrzenie Tozziego. To miało być małe przyjacielskie gadu-gadu, lunch w miłym gronie, no, może niezobowiązująca zawodowa dyskusja, ale nic ponadto. Czy pani mecenas ma nadzieję, że dostanie się jej podczas posiłku kilka interesujących kąsków informacyjnych na temat Giordana? A może myśli, że Giordano się przed nimi

otworzył, że codziennie o północy spowiada się w kryjówce, bełkocze jakieś egzystencjalne pierdoły, jak w filmach szpiegowskich? Może myśli, że w chwili załamania wyznał, dlaczego zdecydował się sypać kumpli? I że z kolei teraz oni powtórzą jej jego zwierzenia – w końcu ona, Tozzi i Lorraine przeżyli razem kawałek dzieciństwa. Może myśli, że powiedzą jej, co Giordano zamierza zeznać w sądzie, aby mogła zawczasu przygotować nową linię obrony? Że porcją ozorków wyjedna sobie u nich względy? No to myśl tak dalej, kochanieńka.

Gibbons odgryził kolejny kęs chleba. Jeśli o nią chodzi, Tozzi chyba trafił w dziesiątkę.

– No więc jak to jest? – spytała Halloran. – Przecież zwykle to szeryfowie strzegą świadków. Rzadko się zdarza, żeby robiło to FBI.

Tozzi odstawił szklankę.

– Masz rację, rzadko. – Powiedział to takim tonem, jakby jej mówił, żeby poszła do diabła.

Zamilkła i spojrzała na niego spod oka, rozciągając usta w ostrożnym uśmiechu.

– Michael, chyba nie myślisz, że zaprosiłam cię tu po to, żeby wycisnąć z ciebie informacje na temat Giordana, co? W pełni zdaję sobie sprawę, że nie możesz mi nic powiedzieć.

– To dobrze. Nie pytaj więc.

Lorraine posłała kuzynowi złowrogie spojrzenie. Uważała, że zachowuje się jak cham. Do diabła z nią. Ona nie ma pojęcia, o co tu naprawdę chodzi.

Lesley nachyliła się i zajrzała Tozziemu w twarz.

– Nie ufasz mi, prawda? – Obróciła się do Gibbonsa. Jej oczy nabrały koloru głębokiego błękitu. – I ty uważasz, że za tym spotkaniem coś się kryje?

Gibbons wzruszył ramionami. Czy ona naprawdę chce, żeby jej odpowiedział?

Lorraine miotła wzrokiem pioruny. Boże, ona nic nie rozumie.

– Może jednak ten lunch to nie był najlepszy pomysł – powiedziała Lesley. – Mam wrażenie, że wy, panowie, myślicie, że ja coś knuję. Zdaję sobie sprawę, Michael, że nie lubiliśmy się zbyt w szkole, ale myślałam,



że to przeszłość. Taki proces to naprawdę urwanie głowy, ciągnie się tygodniami, miesiącami. Kiedy więc zobaczyłam w tłumie znajomą twarz, bardzo się ucieszyłam. Myślałam, że ty też. Dlatego do ciebie przyszedłam.

Brzmiało to szczerze i Lorraine wbiła wzrok w Tozziego czekając, że stanie się miłszy. Ale ona nie ma pojęcia, że adwokaci potrafią świetnie grać. Rzeczywiście wyglądało na to, że w tej chwili Lesley trzyma serce na dłoni, ale tak naprawdę z prawnikami nigdy nic nie wiadomo.

Nagle ktoś zapukał w witrynę i Gibbons instynktownie sięgnął po broń. Kiedy zobaczył, kto to, pożałował, że nie wyciągnął pistoletu i nie stuknął faceta przez szybę. Jimmy McCleery stał na mrozie z łapami podniesionymi do góry, z łobuzerskim uśmiechem na japie. Opuścił ramiona i ruszył do drzwi. Jakby ktoś go zapraszał. Spojrzał na Lorraine, a jej twarz rozjaśniła się na widok tego sukinsyna.

– Lorraine Tozzi – powiedział McCleery, podchodząc do stolika – w mroźny dzień twój widok rozgrzewa człowieka. – Patrzył tylko na nią. Skąd on wie, że nie zmieniła po ślubie nazwiska? Dlaczego nie zwraca się do niej per Lorraine Gibbons?

– Jak się masz, Jimmy? – Wstała i przechyliła się nad Lesley, żeby ucałować się z McCleerym.

Gibbons zacisnął zęby, przygryzając wargę.

– No, no, ale obrazek – powiedział Irlandczyk, kiedy już skończył podlizywać się Lorraine. – Dwóch chłopców z FBI, piękna pani adwokat i najśliczniejsza pani profesor historii, jaką widział świat. – Zacierał ręce. Miał czerwoną gębę i gołą głowę. Fagas dawno już skończył dwadzieścia lat, ale nie brakowało mu ani jednego włosa. Zdobila go ciemnobrązowa falista czupryna, którą lubił się chwalić.

– Co jest, McCleery? – odezwał się Gibbons. – Nie możesz znaleźć baru?

– I ciebie też miło widzieć, Cuthbert. – Oczywiście McCleery'ego zabłyśły. Były podkrążone, ale czały się w nich ogniki.

W Gibbonsie zawrzała krew, ale ugryzł się w język. Nienawidził, gdy ludzie zwracali się do niego po imieniu, zwłaszcza jeśli wiedzieli, że tego nie cierpi, ale nie miał zamiaru dać McCleery'emu satysfakcji.

– Co to za okazja, panie i panowie? Małe gwiazdkowe popijanko? – Jego sarkazm był tak toporny jak jego irlandzki akcent.

Tozzi założył ręce na piersi i odchylił się na krześle.

– Czy chcesz powiedzieć, że robimy coś niestosownego?

– Ależ skąd, jestem jak najdalej od oskarżania cię o cokolwiek, Tozzi. Ale powinniście wziąć pod uwagę wrażenie niestosowności, jakie może robić na ludziach wasz widok, chłopcze. Siedzicie tu w witrynie, żeby cały świat mógł was zobaczyć. Zawsze myślałem, że wy, makaroniarze, jesteście bardziej przezorni. – W jego oczach zapaliły się błyski niegodziwości.

Gibbons też skrzyżował ręce.

– Pani Halloran, Tozzi i moja żona znają się od dziecka. Wychowali się w tej samej dzielnicy. Jeśli mi nie wierzysz, McCleery, to idź i powęsz trochę. To właśnie sprawa godna ciebie.

McCleery uniósł brew, wkładając ręce do kieszeni palta. Wypisz wymaluj – inspektor Clouseau.

– Czy tak, Lorraine?

– To prawda, Jimmy. Choć Michael i Lesley niezbyt się wtedy lubili.

Gibbons zerknął na nią z ukosa. Wielkie dzięki, Lorraine. Zrób ze mnie kłamcę.

Lesley przemówiła, jakby zgłaszała sprzeciw w sądzie.

– Michael i ja mieszkaliśmy na tej samej ulicy. Tak naprawdę, to Lorraine była moją niańką.

McCleery wywalił gały.

– Nieceeee. Nie mówi chyba pani o tej pięknej kobiecie, o ślicznej pani Gibbons. Jak to, przecież ona jest od pani starsza co najwyżej o kilka lat! Prawda, wyszła za mąż za mężczyznę w sędziwym wieku, ale sama jest tchnieniem młodości. – Złotousty poeta McCleery patrzył na Gibbonsa, a po jego twarzy błąkał się uśmiezek spryciarza. Gibbons najchętniej by mu ją rozkwasił. Zaczął rozważać, czy aby nie odgryźć mu tego zadartego nosa.

– Może zostawiłbyś nas w spokoju?

– Właśnie chciałem was pożegnać, mój chłopcze. – Postawił kołnierz.

– Ale pamiętaj, co mówiłem o pozorach. To naprawdę wygląda ślisko.

Halloran zacisnęła szczęki i zmrużyła oczy.

– Jeśli coś się panu nie podoba, proszę złożyć formalne zaskarżenie w

sądzie. Nie mamy nic do ukrycia.

– Och, proszę pani, nie do mnie należy donosić sądowi o takich sprawach. Ja składam raporty prokuratorowi Augustine. On decyduje, czy coś powinno trafić do sędziego, czy nie.

– No to biegnij pan do niego w podskokach i opowiedz, coś pan widział.

– Droga pani, ja pracuję w biurze prokuratora. Nie dopełniłbym swoich obowiązków, gdybym o tym nie powiedział. – Irlandzkie ślepia żyły własnym życiem.

– Więc proszę się ode mnie ukłonić panu Augustine. I proszę mu powiedzieć, że jeśli chciałby przedyskutować z sędzią kwestię dotyczącą wyboru, z kim mam jeść lunch, to będę mu bardzo zobowiązana. – Halloran tryskała żrącym kwasem.

Gibbons zaczynał ją lubić.

– Na pewno nie omieszkam mu o tym powiedzieć. Panowie, życzę smacznego. Do widzenia, Lorraine. – McCleery skinął głową, po czym wycofał się tyłem do drzwi, nie spuszczać oczu z Lorraine. Wychodząc zasałutował lekko Gibbonsowi.

*Pierdol się, fiucie.*

Lorraine otworzyła menu.

– On właściwie ma rację. To rzeczywiście wygląda trochę podejrzanie.

Trzy pary oczu wpiły się w nią. Jezu, ona sama się prosi. Gibbons nachylił się ku niej, oparty łokciami o stół.

– A ty kim jesteś? Wyrocznia? Skąd wiesz, co wygląda podejrzanie, a co nie?

Lorraine z trzaskiem zamknęła menu.

– Według mnie Jimmy ma słuszość. Mam chyba prawo zgadzać się z nim?

– Tak? Kurwa mać, jeśli wy dwoje tak się we wszystkim zgadzacie, to idź i jego łazienkę pomaluj na miodowo w malinowy rzucik!

– Jestem pewna, że by mu się podobało.

– Jasne, jeśli ty byś w niej siedziała.

Halloran rzuciła spojrzenia po restauracji. Najwyraźniej była speszona. Ludzie zaczynali się im przypatrywać, a kelnerzy udawali, że ich nie widzą.

Tozzi położył rękę na ramieniu szwagra.

– Gib, daj spokój, jesteśmy w knajpie.

– Powiedz to swojej kuzynce – warknął Gibbons. – To ona ciągle zaczyna.

Lorraine zrobiła minę obrażonej królowej.

– Idę do toalety.

– Pomaluj ją na miodowo, jak już tam będziesz.

Jej wysokość puściła tę uwagę mimo uszu i odeszła od stolika. Halloran westchnęła głośno i ruszyła za nią. No tak, jak zwykle. Dlaczego baby tak uwielbiają łaźnię do kibla? Posiedzą tam teraz pewnie z godzinę. Jezu.

Podszedł jeden z kelnerów i spytał, czy zostają na lunch. Facet był śmiertelnie poważny, jakby ktoś mu właśnie umarł. Tozzi powiedział, że owszem i poprosił o listę win. Albo skurwiel chciał uspokoić knajpiarzy, albo popisać się przed Halloran kieliszkiem chianti w środku dnia. Jezu najmilejszy.

Gibbons wsparł głowę na pięści i popatrzył przez okno na ruchliwą Grand Street, przekonany, że teraz to jeszcze długo nic nie zjedzą. A jeśli nawet, to on nie będzie miał z tego żadnej przyjemności. Przez McCleery'ego.

*Powinienem być go zastrzelić, zanim tu włącz. Lorraine myśli, że z niego taki świetny poeta? Powinien więc umrzeć młodo.*

Przyglądał się Bell' Isola” Ristorante po drugiej stronie ulicy, kiedy nagle zobaczył, że otwierają się drzwi, prowadzące do mieszkań na piętrze. Na ulicę wyszedł gruby mężczyzna w palcie z wielbłądziej wełny, prowadząc na smyczy psa. Był to bardzo młody owczarek niemiecki o silnych łapach, nieproporcjonalnie grubych w porównaniu z tułowiem. Szczeniak wachał wszystko jak oszalały, ciągnąc swego pana w kierunku krawężnika. Gibbons zmrużył oczy i przyjrzał się grubasowi. Tak jak myślał, był to Ugo Salamandra.

Ee tam, nic tu po mnie. Tylko zazdrość człowieka zżera, pomyślał. Wstał i zaczął wkładać płaszcz.

– Dokąd to? – spytał Tozzi.

– Zapomniałem o czymś. Mam coś do załatwienia. Kupię sobie pizzę na wynos w drodze do sądu. Wy tłumacz mnie jakoś. – Przepisnął się za plecami Tozziego.

– Ale, Gib, przecież...

– Złapię cię później w biurze. – Otworzył drzwi i wyszedł na mróz, zanim Tozzi zdążył coś powiedzieć. Nie chciał tego słyszeć.

Podszedł do jezdni, zapinając płaszcz i wciskając kapelusz głębiej na głowę. Po drugiej stronie ulicy grubas z psem skręcali właśnie za róg. Gibbons włożył ręce do kieszeni i ruszył za nimi.

## 8.

Pies charczał, prąc do przodu wzdłuż krawężnika, wbiegając do rynsztoka, to znowu wskakując z powrotem na chodnik, cały czas z nosem przy ziemi. Uczepiony drugiego końca smyczy Salamandra mówił coś do niego po włosku. Brzmiało to tak, jakby mu dodawał odwagi, jakby go zachęcał do biegu. Dogoniwszy grubasa na Mulberry Street, Gibbons wskazał palcem na zwierzę.

– Jeśli ten kundel zesra się na ulicy, a ty tego nie sprzątniesz, to cię zapuszczuję.

Salamandra obejrzał się przez ramię, a potem rzucił spojrzenie w bok. Nagle nie wiadomo skąd pojawili się dwaj goryle, zachodząc Gibbonsa z dwóch stron. Jebani Sycylijczycy, jak zwykle wyskakują spod ziemi. Zrobił się zwierzyniec.

Salamandra nie wydawał się zbity z tropu czy zdumiony. Miał zaspiane oczy, a na gębie ten swój rubaszny uśmieszek „ho-ho-ho”.

– Pan nie może mnie aresztować. Sprzątać psia kupka to należy do funkcjonariusz miejski, a nie federalny. Efbijaj nie ma jurysdykcja na psia kupka. – Wyglądał jak wielki, uśmiechnięty Budda.

Gibbons zerknął na goryli. Obaj mieli krótkie nogi i wielkie bary. Bez płaszczy, tylko marynareczki, a pod nimi sweterki. Budda wciąż się szczerzył jak palant. Jasne, nietrudno zachować zimną krew, jak się ma taką ochronę.

– Lepiej mnie zapamiętaj – powiedział Gibbons.

– Pewnie, że ja pana pamiętam. Nie pamiętam nazwisko, ale pamiętam

twarz. Czemu nie? Wciąż pana widzę w sąd. Pan jeden z tych agentów Efbijaj, którzy mnie aresztować dawno wtedy, co? Kiedy zrobili pomyłkę, myśleli, że ja jestem ktoś inny. – Salamandra spojrzał Gibbonsowi w oczy, uśmiechając się jak zwycięzca. Facet miał nerw.

– Według ciebie bierzemy cię za kogoś innego, co? Mamy nie tego, kogo szukamy, ee?

– No jasne! Ja nie handluję narkotyk. Jestem biznesman. Ja importuję włoskie jedzenie: ser, olej, pomidor, pieprz...

– Tak, tak, a ja jestem papieżem.

Pies skamlał, szarpiąc się na smyczy.

– Proszę pana. Panie Efbijaj, niech pan ze mną idzie, bo mój pies, ona chce iść.

Ruszyli, prowadzeni przez owczarka Mulberry Street w kierunku Canal Street.

Gibbons wcisnął ręce do kieszeni.

– Ugo, jak na faceta, który jest oskarżony o handel narkotykami, wyglądasz na całkiem zadowolonego jegomościa.

– Zawsze zadowoloni. – Budda wykonał szeroki gest ręką. – Nigdi niedobrze, gdy smutni. Pan smutni, to pan chori, a wtedy do widzenia, pan umrzeć. Zawsze się ja śmieję. Dobre dla człowieka, lepsze niż lekarstwo.

– A co to, teraz jesteś lekarzem?

Salamandra się zaśmiał.

– Proszę pana Efbijaj, jest Boże Narodzenie. – Wskazał ręką na sznur lampek wplecionych w błyszczące girlandy, rozpięte nad ulicą między jednym słupem telefonicznym a drugim. – Każdy powinien być zadowolony na Boże Narodzenie. Pan nie lubi Boże Narodzenie?

Gibbons wzruszył ramionami.

– Kiedy byłem mały, lubiłem.

Salamandra pokręcił głową

– Nie, nie, panie Efbijaj, tak niedobrze myśleć. Umrzesz pan młodzi, jak myślisz tak.

Gibbons zajrzał mu w twarz.

– Grozisz mi?

Pulchne policzki Buddy wyduły się w uśmiechu.

– Pan taki podejrzliwi. Pan musi być Włoch, co?

– Nie.

Boże broń.

Mijali właśnie jakiś lokal oznaczony szyldem „Klub”. W jego witrynie stało trzech brzuchatych facetów w ciemnych garniturach. Wyglądali na ulicę. Zerknęli podejrzliwie na Gibbonsa i Salamandrę i odprowadzili ich wzrokiem. Jeden z goryli powitał ich pomrukiem. Salamandra dostrzegł, że Gibbons ogląda się na cwaniaczków i znów się zaśmiał. Mokry, soczysty śmiech.

– Pan miśli, że oni mafia, nie? Że bardzo źli ludzie, nie?

– A co ty myślisz?

Odął wargi i wzruszył ramionami.

– Nigdy ja nie spotka żadnego facet z mafia. Nie wiem, jak on wygląda.

– No a twoi współoskarżeni? Przecież wiesz, jak wyglądają.

Salamandra ściągnął usta i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć: „Facet, ty nic nie wiesz”.

– Ci ludzie w sąd to nie są moi przyjaciele. Nie znam ich. Naprawdę. Ale jedno wiem – oni nie są z mafia. Może przestępcy, może. Ale nie mafia, nie uważam tak.

– Dlaczego nie?

– Mafia jest jak... ee... jak święty Mikołaj. – Wskazał głową papierowego Mikołaja przyklejonego do szyby w witrynie pizzerii. – Każdy na świecie wie o Mikołaj, ale on nie jest prawdziwy.

– A więc chcesz mi powiedzieć, że nie istnieje coś takiego jak mafia?

– Jasne, istnieje, pewnie. Ale nie w Amerika. Była kiedyś mafia w Amerika. Może dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu. Dzisiaj może się nazywają mafia, ale nie są mafia. To śmiecie, nie mają *coglioni*. – Chwycił się za krocze. – Rozumiesz pan, co ja mówię? Robią zwariowane rzeczy i mówią, że są mafia. Ale nieprawda, gówno prawda.

– A co z makaroniarzami?

– Ja nie wiem, co to.

– No, makaroniarze, Sycylijczycy, cwaniaczki, które tu działają, tacy jak ty i inni oskarżeni.

– Ci ludzie, ja o nich nie wiem nic. Ja, ja nie jestem mafia. Ja jestem biznesmen. Mówiłem panu już to. – Budda odął wargi i zaakcentował ostatnie zdanie kiwnięciem głowy.



– A wiec mówisz, że nie ma czegoś takiego jak mafia?  
– W Amerika, ja myślę nie.  
– A na Sycylii?  
– W Italia, na Sicilia, to tak. Tak myślę. Bardzo cicha, ale potężna na Sicilia.

– Ale tu mafii sycylijskiej nie ma?

Salamandra wzruszył ramionami i spojrzał na Gibbonsa tak, jakby odpowiedź była oczywista.

– Sicilijska mafia to bardzo ciche ludzie. Jeśli są tu, w Nowy Jork, nikt nie wie. Może tu są, może tu nie są. Nigdy nie wiecie.

– Ale ty nie jesteś w mafii sycylijskiej?

– Nie! Mówiłem już.

– I nie nazywają cię Cyrulikiem Sewilskim?

Budda tak się zaśmiał, że oczy zniknęły mu w fałdach tłuszczu. Nagle zaczął śpiewać na całe gardło:

– Fiii-ga-ro, Fiii-ga-ro, Figaro, Figaro... – Strasznie fałszował.

Pies zatrzymał się w pół kroku, pacnął na zad i spojrzał na swojego pana w osłupieniu. – Widzi pan? Nie za dobry ja Cyrulik Sewilski. – Salamandra śmiał się na całe gardło. Po policzku ściekała mu łza, a w kącikach ust zebrała się piana. To była naprawdę barwna postać.

Nagle zapisał pager Gibbonsa. Pies szarpnął się dziko na smyczy, a goryle natychmiast ruszyli do przodu.

– Odwołaj posiłki, Ugo, to tylko mój pager. – Kiedy ochroniarze się cofnęli, Gibbons rozpiął płaszcz i zdjął z paska aparat, żeby zobaczyć, kto go woła. Natychmiast rozpoznał numer: biuro. Chcieli, żeby zadzwonił.

– Panie Efbijaj, lepiej niech pan idzie telefonować. Może musi pan aresztować następnego biznesmen.

– To może zaczekać. – Gibbons wyłączył pager i wepchnął go do kieszeni. – Powiedz mi coś. Jak na kogoś, kto nie jest w mafii, wiesz o niej bardzo dużo. Jak to jest?

– Wyjaśnię to. W Italia każdy uczeń wie o mafia. W Amerika wy macie kowboje. Szeryf, on robi bam-bam! – strzela wszystkie złe ludzie, jest wielki bohater. Tak jest? A my w Italia mamy mafioso. On się nazywa un uomo d'onore, człowiek honoru. Taki sam jak kowboj.

Gibbons parsknął i splunął na chodnik.

– Człowiek honoru, takiego wała. Ścigam mafiosów od trzydziestu lat i nigdy nie spotkałem takiego, który by chociaż z grubsza wiedział, co to honor.

Salamandra rozłożył ręce w geście rozdrażnienia.

– Ale właśnie to mówię panu. W Ameryce nie ma mafii. Jak możesz pan znaleźć człowieka honoru w Ameryce, jak go tu nie ma?

Gibbons zerknął na psa i zmarszczył brwi. Nie miał ochoty grać z tą kupą gówna w otwarte karty, ale chciał się dowiedzieć, co grubas zamierza. Jak na oskarżonego, był on zbyt pewny siebie, zwłaszcza w sądzie. Wkurzający gość. Mimo to Gibbons wolał rozmowę z nim niż powrót do restauracji i kolejną kłótnię z Lorraine.

– A we Włoszech? Czy tam ludzie honoru są honorowi?

– Naturalnie. Ludzie honoru działają w tajemnicę. Jeśli ktoś zdradzi ich tajemnicę, oni się bardzo gniewają.

– I co wtedy?

– Zabijają człowieka, jego rodzinę. Płaci za to. – Wzruszył ramionami, unióś brwi i wysunął dolną wargę. Dla niego to było oczywiste.

Doszli do rogu Mulberry i Canal Street. Na Canal Street samochodyjechały w ścisłym zderzaku przy zderzaku, trąbiąc wściekle na przechodniów okutanych w zimowe ubrania, z kapeluszami naciśniętymi głęboko na oczy, przemykających przez skrzyżowanie z torbami pełnymi sprawunków. Gibbons zauważył, że w okresie Bożego Narodzenia ludzie robią się jacyś przymuleni, zwłaszcza ci, którzy zjeżdżają na zakupy z Jersey i z Island. Nie patrzą, co się dzieje dokoła. Myślą tylko o jednym: o gwiazdce. To zdumiewające, że tak mało ich ginie pod kołami. Może reszta została w domu, gdyby przydarzyło się to paru osobom więcej. Czerwone mięso w puchowej kurtce na chodniku. Kilkadziesiąt kilogramów krwistego befsztyka w ortalionie. Ładny widok. Powinni to puścić w telewizji jako reklamę. Może wtedy ci durnie zastanowiliby się dobrze, zanim zwaliliby się do miasta w poszukiwaniu okazjnych cen.

Salamandra przytrzymał psa i zszedł z chodnika na jezdnię. Goryle ruszyli tuż za nim. Najwyraźniej chciał przejść na drugą stronę, do chińskiej dzielnicy. Gibbons, zdziwiony, spojrzał w tamtą stronę. Po co on tam, cholera, lezie?

– Ugo, pogadajmy bez ogródek. Mówisz, że w Ameryce nie ma mafii i że ty w niej nie jesteś. A wiec co robisz od tylu dni w sądzie? Walisz konia? Mamy tysiące godzin taśm magnetofonowych, kaset video, zdjęć, tuziny agentów gotowych zeznawać, że widzieli was, jak sprzedajecie prochy, jak pracujecie razem, żeby sprzedać ten szajs. Że pracowaliście jak jedna wielka rodzina. A tak właśnie działa mafia, jak rodzina. Nie mam racji?

– Nie wiem, ja nie jestem w mafia.

– Daj spokój z tymi bzdetami. Powiedz mi tylko, dlaczego według ciebie rząd Stanów Zjednoczonych zadaje sobie tyle trudu, nie szczędzi czasu ani wydatków, żeby postawić was przed sądem, skoro to takie oczywiste, że tu nie ma mafii, co? Odpowiedz mi.

Budda znów wysunął dolną wargę i wzruszył ramionami.

– Dla rozgłos. Tak się mówi? Na pokaz dla wyborcy.

– Na pokaz? Ty, cholera, nawet nie wiesz, o czym gadasz.

Salamandra wskazał ręką na tłumek ludzi stojących na rogu po przeciwnej stronie ulicy. Czekali na zielone światło. Na samym krawężniku stał wysoki, chudy facet z aparatem fotograficznym przy twarzy. Długi teleskopowy obiektyw wycelowany był prosto w nich.

Gibbons szarpnięciem postawił kołnierz i naciągnął rondo kapelusza na twarz. Cholera!

– Jak wy mówicie? Dobra prasa? Tak, o to właśnie mi chodzi. Mafia robi dobra prasa dla rząd Stanów Zjednoczonych.

Światło się zmieniło i ruszyli przez jezdnię.

– Nie rozumiem. Wyjaśnij mi to.

Cholerny grubas!

– Wyjaśnię. Wy ścigać mafia, stawiać ich do sąd, brać w więzienie – to wy dobrze z tym wyglądać. Prawnicy, sędzia, policja, Efbijaj, wszyscy dobrze wyglądać. Bo łapać zli człowiek z mafia. Każdi w Amerika zna „Ojciec chrzestny”, tak? Rząd robi, że ludzie wierzyć, że on złapał ojciec chrzestny. Ooo, ale wspaniałe, oni mówią. Ale to nie naprawda, to tylko takie kino.

Gibbons obserwował fotografa kątem oka. Facet szedł za nimi drugą stroną ulicy, trzaskając zdjęcie za zdjęciem.

– Ugo, tobie się wszystko porąbało. Pleciesz bez sensu.

– Nie, nie, pan mnie słucha. Každy w Amerika wie o mafia. Ale w Amerika jest wiele, wiele ludzie gorsze od mafia. Złe ludzie, o które nikt

nie wie. Macie wy Chińczyki. Oni przywozić więcej heroina do Ameryki niż mafia. Powiedz pan, nie mam racji?

Gibbons skinął głową.

– Masz, no i co z tego? W porównaniu z nimi jesteście święci?

– A Kolumbijczyki i kokaina?

– A co?

– A czarny Jamajczyk z marihuana? Ci ludzie są szaloni z pistoletami i mają brudne włosy. Strzelają w każdy, nie obchodzi ich to. A Dominikańczyki? One sprzedają mnóstwo narkotyków. I Portoryki robią dużo zła, Irlandczyki sprzedają broń, a Arab wysadzi samolot...

– Streszczaj się.

– Ludzie w Ameryce nie wiedzą o tych złych ludziach, jak wiedzą o mafii.

Pan bracie Chińczyk do więzienia i ludzie mówią: To co? A pan bracie zły Włoch, to ludzie mówią: Ooo, mafia, jaka dobra robota! Pan wtedy dobrze wyglądać, jak szeryf, nie? Włoch daje panu piękną gwiazdę na pierś. Pan czyta gazetę, widział piękne zdjęcie pana Augustine, ubrany ślicznie w śliczny garnitur? Tylko mu dać gwiazdę i on piękny szeryf.

Gibbons zmrużył oczy. Ten skurwiel miał trochę racji. Sprawy związane z mafią rzeczywiście mają lepszą prasę niż inne i niejednego ambitnego prokuratora brało nagłośnione śledztwo dla autokreacji. Ale Tom Augustine jest inny. Pewnie ma polityczne ambicje, ale dotąd zawsze grał rzetelnie.

Budda pomachał palcem.

– Pan nie chce przyznać, ale wie, że mam rację.

Mijali właśnie chińską restaurację. Przez zaporowane okno widać było, powieszona za szyję na metalowych hakach, błyszczące, upieczone na brązowo kaczki z nie obciążonymi łbami i łapami. Gibbons popatrzył na rząd pieczonego i wyszczerzył zęby. Osiemnastu skazanych, równo, w jednym rzędzie. Z wielkim grubasem na końcu.

Nagle ponownie zapiszczał pager. Gibbons wyciągnął go i spojrzał na przyzywający go numer. Znowu biuro.

*Dobra, dobra, spokojnie. Może się tu dowiem czegoś pożytecznego.*

Wyłączył urządzenie i włożył je z powrotem do kieszeni.

– Jakiś kłopot, panie Efbijaj? Może szeryf Augustine chce pana szybko. Żeby pan – jak to się mówi? – wziął się do roboty, złapał mafioso.

– Jesteś spryciarz, nie, Ugo? Wiesz, w co się gra, nie? Skoro wiesz tak dużo, to może wyjaśnisz mi jedną rzecz? Według ciebie ludzie mafii to ludzie honoru, zgadza się? Więc jak człowiek honoru może sprzedawać prochy? Nie powiesz mi chyba, że to honorowo opylać je innym?

Budda znów rzucił mu znaczące spojrzenie, owo „przecież to takie oczywiste”.

– Pan mówi, pan zna mafia, ale pan nie zna. Ja wyjaśnię filozofię człowiek honoru. Człowiek, który bierze narkotyki, nie ma honoru, ponieważ jest słabi i obrzydliwe takie coś robić. Taki człowiek zasługuje na to, by być śmieć. Sam to sobie wybrać. Nikt go nie zmusza brać narkotyki. Jeśli człowiek honoru sprzedaje taki człowiek narkotyki, to tylko interes.

– Według mnie dość parszywy interes.

Budda zmarszczył brwi i wzruszył ramionami.

– Pan tak mówi, bo to jest przeciw prawo sprzedać narkotyki w Ameryka. Ale to prawo to nie prawo mafii. To prawo bez sensu. Pan może sprzedać whisky pijakowi i to jest dobre. Dlaczego? Bo ja nie wiem. Bez sensu. Politycy robią prawo dla siebie. Dlatego prawo bez sensu. Prawo mafii ma sensu i to właśnie człowiek honoru musi przestrzegać.

Gibbons pokręcił głową.

– Wiesz co, Ugo, pieprzysz trzy po trzy. Mafia tkwi w tym po uszy dla forsy, jak wszyscy. I o to tu tylko chodzi.

– Wrrr. – Salamandra ugryzł się w kły, rozdrażniony. – Naturalnie, każdy chce pieniędzy. A co pan myśli?

– Więc dlaczego mafia ma być ponad prawem?

– Ja nie mówię tak. Pan mnie pytał, co ja wiem o człowiek honoru. Powiedziałem. Ja nie mówię, to złe czy dobre.

Gibbons najchętniej wyręczyłby Salamandrę w gryzieniu kły, tylko zrobiłby to mocniej. Pieprzony grubas, myśli, że jest taki sprytny.

Kiedy tak przedzierali się przez tłum przechodniów, szczeniaki zaskomlały i spoglądały na Salamandrę wyczekująco. Biedne zwierzę najwyraźniej bało się tłoku. Tłuszcioch przemówił do psa po włosku, czule i uspokajająco.

Gibbons obejrzał się na goryli: szli tuż za nim z twarzami pokerzystów. Wciąż się nie domyślał, dokąd niesie Salamandrę.

Kiedy mijali chiński stragan z rybami, jego wzrok przyciągnęła purpurowo-szara kałamarnica w gnieździe z pokruszonego lodu. Gdy znów spojrzął przed siebie, jakieś siedem metrów z przodu spostrzegł fotografa, idącego tyłem i robiącego zdjęcia.

*Stary, lepiej weź tego nikona i spierdalaj, gdzie pieprz rośnie, bo ci go wsadzę w...*

– Powiedziałem ja coś panu, to teraz pan mi powiedz. – Budda spojrzął na niego poważnie, badawczo.

– Co chcesz wiedzieć?

– Vincent Giordano... Czy on jest chory na rozum?

Gibbons spojrzął na Salamandrę spode łba. Lepiej uważać, co się mu mówi o Giordanie.

– Nie wiem, Ugo. A ty myślisz, że jest?

– Ja tak myślę, tak, że on szalony. Bo tylko szalony człowiek zeznaje przeciwko mafia.

– Przecież powiedziałeś, że w Ameryce nie ma mafii. Powiedziałeś, że żaden z oskarżonych w sprawie Figara nie jest w mafii.

Budda uniósł palec wskazujący.

– Nie. Ja mówię, że ja nie jestem w mafia. Niektóre oskarżeni ludzie są z Sicilia. Nie wiem o nich.

– Więc o co ci chodzi? Że Giordano ma nie po kolei, bo mafia wyda na niego wyrok śmierci? Co to za nowiny?

– Pan nie wie, jak mafia pracuje. Nie amerykańskie śmieci, ale prawdziwa mafia. Z Sicilia. Jak taki Giordano zdradzić mafia, oni się robić terroryści. Wiele ludzi będzie mieć krzywda, niewinne ludzi. Nie tylko on. Pan rozumie mnie?

Gibbons obnażył zęby.

– Próbujesz mnie przestraszyć?

Salamandra wytrzeszczył oczy.

– Pan powinien przestraszyć się. Tylko szalony się nie bać. Jeśli ktoś zadzwoni i powie mafia, gdzie oni znaleźć Giordano, to to będzie jak szept od Boga. Może zabiją tylko on, wszystkie inne ludzie zostawią. Ale oni, mafia, oni bardzo się gniewają, wściekają... Madonna, oni nie obchodzą nic, tylko zabijają, bez końca. Pan nie wie tego, ale ludzie z Sicilia są czasem bardzo złe.

- Ty jesteś z Sycylii.
- Tak, ale nie z mafia. Dodatkowo ja jestem niewinny. Powiedziałem już. – Budda uśmiechnął się od ucha do ucha.

Pager znowu zapiszczzał. Tym razem Gibbons nawet nie wyjął go z kieszeni.

- Pan bardzo im potrzebny, panie Efbijaj.
- Chyba tak.

*Pilnuj swoich spraw, jebany tłuściochu.*

Salamandra nachylił się i znów przemówił po włosku do psa, ciągnąc za smycz.

– Do widzenia panu. Mój piesek musi zrobić potrzeba. – Pomachawszy Gibbonsowi na pożegnanie na włoską modłę – ruchem do tyłu, ze zgiętych palcami – przeszedł ze swoim zwierzyncom ulicę i ruszył do wybetonowanego parku, gdzie kilka chińskich matek odmrażało sobie tyłki ze swoimi dziećmi. Podprowadził psa do skrawka gołej ziemi tuż przy żelaznych huśtawkach. Wykonał rękami ruch w dół i wówczas pies przykucnął na zadzie i zaczął się wypróżniać. Goryle stali obok i patrzyli, jakby to było widowisko. W oddali widniał Tombs, sięgające nieba więzienie, gdzie Salamandra będzie musiał zamieszkać, jeśli nie wyjdzie za kaucją.

Chudy fotograf przyczał się za prętami ogrodzenia po drugiej stronie parku. Robił artystyczne zdjęcia psu.

*Powinien, kurwa, dostać za to Pulitzera, dupek.*

## 9.

Tozzi czekał na windę z rękami w kieszeniach, patrząc na numery pięter nad stalowymi drzwiami. Obok niego stał Gibbons, zły jak osa, bo nie zdążył nic przegryźć na lunch. Po raz kolejny pacnął w strzałkę zwróconą do góry.

– No to co robiłeś potem z nimi, stary? Pożarłeś się z panią Halloran?

– Ja? Skąd. Nic nie robiłem. Właściwie po twoim wyjściu było całkiem przyjemnie. Lorraine siedziała trochę naburmuszona, ale Lesley się rozruszała. Ona jest w porządku. Może się myliłem w stosunku do niej. – Rozległ się dźwięk dzwonka i drzwi się rozsunęły.

– Musiałeś coś zrobić – mruknął Gibbons wsiadając. – Bo inaczej po co Ivers wzywałby nas o wpół do drugiej w Wigilię?

Tozzi wcisnął czwórkę.

– Dlaczego zakładasz, że to ja coś zrobiłem? A może to ty coś zmalowałeś? Co to, jesteś świętym Józefem przy żłóbku?

Gibbons warknął coś pod nosem. Znowu zabrzmiał dzwonek i drzwi się otworzyły. Byli na czwartym piętrze.

– Tędy do Augustine'a, nie?

– Tak, chyba tak. – Tozzi w marszu zdejmował płaszcz. – A w ogóle dlaczego tu nas wezwali? Nasze biuro już im się nie podoba? Jeśli Ivers ma mi zmyć łeb, to nie chcę, żeby to się odbywało w obecności Augustine'a.

– Widzisz, sam się przyznałeś. Przeskrobałeś coś.



- O czym ty mówisz?
- No, przed sekundą powiedziałeś, że nie chcesz, żeby Augustine sły-  
szał, jak Ivers cię opieprza. Jeśli zakładasz, że Ivers ma zamiar cię opie-  
przyć, to musiałeś coś przeszkrobać. Zgadza się?

Tozzi posłał mu nienawistne spojrzenie. Zastanawiał się, czy chodzi o lunch z Lesley Halloran. McCleery na pewno popędził prosto do Augustine'a i napaplał mu o tym. Nie rozmawiali przy jedzeniu o sprawie Figara, więc Ivers nie ma się o co wściekać. Ale, jak powiedział McCleery, chodzi o niestosowne wrażenie. Hm, kiepsko. A chyba już zaczynali się lubić. Obawiał się, że teraz będzie musiał zaczekać do końca procesu, żeby móc ją gdzieś zaprosić. Jeśli, rzecz jasna, doszedłby do wniosku, że chce ją zaprosić.

Skręcili i ruszyli kolejnym długim, jasno oświetlonym korytarzem. Wszyscy naczelnicy wydziałów mieli biura właśnie w tym skrzydle. Proku-  
rator ze świtą rozłożył się w wielkich gabinetach na samym końcu. Szycha i szyszki. Tozzi pamiętał, że mają tu przytulne biura, przyjemne kolory na ścianach – nie żadne tam rządowe szarości – stylowe mebelki, równiutko przycięte tapety. Podeszli do podwójnych drzwi prowadzących do biura Augustine'a. Na ich przyciemnionym szkle widniał foliowy złoty napis: THOMAS W. AUGUSTINE III. ZASTĘPCA PROKURATORA STA-  
NÓW ZJEDNOCZONYCH NA OBSZAR POŁUDNIOWEGO NOWEGO JORKU. WYDZIAŁ NARKOTYKÓW. Tozzi przekreślił ciężką mosiężną gałkę i otworzył drzwi.

Za biurkiem siedział jeden z pracowników Augustine'a. Dzieciak, zaledwie rok czy dwa po studiach na wydziale prawa, ale oczywiście z miną waźniaka trzymającego rękę na pulsie. Wyglądał jak Augustine na prakty-  
kach studenckich.

– Czekają na was – powiedział, wskazawszy głową podwójne drzwi naprzeciwko swego biurka. – Wejdźcie. – Mówił tak samo jak Augustine: uprzejmie, ale jednocześnie odrobinę pogardliwie.

Tozzi wszedł pierwszy. W gabinecie panował półmrok. Coś złego wi-  
siało w powietrzu. Był pochmurny dzień, ale z jakiegoś powodu zasłony były zaciągnięte. Augustine tkwił za wielkim lakierowanym biurkiem w kręgu światła padającego z mosiężnej lampy. Ich szef, agent specjalny Brant Ivers, siedział na miękkim krześle naprzeciw niego. Wstał natych-  
miast i obrócił się ku nim. Był najwyraźniej czymś poruszony, wzburzony.

Wrzątek pod przykrywką.

- Nareszcie – rzekł z wściekłością.

Augustine siedział ze spuszczoną głową, z palcami splecionymi na bibularzu, patrząc na nich spode łba. Żadnego „cześć”, żadnych pierdoł na powitanie, nic. To do niego niepodobne. Coś musiało się stać.

Zmarszczki wokół ust Iversa się pogłębiły.

- No? Nie macie nic do powiedzenia?

Nozdrza Gibbonsa nabrzmiały.

- No to może powiemy „Wesołych świąt”. Zadowolony?

Tozzi zasłonił dłonią usta, żeby ukryć uśmiech.

Palec wskazujący Iversa wyskoczył nagle do przodu jak ostrze noża sprężynowego.

– Uważaj, facet, bo siedzisz po czubek głowy w gównie. Nie pogarszaj sprawy.

Tozzi spojrział na szwagra. Gibbons wzruszył ramionami. Co tu się, cholera, dzieje? Dlaczego Augustine tak się na nich gapi? Zrzucił z ramion płaszcz i przewiesił go przez ramię.

– Chciałeś się z nami widzieć. Powiedzieli, że to pilne. Jesteśmy, więc może nam powiesz, o co chodzi.

– A wy nie wiecie, po co was wezwałem? – Sarkazm Iversa też był nietypowy. Coś musiało pójść mocno na opak.

– Nie słyszeliście w wiadomościach? – spytał Augustine. Był znacznie spokojniejszy od Iversa, ale śmiertelnie poważny.

Tozzi cisnął swój płaszcz na kanapę.

- O czym nie słyszeliśmy? Co to za gierki? Co się dzieje, gadajcie.

- Gdzie byliście przez cały dzień? Obaj?

- A co? Mieliśmy dzisiaj wolne. W końcu jest Wigilia.

– Nie stawiaj się, Tozzi, tylko mów, co dziś robiłeś – powiedział Ivers podniesionym głosem.

Tozzi wbił w niego spojrzenie.

– Cały rano przesiedziałem przy telefonie, próbując znaleźć księdza, który odprowadziłby pogrzeb mojego wujka.

- To ci zabrało cały rano?

– Dwie, trzy godziny. Wuj nie należał do żadnej parafii i nikt nie chciał tego zrobić. W końcu znalazłem jakiegoś szarlatana z małej parafii

w New Jersey Heights, który powiedział, że zrobi to za „skromny datek”. Pięćset dolarów! Pięć stówek za chłapięcie święconą wodą, zapalenie kadzidła i wygłoszenie paru formułek. To zdzierstwo w biały dzień, nic innego.

Gibbons zerknął na niego.

– Pięćset zielonych? I masz zamiar tyle zapłacić?

Tozzi wzruszył ramionami.

– Nie mam wyjścia. Chyba że ty chcesz to zrobić.

– Przestańcie! A potem co robicieś?

– Spotkałem się z Gibbonsem na lunchu w mieście. I z moją kuzynką Lorraine. – Urwał, zastanawiając się, czy im powiedzieć, ale przypomniał sobie o McCleery'm. – I z Lesley Halloran.

Ivers był czerwony i wściekły.

– A ty, Gibbons, gdzie byłeś?

– Wyszedłem z domu około dziewiątej, pojechałem do śródmieścia i poszedłem na świąteczne zakupy.

– Z żoną?

– Wyjechaliśmy z domu razem, podwoziła mnie na Trzydziątą Czwartą i tam się rozstaliśmy. Potem byłem sam, bo to dla niej kupowałem prezent.

– Nikogo z tobą nie było? Nie spotkałeś się z kimś w tym czasie? Z kimś, kto mógłby to potwierdzić?

– Ej, Ivers, co to, kurwa, ma znaczyć? Jeśli mnie o coś oskarżasz, to powiedz to otwarcie.

Ivers zerknął na Augustine'a, a kiedy ten skinął głową, rzekł:

– Chcę, żebyście wiedzieli, że wyłażę ze skóry, żeby uratować wasze tyłki. – Popatrzył na Tozziego. – Choć tak po prawdzie, to nie wiem, po co to robie.

Augustine odchylił się w fotelu i spojrzał na nich.

– Trąbią o tym w radiu i w telewizji. Myślałem, że może słyszeliście.

– Odetchnął głęboko. – Tozzi, w domu twego wuja doszło dziś rano do rzezi. Został zabity Vincent Giordano. I Marty Bloom.

– Santiago i Cooney też. – Z Iversa nagle uszło powietrze.

Ciarki przebiegły Tozziemu po plecach.

– O Jezu. – Jego pierwszą myślą było to, że Santiago zostawił żonę w ciąży.

Gibbons toczył wściekłym wzrokiem, ledwo hamując gniew.

– Jak?

– Kilka ran postrzałowych – odparł Ivers. – Jakaś broń automatyczna. Dziewięć milimetrów. Balistyka wzięła to na warsztat.

– Kto?

Ivers spojrzął na niego badawczo.

– Najprawdopodobniej ktoś przysłany przez Salamandrę. A twoim zdaniem kto?

– To po co wykręcacie nam jaja, żebyśmy przedstawili alibi? Myślicie, że to my?

Augustine podał Tozziemu najnowsze wydanie „Tribune”.

– Strona czwarta – rzekł.

Zbity z tropu, Tozzi wziął od niego gazetę. Już o tym napisali? Niemożliwe, za wcześniej. Otworzył. Tytuł był zakreślony na czerwono. OBROŃCY W PROCESIE FIGARA DOMAGAJĄ SIĘ UNIEWAŻNIENIA PROCESU. Komentarz napisał Mark Moscowitz, ten szcur z sądu.

Rzucił okiem na tekst. Gibbons czytał znad jego ramienia. W artykule nie było nic szczególnego, po prostu relacja z tego, co działo się w sądzie. Kończył się na stronie trzydziestej dziewiętej. Tozzi odszukał to miejsce. Jego oko od razu spoczęło na ostatnim akapicie, podkreślonym na czerwono.

„(...) Frustrację funkcjonariuszy państwowych z powodu ślimaczego tempa, w jakim toczy się proces, najlepiej ilustruje wypowiedź agenta FBI Michaela Tozziego, jednego z kilkunastu świadków czekających na złożenie zeznań. Agent Tozzi stwierdził mianowicie, że gdyby to od niego zależało, to wydałby wyrok śmierci na wszystkich osiemnastu oskarżonych i ich adwokatów. Po prostu czapa dla każdego, jak się wyraził. «Sam chętnie bym kilku załatwił» – dodał.

Proces Figara ma z powrotem trafić na wokandę drugiego stycznia”.

Tozzi rzucił gazetę na podłogę.

– No i o co chodzi? Uważacie, że to ja urządziłem jatkę u wuja, ponieważ ten szcur Moscowitz napisał, że chciałem to zrobić? Ivers, naprawdę myślisz, że jestem zdolny do zabicia agenta, dwóch agentów? Tak myślisz?

– Czy to dokładny cytat? – spytał Ivers.

– Tak, dokładnie tak powiedziałem, ale to zostało wyjęte z kontekstu. To była po prostu luźna uwaga. Było oczywiste, że nie mówię poważnie. – Tozzi spojrział na Augustine'a. – Powiedziałem ci to przecież, do cholery. Wiedziałeś, że żartowałem.

Zastępca prokuratora patrzył na niego szklanym wzrokiem. Nie miał zamiaru powiedzieć się po jego stronie.

Tozzi czuł, że za chwilę trafi go szlag. Miał wielką ochotę komuś przygrzmocić, najchętniej Augustine'owi.

– No powiedzcie coś, cholera jasna. Oskarżacie mnie o morderstwo? Tak?

– Nie, nie oskarżamy cię o morderstwo – odparł stanowczym tonem Ivers. – Ale martwi nas wrażenie. Wszystko przemawia przeciwko tobie. Ostrzegałem cię nieraz, żebyś trzymał język za zębami. Wiele razy. To, co powiedziałeś w sądzie, było głupie i nieodpowiedzialne.

– Nawet więcej. – Augustine bujał się w fotelu, z głową przyciśniętą do zagłówka. Jego ciało było tak sztywne i pozbawione życia, że wyglądał jak paraplegik. – Znacznie więcej. To było wysoce szkodliwe. I jest nadal.

– Jak to szkodliwe?

– Adwokaci obrony wypełnili już nowe wnioski o unieważnienie procesu. Domagają się natychmiastowego spotkania z sędzią Morgenrothem. Za pół godziny mamy być u niego. Wrzeszczą o morderstwie, wrzeszczą, że oni i ich klienci są w śmiertelnym niebezpieczeństwie i mówią o tym każdemu, kto chce słuchać, nie wyłączając mediów. A teraz, dzięki twojej wypowiedzi, prawdopodobnie oskarżą stronę oskarżycielską o zмовę. Mają duże szanse na unieważnienie. – Augustine dalej się bujał, sztywny jak trup.

Gibbons pokręcił głową.

– Morgenroth ma jaja, nie pozwoli na to. Nie ugnie się przed bandą panikarzy. Możecie mi wierzyć, widziałem, jak on pracuje. Nie wyrzuci sprawy do kibla z powodu jakiegoś artykułu w gazecie.

Augustine przeniósł na niego spojrzenie.

– Będę polemizował. Droga do unieważnienia jest teraz otwarta. Adwokaci mogą poprosić o kontrolę sądową, jeśli im odmówi. Paru z obrońców to szanowani członkowie palestry, posiadają spore wpływy. Należy również wziąć pod uwagę powszechny szacunek, jakim cieszył się wśród adwokatury Marty Bloom. To istotny czynnik. Prawda, Morgenroth jest

twardy, ale się starzeje. Wiem skądinąd, że zamierza wkrótce iść na emeryturę. Żaden prawnik nie chce zakończyć kariery skandalem i oficjalna naganą.

Tozzi potarł czoło w poczuciu beznadziejności.

– Więc co to oznacza? Sprawa idzie do kosza?

Augustine pokręcił głową.

– Nie mam zamiaru pozwolić, żeby tak łatwo trafiła do kosza. Zbyt ciężko nad nią pracowałem. Wszyscy pracowaliśmy. I poszło na to mnóstwo pieniędzy podatników. – Wbił spojrzenie w Iversa. – Brant i ja rozważyliśmy różne możliwości. Uważamy, że jest sposób, by to uratować.

Ivers pochylił się nad biurkiem. Przejął pałeczkę.

– Tozzi, musisz zostać potraktowany tak, jak zostałby potraktowany każdy inny podejrzany. Żadnych przywilejów z racji bycia agentem federalnym. Aby uniknąć wrażenia zmywy funkcjonariuszy państwowych, FBI zostanie całkowicie wyłączone z dochodzenia. Zostanie też wyznaczony specjalny oficer śledczy, który będzie współpracował z policją w New Jersey.

Tozzi się zjeżył.

– Wyznaczony przez kogo?

– Przez nas. – Augustine usiadł prosto, powróciwszy z krainy umarłych.

– Nas, to znaczy?

– Przez prokuraturę. Przedyskutowałem to z Bobem. – Augustine kiwnął głową w prawo, w stronę gabinetu swego szefa. – Zwołam konferencję prasową i ogłoszę to. Ponieważ chcemy jak największego nagłośnienia, zaczekamy z tym dwa dni, bo stacje telewizyjne wystrzegają się smutnych wiadomości w święta. Pokażemy im, że trzymamy rękę na pulsie i że FBI się wyłączyło.

– Zaraz, zaraz. – Tozzi poluźnił węzeł krawata. W pokoju było duszno i oddychał z najwyższym trudem. – To jakieś pierdoły. Przecież to jasne, że jestem niewinny. Dlaczego musicie odgrywać polowanie na czarownice? Dla prasy? Pierdolicie ich.

Ivers obciągnął kamizelkę.

– Nie robimy tego ani dla prasy, ani dla opinii publicznej. Robimy to z myślą o adwokatach obrony. W ten sposób wytrącimy im broń z ręki, nie dostaną unieważnienia procesu. Może dla ciebie, Tozzi, to pierdoły, ale dla

nas to konieczność, jedyny sposób, żeby uratować sprawę.

– Ponadto – dodał Augustine – nie zapominaj o tym, że z prawnego punktu widzenia nasze zdanie na temat twojej winy czy niewinności nie ma znaczenia. Morderstwa dokonano w New Jersey i tamtejsza policja uważać cię będzie za podejrzanego aż do momentu, kiedy znajdzie dowody, że jesteś niewinny. Najprawdopodobniej ciebie też będą podejrzewać, Gibbons. W końcu obaj mieliście klucze do domu.

– Chociaż włamano się od tyłu – dodał szybko Ivers, spoglądając na Augustine'a. – I to powinno przemawiać na ich korzyść.

Prokurator zmarszczył brwi i westchnął.

– Może zrobiono to celowo, żeby wyglądało na włamanie. Najprawdopodobniej Cooney i Santiago uniemożliwiliby obcemu wejście do domu. Policja przyjęła, jak sądzę, że zabójca czy zabójcy byli im obu znani i dlatego weszli bez rewizji. A tylne drzwi zostały wyłamane dopiero po morderstwie.

– Więc przeciw nam obu toczy się śledztwo? – Tozzi był tak wściekły, że najchętniej roztrzaskałby im głowy, jedną o drugą.

– Nasze nie – odparł Augustine. – Nasze skupi się tylko na tobie. Z powodu artykułu. – Spojrzał na leżącą na podłodze gazetę i zmarszczył brwi. Dyr Augustine. Głupi chuj.

– A kto jest tym oficerem śledczym? – spytał Tozzi. – Chcę go poznać, żeby mieć to z głowy jak najszybciej.

Augustine nachylił się i wcisnął przycisk interkomu, nie spuszczając wzroku z Tozziego.

– Franklin, czy on już przyszedł?

– Tak, proszę pana.

– Wpuść go.

Tozzi odwrócił głowę i wbił spojrzenie w drzwi. Wypolerowana mośięzna klamka drgnęła do góry i drzwi się otwały. O mało nie nawalił w spodnie, kiedy zobaczył te błyszczące, uśmiechnięte gały, patrzące na niego. Jimmy McCleery. A ktoś by inny? Kurwa mać.

– Dzień dobry panom. – McCleery przechylił głowę i powiódł spojrzeniem po zebranych.

– Myślę, że dobrze się znacie – powiedział Augustine. – Jimmy, właśnie wprowadziliśmy Tozziego i Gibbonsa w sytuację.

– Świetnie – rzekł McCleery ze wzrokiem utkwionym w Gibbonsa, z łotrzykowskim uśmiechem błakającym się po twarzy. – I mam nadzieję, że wyjaśniliście chłopakom, że prowadzę niezależne śledztwo.

– Ach tak, dobrze, że mi przypomniałeś. – Augustine oparł się przedramionami na bibularzu i znów splótł palce. – Prokuratura domaga się, aby specjalnie powołany oficer śledczy był całkowicie niezależny, by odpowiadał jedynie przed prokuratorem. Zatem Jimmy ma prawo prowadzić dochodzenie wszędzie, gdziekolwiek go ono zaprowadzi.

Gibbons nie wytrzymał.

– Ej, kogo wy chcecie nabrać? Jeśli tu tylko chodzi o „wrażenia”, to po co uzbrajacie w takie pełnomocnictwa tego jebanego niedołęgę? Jezu, Ivers, przecież znasz przeszłość tego faceta. McCleery specjalnym oficerem? Niezależnym? Ze specjalnymi uprawnieniami? To kpiny!

Ivers spuścił oczy.

Augustine puścił to mimo uszu.

– Chciałbyś coś dodać, Jimmy?

McCleery zerknął na swoje buty i zmarszczył brwi, następnie powoli podniósł głowę, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Chciałbym coś zaproponować mojemu dawnemu szefowi, panu Iwersowi.

Ivers się nastroszył.

– Tak?

– Proponuję, żeby Tozzi został zawieszony w obowiązkach na czas mojego śledztwa.

– Takiego wała! – Tozzi zerwał się na równe nogi. – Nie możecie mnie zawiesić, nie macie żadnych dowodów.

Nikt nie musiał nic mówić. Oczy wszystkich utkwione były w pogniecioną gazetę na podłodze. Gibbons przerwał milczenie.

– A co ze mną, McCleery?! – wrzasnął. – Mnie też chcesz zawiesić?

Irlandczyk pokręcił głową i zachichotał.

– Nie, nie, skąd. Zachowujesz się bardzo szlachetnie wobec swojego współpracownika, Cuthbert, ale to nie ty paplałeś do gazet, tylko on.



Tozzi łaknął krwi. Najchętniej urwałby McCleery'emu łeb i kazał go zjeść Augustine'owi, ale się opanował. Sprawy i bez tego wyglądały kiepsko.

Ivers mocował się z krawatem. Wyglądał bardzo nieswojo. Zerknął na Augustine'a, jakby prosił o wyrozumiałość w tej kwestii, ale klamka już zapadła. Specjalny oficer śledczy już się przecież wypowiedział. McCleery chce zawiesić Tozziego i tak ma być. Ale z miny Iwersa można było wnosić, że on też uważa McCleery'ego za dupka. A może po prostu nie lubił słuchać rozkazów jednego z psów Augustine'a.

– Oddaj mi pistolet i odznakę, Tozzi – powiedział cicho McCleery. – I miejmy nadzieję, że wszystko się szybko wyjaśni.

Tozzi patrzył w oczy Augustine'owi, odpinając kaburę i oddając Iwersowi swój pistolet. Wyciągnął odznakę i rzucił ją McCleery'emu na otwartą dłoń.

Pierdolony wazeliniarz skinął głową i uśmiechnął się. Najwyraźniej był z siebie bardzo zadowolony.

Augustine ponownie nachylił się nad interkomem.

– Franklin, czy te raporty już są?

– Tak, proszę pana.

– Świetnie. – Wstał i poprawił mankiety koszuli. – Przykro mi, panowie, że sprawy przybrały taki obrót, ale można było tego uniknąć. – Świdrował oczami Tozziego. – Muszę niestety was teraz pożegnać, sędzia Morgenroth nie lubi spóźnialskich. – Wyszedł zza biurka i ruszył do drzwi. – Życzę wam wesołych świąt – powiedział z ręką na klamce.

Tozzi patrzył, jak przystaje i bierze grubą teczkę z biurka zastępcy, następnie wychodzi drugimi drzwiami i niknie w korytarzu.

Tak... i dobrej nocy, dupku.

## 10.

Tozzi otworzył kluczem drzwi i wszedł prosto do salonu, nie zapalając nigdzie światła. Wyjrzał przez frontowe okno na rząd budynków po drugiej stronie ulicy. W wielu oknach paliły się choinkowe lampki: białe, czerwone, zielone, różnokolorowe punkciki. Na jednym z tarasów ktoś wystawił metrowej wysokości czerwono-nososego renifera, jedną z tych plastikowych zabawek z lampką w środku. Ten miał dodatkową lampkę na nosie. Dokładnie pod nim, na chodniku, zabarwiony lekko na czerwono blaskiem reniferowego nosa, sterczał nowo mianowany „specjalny oficer śledczy”. Wpatrywał się w dom Tozziego, wypuszczając z japy obłoki pary. Jebany McCleery.

W mieszkaniu było cicho jak makiem zasiał. Cicha noc. Tozzi wyłowił uchem ledwo słyszalne dźwięki muzyki dochodzące z innego mieszkania. Natężył słuch: „Jingle Bell Rock”. Stał w mroku, otoczony wigilijnym spokojem, zapatrzony w błyskające na zewnątrz światła, wsłuchany w odległą pieśń, walczącą z jego własnym oddechem o prymat nad ciszą.

Niech to cholera!

Wyciągnął rękę, żeby opuścić żaluzje, ale się rozmyślił. Nie miał nic do ukrycia. Nigdy przedtem tego nie robił, więc dlaczego miałby robić teraz? To właśnie coś, na co czeka McCleery: podejrzane zachowanie. Zdjął płaszcz i rzucił go na krzesło. Uświadomił sobie nagle, że odkąd opuścił biuro Augustine'a i spostrzegł, że McCleery za nim lezie, kontroluje każdy swój ruch. Irlandzki piesek, pupilek prokuratora. Gibbons ma co do niego rację.

Wszedł do sypialni i zdjął marynarkę i krawat. Podniósł pilota, włączył telewizor i zaczął przerzucać kanały w poszukiwaniu czegoś zdatnego do oglądania. Były tylko kreskówki i odgrzewane bożonarodzeniowe filmy fabularne, które widział już z milion razy. Wcisnął przycisk dalej i w końcu znalazł stary odcinek „Posterunku przy Hill Street”, ten, w którym Belker przebiera się za świętego Mikołaja. Przerzucił o jeden kanał dalej. Nie był w nastroju do oglądania policyjnych historyjek, zwłaszcza tych, które już znał. Szukał dalej, kiedy nagle coś dziwnego pojawiło się na ekranie. Ogień. Grali „Małego dobosza”, ale na ekranie były tylko płomienie. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że pokazują bożonarodzeniowy kominek. Patrzył przez chwilę.

Kiedy był mały, matka zawsze włączała to podczas Wigilii. Wkurzał się wtedy i pyskował, bo chciał oglądać coś innego, ale ona upierała się przy płonącym kominku. Mawiała, że to uspokaja. Ogarnął go smutek, który przyniósł uczucie nieokreślonej tęsknoty. Tozzi był przygnębiony. Żałował, że tak wiercił matce dziurę w brzuchu z tego powodu. Kiedy indziej mógł oglądać to, na co miał ochotę. Ona chciała mieć tylko jeden spokojny wieczór w roku. To chyba nie za wiele? Westchnął głęboko. Wtedy życie było prostsze. Ludzie nie deptali człowiekowi po piętach i nie gapili mu się w okna. Chociaż, gdyby nawet było inaczej, i tak by o tym nie wiedział. Patrzył na płomienie liżące kłody drzewa. Pa-rum-pabum-bum...

Wrócił do salonu i znów wyjrzał przez okno. McCleery stał tam, gdzie przedtem, przestępując z nogi na nogę. Pewnie mu zimno. To dobrze, niech zamarźnie na śmierć.

– Powinniśmy być po tej samej stronie, McCleery – mruknął. – Zapomniałeś o tym? Twój szef też zapomniał, co?

Patrzył, jak kłęby pary z oddechu McCleery'ego nikną w mroźnym powietrzu. Zastanawiał się, dlaczego Augustine tak mu się dobiega do dupy. Zgoda, w sądzie zachował się idiotycznie i pech chciał, że Moscovitz był w pobliżu, ale bez przesady, nikt – nawet obrońcy – nie może przecież poważnie myśleć, że to on zabił. Nie miał motywu. Żadnego. Mogą powiedzieć, że chciał sam wymierzyć sprawiedliwość, ale kto by w to uwierzył? Jak mógłby zabić Santiaga i Cooneya, swoich kolegów, skoro miałyby to być wymierzenie sprawiedliwości? I kto przy zdrowych zmysłach uwierzy, że to była część planu funkcjonariuszy? Przecież to niedorzeczne. Tego

rodzaju bzdury pokazują w filmach. To niepoważne.

Tak, tyle że Augustine traktuje to śmiertelnie poważnie.

Tozzi potarł ramiona i wcisnął łokcie w brzuch. Trzęsło go z zimna, zaczął szczękać zębami.

Cholera. Sprawy mają się kiepsko, naprawdę kiepsko. A co gorsza, trudno kogokolwiek za to winić, prócz siebie. Kiedy się nauczy trzymać mordę na kłódkę? Kiedy?

Popatrzył na stojącego na ulicy McCleery'ego i pomyślał o Augustine. Tego nie obchodzi, co się z nim stanie. Skurwielowi zależy tylko na wygraniu sprawy Figara i na wyborach municypalnych za rok. To wszystko. Jezu, przecież to prawnik, nie? Pieprzeni prawnicy. Wszyscy są tacy sami. Jebane pijawki.

Wszedł do kuchni, pacnął dłonią kontakt i otworzył lodówkę. Niewiele w niej było. Chwycił jedyną butelkę piwa i otworzył ją, wypatrując jednocześnie czegoś do zjedzenia. Kucnął i przejrzał szuflady. W jednej znalazł paczkę marchewek i stare łuski po cebuli, które powinien był wyrzucić dawno temu. Wyjął marchewki, rzucił je na blat, łyknął piwa i wyciągnął z szafki szufladę, w której trzymał skrobaczkę. Szperał wśród wielkich drewnianych łyżek, łopatek, zębatych noży, których nigdy nie używał, ale nigdzie nie mógł znaleźć tego cholerstwa. Kurwa mać. Przechylił butelkę i pociągnął duży łyk piwa. I wtedy spostrzegł na lodówce blaszane pudełko z ciastkami przyniesionymi przez Lorraine.

Dał sobie spokój z marchewkami. Wziąwszy pudełko, usiadł za kuchennym stołem i podważył wieczko. Znalazł skromne ciasteczko z orzechem, wrzucił je do ust, rozgryzł i popił piwem. Zobaczył jeszcze jedno takie samo i zjadł je równie szybko. Szukał dalej. Wyglądało na to, że ciasteczka z orzeszkami się skończyły, wybrał więc inne, z odrobiną wiśniowego likieru. To była małeńka, kolorowa plamka, wyłącznie dla ozdoby. Za mało barwnika, żeby od tego umrzeć. Wepchnął ciastko do ust, przegryzł je i popił piwem, ale ponieważ nie rozgryzł go dokładnie, utknęło mu w przełyku. Zaczął się krztusić, oczy zaszyły mu łzami. Wypił więcej piwa, żeby łatwiej przełknąć.

Wyciągnął nogi pod stołem, odchylił głowę i po raz kolejny pociągnął z butelki, wpatrzony w ciastka, w dzwonki z czerwonymi, a drzewka z zielonymi plamkami. Przypomniawszy sobie, jak jadł je wczoraj razem z Lorraine,

gdy dowiedział się od niej o śmierci wuja Pete'a i gdy przyszła Lesley.

Powiedziała, że dostała jego adres od Sala, kuzyna z Newark.

To była prawda. Zadzwoił do Sala, żeby to sprawdzić. Ale dlaczego tak jej zależało na jego adresie? Powiedziała, że chciała odnowić starą znajomość. Jaką znajomość? Nienawidziła go wtedy z całego serca.

Podciągnął się na krześle i zapatrzył przed siebie. Na zdrowy rozum, jeśli ktoś próbuje go zrobić, to pewnie jest to jeden z oskarżonych cwaniaczków, jeden z bandy Figara. Załatwić Giordana i postarać się, żeby to wyglądało na robotę agenta FBI. Ujechać fedzia i uzyskać przez to unieważnienie procesu. Jasne.

Wczoraj nagłe zainteresowanie Lesley Halloran jego osobą wydawało się cholernie podejrzane. Dziś zaleciało kostuchą. Kto z oskarżonych mógłby wydać wyrok na Giordana? Najprawdopodobniej Salamandra, a ktoś by inny? Wielka szycha.

A kto broni w sądzie Salamandry?

Mała Lesley Halloran.

Mała suka.

Pociągnął kolejny łyk piwa. Nie chciał wierzyć, że ona jest w to wmieszana, szczególnie że dziś w restauracji zmienił o niej zdanie. Ale to możliwe. Kurwa mać!

Wstał i pobiegł do salonu. McCleery wciąż sterczał po drugiej stronie ulicy, odmrażając sobie dupę razem z reniferem. Głupi palant.

Wrócił do kuchni, zgasił światło i wyjrzał przez okno na podwórko. Nikt jeszcze nie załatał w siatce tej dziury, przez którą przełazą dzieciaki. Między budynkami naprzeciwko było przejście. Może wymknąć się przez suterynę i złapać pociąg do Manhattanu. Gibbons miał rację. McCleery jest kurewsko nieudolny. Będzie tu stał całą noc, wlepiając gały w drzwi wejściowe i w jego samochód.

Popędził z powrotem do sypialni, chwycił marynarkę i zgasił telewizor. Przycisnie Lesley, i to mocno, jeśli będzie trzeba. Ostrzeże ją, że nie wykręci się tajemnicą zawodową, jeśli skrywa coś, co może zapobiec fałszywym oskarżeniom. Przywali jej z grubej rury, zastraszy. Musi wiedzieć, czy ona jest czysta.

Wkładając płaszcz, spojrzął na książki telefoniczne ułożone przy aparacie w kuchni. Książka Manhattanu była najgrubsza ze wszystkich. Jedenasta

Wschodnia, nr 317. Sprawdził to już wcześniej, ze zwykłej ciekawości. Jej nazwisko było w spisie. L. Halloran, 317 Jedenasta Wschodnia. Chwyć klucze.

Jeśli ona wie cokolwiek, co może mu pomóc, wydusi to z niej. Nie wie, jak to robi, ale robi. Ale kiedy zamykał za sobą drzwi, w głębi duszy modlił się, żeby nic nie wiedziała. Miał nadzieję, że ona nie ma z tym wszystkim nic wspólnego, że jest czysta jak kryształ, że jest w porządku. I miał też nadzieję, że może ona uzna po tych wszystkich latach, że i on jest w porządku. Najbardziej ze wszystkiego nie chciał kolejnego miłostnego zawodu. Za nic tego nie chciał.

Wyjął klucz z zamka i ruszył po schodach do sutereny.

– Wiesz co, Michael, jesteś naprawdę bezczelny. Przychodzisz tu w Wigilię i oskarżasz mnie o coś takiego. To jest wywieranie presji na adwokata.

Na wysokości jej twarzy znajdował się łańcuch trzymający drzwi. Tozzi widział przez szparę, że Lesley ma na sobie podomkę, wprawdzie różową, ale niezbyt seksowną.

– Nie będziemy rozmawiać na klatce. Wpuść mnie, to bardzo ważne. – Usiłował to powiedzieć znudzonym, zabarwionym nieco rozdrażnieniem tonem. Typowy chwyt gliniarza. Postanowił za wszelką cenę wyciągnąć z niej prawdę.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, po czym nagle drzwi się zatrzasnęły. Już miał huknąć w nie pięścią, kiedy usłyszał szczełk zdejmowanego łańcucha. Drzwi się otworzyły. Halloran wyglądała na nieźle wkurzoną. Tozzi spuścił oczy i popatrzył na jej stopy, ukryte w miękkich różowych kapciach. Były to znoszone i brudne ranne pantofle kury domowej. Omal nie parsknął śmiechem. Pyskata Lesley Halloran w starej różowej podomce i w wyłysiałych bamboszach.

– Co się stało, Michael? Czego ty chcesz?

Tozzi wepchnął ręce do kieszeni spodni i odchylił głowę do tyłu.

– Czego ty chcesz, oto jest pytanie.

Miała wściekle oczy, jej pierś falowała w szybkim rytmie.

– Kiedy ty wydoroslejesz, co? Idź do domu i zrób sobie trochę gorącej czekolady. I nie zapomnij o lizaku.

Nie od razu odpowiedział. Przez długą chwilę patrzył na nią szklanym wzrokiem. Chciał, żeby się zdenerwowała.

– Pani mecenas, tak nagle zadała pani sobie tyle trudu, żeby mnie odzukać. Dlaczego?

– Ja cię wcale nie szukałam.

– Jak to? Pojechałaś aż do Newark, żeby wypić herbatkę z moim kuzynem i dostać od niego mój adres, po czym ni z tego, ni z owego zjawiłaś się u mnie pewnego wieczora i zaprosiłaś mnie na lunch. I ty mówisz, że mnie nie szukałaś? Przedtem nie powiedziałaś do mnie nawet dwóch słów. Dlaczego tak nagle, po tylu latach, stałem się taki interesujący?

– A kto powiedział, że jesteś interesujący?

Tozzi uderzył się pięścią w brzuch.

– Tu, w dołku, mam takie nieprzyjemne uczucie. A wiesz z jakiego powodu? Bo ktoś usiłuje mnie zrobić w morderstwo i myślę, że tym kimś jest twój klient, Salamandra. Wczoraj zjawiłaś się u mnie nieoczekiwanie. O co chodziło, sprawdzałaś mnie? Robiłaś mały rekonesans dla makaroniarzy?

Patrzyła na niego w osłupieniu. Jej pierś wznosiła się i opadała coraz gwałtowniej, co oznaczało, że jego gadka odnosiła skutek. Dobrze. Musi ją trochę przestraszyć, żeby coś wyczytać z jej twarzy.

– Michael, ty powinieneś iść do psychiatry. Naprawdę. Jak w ogóle coś takiego mogło ci przyjść do głowy? Skąd mam wiedzieć, czy to nie ty...

– Mamusiu.

Odwrócili się jak na komendę. W przedpokoju po drugiej stronie stała mała dziewczynka. Miała długie, potargane jasne włosy. Tarła piąstkami oczy. Ubrana była w nocną koszulę w kratę, a do piersi tuliła futrzanego skunksa. Tozzi zerknął na Lesley i zauważył, że jej twarz się zmieniła. W oczach miała niepokój. Czy ona zawsze umiera ze strachu, kiedy jej córka obudzi się w środku nocy?

– Patricia, dlaczego nie śpisz? – Lesley podeszła do małej i wzięła ją w ramiona.

Dziewczynka patrzyła na Tozziego szeroko otwartymi niebieskimi oczami. Były takie same jak oczy matki.

– Czy to święty Mikołaj, mamó?

– Nie, skarbie. – Lesley nawet nie spojrzała na niego.

- A czy Mikołaj już był?
- Nie, jeszcze nie.

Tozzi uśmiechnął się, żeby uspokoić małą. Było mu głupio, że obudził ją w środku wigilijnej nocy.

– Jestem jednym z jego pomocników – powiedział, chwytając spojrzenie Lesley. – Przygotowuję wszystko na jego przyjście, sprawdzam, czy kominy są wystarczająco szerokie.

Lesley posłała mu najwściekłejsze spojrzenie, jakie kiedykolwiek widział.

– Chodź, skarbie, wracamy do łóżka. Pamiętaj, że Mikołaj nie przyjdzie, jeśli się nie położysz.

Poprowadziła małą do sypialni. Tozzi słyszał, że dziewczynka zadaje pytania o „tego pana”. Czy to naprawdę pomocnik Mikołaja?

Wszedł do salonu i rozejrzał się. W rogu stała mała choinka, ubrana w czerwone bombki i białe lampki. Ładna, ale bez wyrazu. Nie było jeszcze pod nią prezentów. Lesley pewnie czekała z tym, przekonana, że mała tej nocy będzie się budzić kilka razy, zanim zaśnie na dobre. Jego matka zawsze chowała podarunki przed Wigilią. Nawet kiedy był już większy, nigdy nie mógł ich znaleźć. A dom wcale nie był taki duży.

Meble Lesley były niewyszukane, ale praktyczne, naturalne drewno i czarna politura. Porządna, solidna stolarka. Nic krzykliwego czy ekstrawaganckiego. Usiadł na kanapie stojącej na środku pokoju i zaczął się przypatrywać obrazom wiszącym na ścianie. Najwyraźniej wszystkie wyszły spod pędzla tego samego malarza, ponieważ utrzymane były w podobnym stylu: zamazane kształty wśród zamglonych barw mrocznego tła – przybysze z innej planety, uchwyceni w światłach samochodowych reflektorów na autostradzie w ciemną noc. Równie dobrze mogły to być oryginały kupione za pięćdziesiąt patoli każdy w jakiejś galerii bajer-frajer w Soho, jak motelowa sztuka z weekendowych wyprzedaży w Holiday Inn. Nie potrafił ich ocenić. Na sztuce kompletnie się nie znał. Możliwe, że ona kupuje dzieła sztuki, jeśli nagle spływa jej mnóstwo szmalu od klienta, który tarza się w narkotykowej mamonie. Bardzo możliwe, że Lesley Halloran to robi, bo to jest w dobrym tonie.

Tozzi podniósł się i podszedł do jednego z malowideł. Miał gdzieś to arcydzieło, chciał jedynie zobaczyć kolor ściany pod nim, by wiedzieć, czy obraz wisi tu od dawna, czy też jest to nowy nabytek. W chwili gdy już



miał ruszyć ramę, wróciła Lesley. Wyłoniła się z mroku przedpokoju jak jeden z tych kształtów na obrazach. W jej oczach czaił się strach. I coś jeszcze: determinacja. Tozzi spostrzegł, że w prawej ręce trzyma pistolet. Opuścił ramię.

– Co ty chcesz zrobić?

– To, co będę musiała – odparła. – Nie mam zamiaru ryzykować. Po co tu przyszedłeś, Michael? Żeby mnie zabić, tak jak zabiłeś Marty'ego Blooma i innych? – Ręka jej drżała. Wargi też. Srała po nogach ze strachu, a to oznaczało, że z byle powodu może nacisnąć spust.

Trzymał ręce tak, żeby je widziała.

– Ja nikogo nie zabiłem, Lesley.

– Nie pozwolę skrzywdzić ani siebie, ani mojej córki. Rozumiesz? Prawo mi na to zezwala. Bronię swojego dziecka i swojej własności, rozumiesz, prawo mi na to zezwala. – Zachowywała się histerycznie, w ogóle go nie słuchała.

– Lesley, odłóż pistolet, dobrze? Odłóż go, zanim stanie się coś złego.

– Myślałam, że cię znam, ale myliłam się, bardzo się myliłam. Nie powinnam cię była wpuścić. Co ja sobie myślałam? Jak mogłam ci zaufać po tym, co się dzisiaj stało?

Tozzi odetchnął głęboko. Czas było zagrać *va banque*.

– Może wpuściłaś mnie dlatego, że jednak mi ufasz. Może dlatego, że mnie lubisz. Choć trochę.

Wstrzymał oddech w oczekiwaniu na odpowiedź. Ręka jej drżała, ale twarz nadal wyrażała silną determinację. Jego słowa do niej nie docierały. Czuła się zagrożona i przekonywała samą siebie, że potrafi to zrobić, jeśli będzie musiała. Tozzi nie wątpił, że potrafi. Jeśli zrozpaczona matka rzuca się pod pociąg dla ratowania dziecka, to naciśnięcie spustu jest dla niej fraszką.

Zerknął na broń. Posrebrzany pistolet automatyczny, mały kaliber, dwudziestkadwójka, a może dwudziestkapiątka, jeden z tych, których używają różni cwaniacy. Zawodowcy, zabójcy na zlecenie wolą dziewięć milimetrów, ale uliczni bandyci lubią właśnie takie cacka, bo można je schować do kieszeni. Skąd go ma? Od Salamandry?

– Masz pozwolenie na broń?

– Tak. I wiem, jak się strzela, jeśli to cię gryzie.

Tozzi skinął głową, nie chcąc się sprzeciwić. Zastanawiał się, czy naprawdę mogłaby to zrobić. Wolał tego nie sprawdzać.

– Myślisz, że nie stać mnie na pociągnięcie za spust, co? Jestem tylko słabą kobietą? Tak właśnie myślisz?

– Nie, o czym innym myślałem.

Zaśmiała się głośno, nerwowo.

– A o czym?

– O potańcówie.

– O czym?

– O potańcówie. Tej u was w szkole, w liceum, pamiętasz?

Zmrużyła oczy, bardzo czujna.

Gadał jak najęty. Wyglądało na to, że wreszcie go słucha.

– Pamiętam, że to było w Halloween. Poszedłem na tę zabawę z paroma kolegami z mojej budy. Jeden z nich chodził z dziewczyną z twojej klasy i zjawiliśmy się tam całą bandą. To było chyba w drugiej klasie.

– Co to ma do rzeczy? – Jej ręka, trzymająca pistolet, ciągle drżała.

– Ten mój kolega nazywał się Joe Reilly. A jego dziewczyna miała na imię Pam, czy jakoś tak. I miała jakieś polskie czy ukraińskie nazwisko.

– Pam Sabisky. Była moją najlepszą przyjaciółką.

– Tak, wiem. Pamiętam ten dzień. Potańcowa była na sali gimnastycznej i było dość ciemno. Chyba ktoś przekonał wasze zakonnice, że na święto zmarłych powinno być ciemno. Zwykle przy tańcach włączały światła, żeby nie można było się obłąpać. Ty, pamiętam, stałaś z koleżankami po jednej stronie sali, a Joe, ja i nasi kumple po drugiej, podpierając ściany i wpatrując się w was.

– Po co mi to mówisz?

*Po to, żebyś w końcu odłożyła ten pistolet. Żebyś nie zrobiła mi dziury w klatce piersiowej. Żebyś mi zaufała.*

– No i – ciągnął dalej – pewnie tego nie pamiętasz... ale wiesz, jacy są chłopcy w takim wieku. Takie napalone koguty, obawiające się ośmieszenia. Pamiętam, że stałem tam cały wieczór, patrząc na ciebie, próbując wymyślić jakąś gadkę, żeby cię poprosić do tańca. Chyba mogę się teraz przyznać. Naprawdę bardzo mnie wtedy piliło do ciebie, ale nigdy przedtem nie zamieniliśmy słowa i nie bardzo wiedziałem, jak cię podejść. Bo

widzisz, nie wyglądałaś na dziewczynę, która chciałaby się zadawać z takim chłopakiem jak ja. Zawsze sprawiałaś wrażenie panienki strojącej fochy albo co najmniej takiej, która łatwo się złości.

*I podobne sprawiasz w tej chwili.*

– Pamiętam to – odparła po długiej chwili milczenia. – Pam biegała z jednego końca sali na drugi w roli posłańca, próbując połączyć nas w pary.

– Tak, dokładnie tak było. A pamiętasz nazwę tego zespołu, który wtedy grał?

Pokręciła głową.

– Koło Fortuny. Byli z sąsiedniej ulicy, z Vailsburg. Pamiętam jak dziś... że zaczęli drugą część od „Drive my car”. Wiesz, ten kawałek Beatlesów. Naprawdę lubiłem to. „Miła, możesz się przejechać moim wozem, da-da-da...”. Omal nie wziąłem się w garść i nie podszedłem do ciebie, kiedy zaczęli to grać. Omal. Czekałem, żebyś się choć odrobinę uśmiechnęła, żebyś nie wyglądała na taką wściekłą. Ale się nie uśmiechnęłaś i scykrowałem. Później zobaczyłem, że tańczysz z jakimś fagasem ze szkoły Seton Hall. Byłaś z nim do samego końca. Może gdyby ta piosenka była dłuższa...

Stała na środku pokoju, nieruchomo, wciąż celując w niego z pistoletu. I nagle opuściła rękę i wydała długie, żalosne westchnienie, jakby uszła z niej cała nadzieja. Opuściła głowę i zakryła oczy dłońmi.

– Cholera. Ty ich nie zabiłeś, prawda?

– Nie, nie zabiłem. – Zrobił ostrożnie krok do przodu. – Lesley? Odłóż pistolet.

Stała bez ruchu. Podeszedł bliżej.

– Lesley? Oddaj mi pistolet. Proszę cię.

Szloch targnęła jej ramionami. Rozpłakała się. Gdy postąpił jeszcze o krok, podniosła nagle głowę i wpatrzyła się w niego.

– No i na co się gapisz? Tak, jestem przerażona. Boję się o Patricię. – Twarz się jej zapadła, a w oczach zabłyśły łzy. – Jezu, Michael, ona ma dopiero pięć lat.

Cisnęła pistolet na kanapę i odwróciła się plecami, znów kryjąc twarz w dłoniach. Nie chciała, żeby widział, jak płacze.

Tozzi podszedł do niej i z wahaniem położył jej rękę na ramieniu. Chciał ją pocieszyć, chciał przeprosić za to, że tak ją przeraził. Mylił się co do niej, była czysta jak łąka, i czuł się winny za to, że myślał inaczej. Chciał coś zrobić, żeby jej to wynagrodzić.

Tyle że nagle uzmysłowił sobie, że ma niesamowitą erekcję. Dotykać jej, być przy niej tak blisko, widzieć ją bezbronną – tak właśnie zawsze wyobrażał sobie tę chwilę, w ten sposób chciał ją zdobyć. Urzeczywistniał się pościelowy sen. Tozzi przeżywał w tej chwili katusze. Nie mógł uwierzyć, że jest taką świnią. Musi się opanować.

Nagle odwróciła się błyskawicznie, zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego.

– Boję się – wyjąkała. – Boże, co się stanie, jeśli przyjdą po mnie? Co się wtedy stanie z Patricia? A jeśli przyjdą po nią?

Objął ją.

– Nie martw się. Ani tobie, ani twojej córce nic się nie stanie. Obiecuję.

Szwy w spodniach zaczynały trzeszczeć. O Jezusie.

Nadal płakała, szlochając żałośnie. Coś go ścisnęło za gardło. Pomyślał o Iversie, McCleerym, Cooneyu i Santiago, o jatce w domu wuja. Myśl, że niechybnie zrzucą to na niego, uderzyła go nagle jak włócznia ciśnięta w pierś. Mogą go aresztować w każdej chwili, wrzucić w tryby sądowniczej maszynki do mięsa. I wtedy zabójca będzie mógł wziąć na cel Lesley, rozwalić ją tak, jak rozwalił Marty'ego Blooma, rozwalić tyłu obrońców, ilu potrzeba, żeby doszło do unieważnienia procesu. Tymczasem on będzie gnął w jakimś pudle, czekając na postawienie go w stan oskarżenia. Jezusie. Chciał przełknąć ślinę, ale gardło miał ściśnięte. Omal się sam nie rozpląkał.

– Lesley, posłuchaj, muszę cię o coś zapytać. – Miał tak miękkie nogi, jak podczas owej potańcówki.

Pociągnęła nosem z głową na jego piersi.

– O co?

– Być może, będę potrzebował dobrego adwokata. Widzisz, coś mi się wydaje, że oni będą chcieli mnie wrobić w te morderstwa. Czy... Kurczę, nie wiem, jak to powiedzieć... Czy... mogłabyś mnie bronić?

Uniosła głowę i spojrzała na niego. Miała zaczerwienione, wilgotne, pełne żalości oczy.

- Weź Kostmeyera, on jest dobry.
- Ale ja chcę ciebie.

Patrzyła na niego.

- Dobrze – odparła szeptem.

Tozzi już nie mógł się dłużej kontrolować. Lesley Halloran była wreszcie w zasięgu jego ręki. Wreszcie nie wyglądała na rozeźloną, najeżoną ani nic takiego. Była tutaj, w jego ramionach, taka bezbronna i piękna. Opuścił głowę, żeby ją pocałować, najpierw ostrożnie, dopóki nie przekonał się, że ona tego chce. Objęła go za szyję i pociągnęła ku sobie.

O Jezu!

Całowali się długo i namiętnie, aż zakręciło mu się w głowie. Bał się otworzyć oczy, żeby nie upaść. Kiedy w końcu przerwali dla zaczerpnięcia oddechu, ręce miał splecione na jej drobnych pośladkach. Wpatrywał się w jej niebieskie oczy. Łokcie trzymała blisko ciała, a dłońmi dotykała jego piersi. Wreszcie się uśmiechała, naprawdę się uśmiechała.

– Wiesz co? – spytał szeptem, bo bolało go gardło. – Marzyłem o tym, odkąd skończyłem czternaście lat.

Oczy jej zabłyśły.

- Ja też.

Tozzi aż usiadł.

# 11.

**N**aprawdę, Michael, uważam, że to makabryczne. Dlaczego nie dałeś mi znać, że nie udało ci się wynająć sali Knights of Columbus? Chętnie zaprosiłabym wszystkich do siebie. Tyle przynajmniej należy się wujkowi od nas.

Tozzi spojrział znad papierowego kubka, z którego popijał kawę, i skinął głową, żeby jego kuzynka Marie myślała, że jej słucha. Pokój był pełen krewnych i przyjaciół rodziny, jedzących ciastka i kanapki, popijających kawę. Niektórzy wyglądali na przygnębionych, ale wszyscy jak jeden mąż gaworzyli i najwyraźniej dobrze się bawili. Tozzi nie mógł zrozumieć, dlaczego po pogrzebach robi się przyjęcia. Żarcie wtedy mniej smakuje. A kiedy już przysypali gościa ziemią, co można by jeszcze powiedzieć oprócz tego, co zostało powiedziane podczas czuwania przy zwłokach? Co za głupota. Czemu nie spuścić trumny do dołu, rzucić kwiatuszka i iść do domu? Po co robić przyjęcia?

Marie kręciła głową, cmokając z niezadowoleniem. Była drobną kobietą o krótkich kruczoczarnych włosach. Miała około trzydziestu pięciu lat. Zawsze kiedy mówiła, wywracała oczami jak owe zabawki, zegary w kształcie kotów, których ogony ruszają się w jedną stronę, a oczy w przeciwną. Miała jednostajny, uporczywy, wkurzająco nosowy głos. Rozmowa z nią przypominała borowanie zęba u dentysty.

- Nie rozumiem, jak oni w ogóle pozwolili ci nas tu zaprosić –

powiedziała. – Po tym, co się stało na górze zaledwie parę dni temu. – Ściągnęła usta i wywróciła oczy do góry.

Tozzi zerknął w kierunku schodów. U ich stóp siedział na składanym krzeselku policjant z Jersey City. Między barierką a ścianą przeciągnięta była żółta taśma.

– Wiesz, Marie, to jest rzeczywiście miejsce zbrodni, ale ten facet z prokuratury, którego znam, szepnął komuś słówko i tutejsza policja zgodziła się wpuścić nas tutaj, pod warunkiem że nie będziemy wchodzić na piętro. – McCleery sam to zaproponował. Irlandczycy mają odchył na punkcie pogrzebów.

– No dobrze, ale wcale nie musiałeś się zgodzić. Przecież to makabryczne. – Znow wywróciła oczami.

Tozzi miał ochotę powiedzieć jej, jaki jest prawdziwy powód urzędzenia stypy w tym domu. Na ten pomysł wpadł adwokat wuja. Chciał, żeby wszyscy przyszli i zobaczyli, co wujcio tu nazbierał, i żeby potem nie zarzucali Tozziemu, że zatrzymał jakieś cenne rzeczy dla siebie. Im wszystkim się zdawało, że wuj ma tu gdzieś ukryte złoto, a Marie należała do tych, którzy święcie w to wierzyli. Bez przerwy gadała teraz o przeszłości, o rzeczach, które wujek miał i które ona miło wspomina. To znaczy o rzeczach, które chciałyby dostać. Żałował, że nie może jej zabrać na górę do sypialni, gdzie wszystko się rozegrało. Może zgorszyłaby się na tyle, że poszłaby w diabły. Choć to wątpliwe, przecież jej zdaniem są tu skarby.

Marie znow wywróciła oczami, tym razem do dołu. Jak ona to robi?

– Ojej, nigdy przedtem tu tego nie widziałam. Bardzo ładny.

Tozzi spojrział na orientalny dywan, na którym stali. Wszyscy go o niego zagadywali, ślinili się na jego widok.

– Ładnie by u mnie wyglądał w dziennym pokoju. – Powiedziała to tak, jakby wypowiadała życzenie. – Purpura i błękit. Pasowałby jak ulał do kanapy. – Przypatrywała się dywanowi, kiwając głową, z dłonią przy policzku.

Tozzi zerknął w stronę drugiego pokoju, tego z rowerami. W nim też tłoczyli się ludzie, między innymi Gibbons i Lorraine. Modlił się w duchu, żeby Lorraine przyszła i uwolniła go od Marie. Kiedy zerknęła w jego kierunku, przytrzymał jej spojrzenie.

*Błagam cię. Wiem, że Marie jest upierdliwa dla wszystkich, ale proszę cię, zabierz ją ode mnie, zanim ją huknę.*

Skinęła głową, jakby usłyszała te słowa, i stuknęła Gibbonsa w ramię. Ruszyli ku niemu, przedzierając się przez tłum żałobników.

*Dzięki, zapiszę ci coś w moim testamencie.*

– Marie – odezwała się Lorraine, zachodząc drobną kobietę od tyłu – wszędzie cię szukam.

Marie wywróciła ku niej oczami.

– Jestem tutaj. Właśnie mówiłam Michaelowi, że to był bardzo zły pomysł, zaprosić wszystkich tutaj. – Znów rzuciła spojrzenie na sufit. – Po tym, co się stało na górze. To straszne, jestem cała roztrzęsiona. – Z jej drugiej strony pojawił się Gibbons.

– To po co przysłaś, skoro wiedziałaś, że będziesz roztrzęsiona? – spytał.

Odchyliła do tyłu głowę i popatrzyła na niego oburzona.

– Musiałam przyjść. Przez szacunek dla wujka.

Tozzi zerknął na Gibbonsa, potem na Lorraine. Nikt nie musiał nic mówić, wszyscy trzej myśleli to samo.

– Marie, ty się znasz na antykach – odezwała się Lorraine. – Tam jest coś, co chciałabym ci pokazać. Myślę, że to oryginalne szkło z okresu kryzysu, ale nie jestem pewna.

Brwi Marie podskoczyły aż pod samą grzywkę.

– Porozmawiamy później, Michael. – Ruszyła ochoczo z Lorraine, która ujęła ją pod ramię.

Tozzi potarł kark.

– Dzięki.

Gibbons zamieszał resztkę kawy w kubku.

– Nie ma za co. Wyglądałeś, jakbyś ją miał zaraz udusić.

– Nie powiem, że nie przyszło mi to do głowy.

– Kiepski pomysł. Tutaj? – Zerknął na sufit. – Wiesz, o co chodzi. Morderca wracający na miejsce zbrodni, uderzający ponownie, i te inne bzdety.

– Zaczynasz? – Tozzi pocierał sobie skronie. Przydałby mu się masaż albo trochę boksu, żeby rozluźnić ramiona.

Rozległ się dźwięk dzwonka i któryś z krewnych stojący w przedpokoju otworzył drzwi. Rozległ się chórek ochów i achów, ale Tozzi nie mógł



dostrzec, kto przyszedł, tylu ludzi się tam tłoczyło. Kiedy w końcu tłum się przerzedził, zobaczył, skąd to całe zamieszanie. Przyszła Lesley z córką. Patricia miała na sobie ciemnozieloną aksamitną sukienkę z koronkowym kołnierzykiem. Ścisnęła matczyną dłoń jak tonący brzytwę, i wyglądała na okropnie onieśmiałą. Tozzi to rozumiał. Pamiętał, że czuł się podobnie, kiedy był mały.

Gibbons pokręcił głową.

– Nigdy tego nie zrozumiem. Dlaczego Włochom odbija na widok dzieci? To tak jakby każde było Dzieciątkiem Jezus. Nie kumam tego. Choć był wyjątek, nie? Twój wuj. Mówiłeś, że on nienawidził dzieci?

– W każdym razie nienawidził mnie.

Lesley przedarła się przez tłum. Uśmiechnęła się do Gibbonsa, po czym spojrzała na Tozziego.

– Jak sobie radzisz, Michael?

Tozzi zdobył się na uśmiech.

– W porządku.

Ukucnął przy małej, która stała za matką z palcami w buzi.

– Jak się masz, Patricia?

Wzruszyła ramionami i cofnęła się o krok. Uśmiechała się jednak i zerkała na niego, tak jakby go poznała, tylko wstydziła się do tego przyznać.

Tozzi mrugnął do niej. Ale z niej kokietka.

Patricia pociągnęła matkę za rękę i Lesley pochyliła się, żeby usłyszeć, co mała szepcze.

– Mamusiu, to ten pomocnik świętego Mikołaja.

Gibbons popatrzył wilkiem na Tozziego.

– Pomocnik Mikołaja? Co to za pierdoły? – mruknął.

– Przepraszam, że ją ze sobą przywiozłam – powiedziała Lesley – ale w szkole mają przerwę świąteczną, opiekunki na środek dnia też nie mogłam znaleźć. A bardzo chciałam złożyć kondolencje.

Tozzi znów przyklęknął i uśmiechnął się do małej.

– Co dostałaś pod choinkę? Powiesz mi?

Dziewczynka odwzajemniła uśmiech i zaczęła się kręcić na jednej nóżce. Wzruszyła ramionami. Ach te kokieteryjne, wielkie niebieskie oczy.

Gibbons też ukląkł, tuż przy Tozzim, i szepnął mu do ucha:

– A ty, dupku, co dostałeś pod choinkę? Myślę, że wiem.

Tozzi puścił uwagę mimo uszu i dalej namawiał Patricję, żeby mu opowiedziała o swoich prezentach. Polubił ją, była rezolutna. Poza tym ona jedyna ze wszystkich zebranych nie miała tu nic do roboty. Postanowił porozmawiać z nią dłużej, ponieważ wiedział, że Gibbons zamierza szepnąć mu parę słów na temat „kolegowania się” z Lesley Halloran, a wcale nie miał ochoty ich usłyszeć.

Znów ktoś zadzwonił do drzwi i w przedpokoju ponownie powstało zamieszanie. Spojrzawszy w tamtą stronę, Tozzi od razu zobaczył, kto przyszedł. Trudno było wziąć faceta za kogoś z krewnych, chyba że się było niewidomym. Podniesione czoło, wyprostowana postawa, długi cienki nos, mocny podbródek, popielaty garnitur. Któż by to mógł być, jeśli nie król białych Amerykanów, Tom Augustine.

Tozzi się podniósł. Prokurator ruszył ku niemu.

*Skurwysyn ma tupet, że tu przychodzi. Zleca śledztwo przeciwko mnie, zawieszam mnie, a ja mam udawać, że nic się nie stało. Pierdol się.*

Augustine uśmiechnął się miło i wyciągnął rękę. Tozzi najpierw popatrzył na nią, jakby się bał, że jest ubabrana w psim gównie, i dopiero po chwili ją uściśnął. Augustine udał, że tego nie widział.

– Dzień dobry, Mike. Wpadłem na moment, żeby złożyć wyrazy współczucia.

– Nie trzeba się było fatygować. – Tozzi nawet nie próbował być grzecznym.

Augustine uniósł brew.

– Wiem, że masz teraz ciężki okres, rozumiem to.

– Dlaczego McCleery depcze mi po piętach przez całą dobę? Czy to konieczne?

– Jimmy McCleery prowadzi niezależne śledztwo. Nie odpowiada przede mną w takich sprawach.

– Tak, oczywiście.

– Nie rozumiem twojego postępowania, Mike. Zachowujesz się tak, jakbyś myślał, że mnie zależy na twojej głowie.

– A co mam myśleć? Postępujesz tak, jakby ci zależało.

Augustine otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

Przeniósł spojrzenie na Lesley.

– A pani mecenas jest tu w jakim charakterze?

Zmrużyła niebieskie oczy do wielkości promieni lasera.

– Jestem przyjaciółką rodziny.

Skinął głową w zamyśleniu, taksując ją wzrokiem od stóp do głów.

– Aha... rozumiem.

– Co cię sprowadza? – spytał Tozzi. – Co cię naprawdę sprowadza? – Wywrócił oczami, skupiając na chwilę uwagę na bólu w plecach. Męczył go okropny skurcz między łopatkami.

Augustine najwyraźniej poczuł się urażony.

– Powiedziałem już. Chciałem złożyć kondolencje.

– Dziękuję bardzo. – Tozzi łyknął kawy i zerknął na niego znad kubka.

Augustine odchylił głowę nieco do tyłu i spojrzał z góry.

– Ależ proszę.

– Pewnie się gdzieś śpieszysz? Nie musisz zostawać dłużej.

Wyglądało na to, że Augustine chce coś powiedzieć, ale znów się powstrzymał i tylko się uśmiechnął jak grabarz. Spojrzał na Patricię.

– Czasami, kiedy ludzie bardzo się złością na innych, to tak naprawdę złością się na siebie samych. Wiedziałas o tym, maleńka?

Dziewczynka schowała się za nogi matki. W jej oczach odmalował się strach. Być może, w wyższych sferach gada się w ten sposób do dzieci, ale w tej chwili Augustine wypadł jak Kapitan Hook.

Tozzi wsunął się między niego a Lesley i Patricię.

– Nie strasz jej.

Augustine wyprężył się i znów spojrzał na niego z góry.

– Twoje rozgoryczenie jest całkowicie zrozumiałe, ale wyładowujesz się na nieodpowiedniej osobie, Mike. Mówiąc szczerze, to ja miałbym prawo do takiego zachowania. Nie dość, że powiedziałeś te głupie słowa o mordowaniu w obecności dziennikarza, to jeszcze powiedziałeś je do mnie. Ja też mogłem zostać w to zamieszany.

– Więc dlaczego to nie jesteś objęty dochodzeniem?

Augustine zacisnął zęby.

– Hej, Toz, daj spokój. – Gibbons położył rękę na ramieniu kolegi.

– Zadałem po prostu pytanie. – Tozzi cofnął się o krok, ale wzrok wciąż miał utkwiony w prokuratora.

Augustine obciągnął mankiety.

Wiesz co, Mike, jesteś zupełnie inny od agentów federalnych, z którymi się do tej pory zetknąłem. Większość z nich trzyma emocje w karbach, a u ciebie wszystko wyłazi na wierzch. To rzadka cecha u agentów FBI.

Tozzi wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– A czego się spodziewasz? Przecież jestem Włochem.

Augustine skinął głową.

– Otóż to.

– No więc jak idzie to niezależne śledztwo? – wtrącił się Gibbons. – Czy McCleery już stwierdził, że Tozzi jest niewinny?

Augustine przeniósł wzrok z Gibbonsa na Lesley i z powrotem.

– Nie wolno mi o tym rozmawiać w obecności adwokata obrony.

– Niech pan się nie krępuje, prokuratorze – rzekła Lesley. – Chodź, Patricia, zdaje się, że w drugim pokoju są jakieś ciasteczka.

Gdy odeszły, Augustine, zerknąwszy, czy nikt nie podsłuchuje, odpowiedział półgłosem:

– Policja stanowa New Jersey została poproszona o współdziałanie z tutejszym posterunkiem. – Patrzył na Gibbonsa, unikając wzroku Tozziego. – Wygląda na to, że faceci znają się na robocie. Dziś rano otrzymałem od nich wstępny raport. Na podstawie rekonstrukcji zdarzeń wygląda to na brutalną rzeź. Czyste okrucieństwo. Kule, które zabezpieczyli, pochodzą z dwóch różnych pistoletów, wysunęli więc hipotezę, że było dwóch zabójców, którzy znali się na rzeczy i wykonali robotę z zimną krwią. – Przerwał na chwilę, żeby zrobić większe wrażenie i rzekł takim tonem, jakby to była wielka nowina: – Bloom, Giordano, Santiago, Cooney... Straszne, straszne. Bez przerwy stykam się z podobnymi sprawami, ale wciąż nie mogę pojąć, co się dzieje w człowieku, który zdolny jest do czegoś takiego.

Gibbons wzruszył ramionami. Na to nie ma odpowiedzi.

– A co z motywem? Mają coś szczególnego?

Augustine pokręcił głową.

– Nie, trzymają się na razie najbardziej prawdopodobnej wersji i ja się z nimi zgadzam. Sycylijczycy doszli do wniosku, że mogą upiec dwie

pieczenie przy jednym ogniu: uciszyć Giordana, zanim zacznie zeznawać, oraz doprowadzić do unieważnienia procesu przez zabicie jednego z adwokatów. To taktyka, którą mafia we Włoszech stosuje od lat. Zastraszanie wymiaru sprawiedliwości. A ty, Mike, miałeś po prostu pecha, że twoja wypowiedź została opublikowana w dniu, kiedy dokonano tych morderstw. Jeśli nie zbiegło się to tak dokładnie w czasie, to prawdopodobnie nie musiałbyś przez to wszystko przechodzić. – Augustine odetchnął głęboko. – Trzeba się będzie sporo natrudzić, żeby sprawa nie upadła.

W głosie Augustine'a było coś, co kazało Tozziemu wąpić w szczerość jego słów. To ten sztuczny, natrętny ton, którym przemawiał do wszystkich; w ten sam sposób, wszedłszy tu, wyraził swoje współczucie z powodu śmierci człowieka, którego nigdy nie widział na oczy. To wszystko gówniane pozory.

Augustine podniósł gwałtownie rękę i spojrział na zegarek.

– Muszę pędzić. – Znów wyciągnął rękę do Tozziego. – Głowa do góry, Mike. W tej chwili nie wygląda to najlepiej, ale jestem pewien, że wszystko szybko się wyjaśni.

– To twoje „szybko” to dla mnie i tak za długo. – Tozzi niechętnie uściśnął mu dłoń.

Augustine posłał mu pocieszający uśmiech, po czym odwrócił się i ruszył do drzwi. Obserwując, jak przedziera się przez tłum, Tozzi trawił ten jego pieprzony optymizm. Prawda była taka, że siedzi po uszy w gównie i lada chwila może się zacząć zapadać. Ludzie lubią zobaczyć raz na jakiś czas gliniarza dyndającego na szubienicy. Dzięki temu wydaje im się, że politycy utrzymują w kraju porządek. Dotąd federalni byli nietykalni, ale to już przeszłość. W dzisiejszych czasach oskarżenie uwikłanego w nieczyste sprawy fedzia daje wiele dodatkowych punktów. To jedna z tych rzeczy, które mogą oznaczać dobry początek kariery politycznej. Tak naprawdę, Augustine mógłby zbić spory kapitał na oskarżeniu go, zwłaszcza jeśli naprawdę zamierza kandydować w wyborach.

Tozzi patrzył, jak Augustine posuwa się powoli do drzwi, posyłając uśmiechy i kłaniając się po drodze starszym paniom. Czarujący stróż prawa. Wyglądał jak kandydat na prezydenta wśród swoich zwolenników. Tozzi pokręcił dla relaksu głową na sztywnej szyi. Skurcz w plecach nie ustępował.

Podszedł do okna i zobaczył służbowy samochód Augustine'a, czarnego chryslera z kierowcą, zaparkowanego w niedozwolonym miejscu. Prokurator właśnie schodził ze schodów, a na chodniku czekał na niego McCleery. Jebany McCleery sterczał tu w zimowym słońcu cały dzień, obserwując wchodzących i wychodzących żałobników. Ten palant chyba lubi marznąć.

– Tak, to było bardzo rozsądne – powiedział ironicznie Gibbons, podchodząc do Tozziego.

– Co?

– No, te utarczki z Augustinem. Po co z nim zadzierasza? Przecież ten facet może ci pomóc.

– Do tej pory tak mi pomagał, że ho, ho.

– Znam cię jak zły szeląg, Tozzi. Nie lubisz go po prostu dlatego, że jest bogaty. Masz tę obsesję na punkcie bogaczy, zwłaszcza tych, którzy nie musieli pracować, by nimi zostać.

– Masz rację, przyznaję to. Nie lubię bogatych. Ale z Augustine'em jest inaczej. – Masował sobie starannie plecy, obserwując, jak Augustine wsiada do samochodu i odjeżdża. – Nie zdziwiłbym się, gdyby on to robił.

– Co?

– Wrabiał mnie.

– Kto?

– A o kim my rozmawiamy? Augustine, rzecz jasna.

Gibbons rozejrzał się, czy ktoś przypadkiem nie usłyszał.

– Kurwa, Tozzi, co się z tobą dzieje? Kiedy wreszcie nauczysz się zachowywać swoje głupie opinie dla siebie, co? Ten facet będzie prawdopodobnie następnym burmistrzem Nowego Jorku. Nie trzeba być geniuszem, żeby dojść do wniosku, że nie należy robić sobie z niego wroga.

– Mam to w dupie, może nawet zostać królową Anglii.

– Ale czy musisz od razu wygadywać takie głupoty? Dlaczego wszystko, co przychodzi ci do głowy, musi od razu wychodzić ustami?

– Mam po prostu złe przeczucia co do niego. W nim jest coś trefnego.

– Nie lubię, gdy masz taką minę. Dobrze cię znam, znowu zrobisz jakieś głupstwo. Widziałem już ten wyraz twarzy.

Właśnie w tej chwili Tozzi zerknął przez okno i zobaczył schodzącą po stopniach Lorraine. Była bez płaszcza, w rękę niosła kubek parującej kawy w podarku dla niewątpliwie wielce zobowiązanego Jimmy'ego McCleery'ego, który podszedłszy do schodów, ukłonił się jej w pas. Stała na

mrozie, pocierając ramiona, śmiejąc się z czegoś, co powiedział McCleery. Tozzi spojrzał na Gibbonsa, który stał ze wzrokiem wlepionym w okno.

- Powinieneś teraz zobaczyć swoją minę, Gib.
- Zamknij się.

## 12.

„...**S**i, si, nostro patron. Nasz wspaniały święty patron, co? Patron d'avvocati...”

Gibbons zatrzymał taśmę, zdjął słuchawki i potarł dłońmi oczy. Bóg raczej wiedzieć, ile podobnych taśm z inwigilacji przesłuchał w swoim życiu. Przysłuchiwał się setkom cwaniaczków, rozmawiających zawołowaną symboliką, która w ich ustach brzmiała bardzo naturalnie, ale ta jedna dawała mu niezły wycisk. Nigdy jeszcze nie słuchał nikogo, kogo byłoby tak trudno zrozumieć jak Salamandrę. Nie dość, że facet miał przedziwny akcent i bez żadnego ostrzeżenia przeskakiwał z angielskiego na włoski i z powrotem, to jeszcze to, co mówił, wydawało się zupełnie bez sensu.

Popatrzył na leżącą przed nim transkrypcję, grubą jak książka telefoniczna, i sprawdził tłumaczenie tego, co właśnie usłyszał.

Tak, tak, nasz święty patron. Nasz wspaniały święty patron, co? Patron prawników...”

Kogo, cholera, on ma na myśli? Z tonu Salamandry zalatywało ironią i rozdrażnieniem, mówił więc najwyraźniej o kimś, z kogo nie był zadowolony.

Gibbons sprawdził datę i miejsce podsłuchu. Wiosna, zaraz po tym, jak wpłynął akt oskarżenia grupy Figara, w salonie piękności w Totowa w New Jersey. Salamandra rozmawiał z Małym, owym tajemniczym, niskim mężczyzną, którego tożsamości do tej pory nie ustalono. Na innej taśmie jeden z makaroniarzy gada o „małym Nemo”. Może to właśnie ten, kto wie?



Poszperał wśród rozłożonych przed nim czarno-białych zdjęć i znalazł jedną z kilku fotografii, na których był ten nieuchwytny facet. Stał w budce telefonicznej razem z Salamandrą, a ziemię pokrywał śnieg. Salamandra miał na sobie długie wełniane palto, a Mały skórzaną kurtkę. Widać było jedynie plecy tego drugiego, wianuszek włosów na tysej głowie i małą część twarzy, ledwie kawałek policzka. Nosił ciemne okulary. Nie był wprawdzie karłem, ale umięśniona klatka piersiowa i muskularne ramiona przy jego niskim wzroście nadawały mu wygląd kaleki. Przypominał pewnego aktora z telewizji, tego z serialu o przedsiębiorstwie taksówkowym.

No, ale przynajmniej mówił przeważnie po angielsku i można go było zrozumieć.

Gibbons rzucił zdjęcie na stos i nałożył z powrotem słuchawki. Z palcem zawieszonym nad klawiszem „play” odnalazł miejsce w transkrypcji, skupiając się na ostatnich słowach Salamandry. „Patron prawników”. Wykorzystując swoją szczątkową znajomość włoskiego, doszedł do wniosku, że Salamandra nie mówi o swoim adwokacie. „Nostro” miało końcówkę rodzaju męskiego, a przecież jego broniła Lesley Halloran. Może miał na myśli Marty'ego Blooma? Gibbons sposepniał. Jakoś nie chciało mu się w to wierzyć. Marty nie, on nie był mafijnym prawnikiem, co to, to nie. Więc o kim ten grubas gada? Na kogo makaroniarze są tacy wściekli?

Zanim włączył magnetofon, wyprostował się na krześle i przeciągnął. Przyszedł tu przed siódmą i słuchał już cztery godziny. Chciało mu się płakać na widok stosu leżących na podłodze taśm, do których jeszcze nie doszedł. Kierując się intuicją, postanowił przesłuchać najpierw te, które zawierały aluzje do prawników, prawa czy sądu. Miał nadzieję, że znajdzie coś, co oczyści Tozziego. Przyjął założenie, że to nie Giordano był głównym celem zamachu, lecz Marty Bloom. Wiedział, że chwyta się brzytwy, żeby wyciągnąć Tozziego, ale musiał spróbować. Tozziemu ziemia usuwała się spod nóg. To, czy naprawdę jest winny czy nie, nie miało znaczenia. Mogą go zrobić tylko dlatego, żeby sprawa Figara nie trafiła do kosza. Tom Augustine najwyraźniej był na to zdecydowany.

Nacisnął klawisz i taśma zaczęła się przesuwac.

Mówił Mały: „Będzie dobrze, nie martw się. Po to go tam mamy, nie? Za to dostaje szmal, więc się tym zajmie”.

Gibbons zatrzymał magnetofon i zmarszczył brew. Czym się zajmie?

– Aha, tu się schowałeś, Cuthbert. Wszędzie cię szukam.

Gibbons podniósł wzrok znad biurka. Niestety, słyszał tego skurwiela pomimo słuchawek na uszach. W drzwiach pokoiku, z rękami w kieszeniach tweedowego płaszcza, stał nie kto inny jak Jego Królewska Wysockość, Oficer Śledczy do Specjalnych Poruczeń McCleery. Gibbons był zdziwiony, że McCleery nie poszedł do sklepu z zabawkami i nie kupił sobie blaszanej gwiazdy szeryfa.

– Możesz zdjęć słuchawki, zostaną tu przez chwilę. – McCleery rozpiął płaszcz i przysunął sobie krzesło.

Gibbons zsunął słuchawki na szyję.

– Czego? Jestem zajęty.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że ja nie jestem?

– Mów, o co chodzi, McCleery. Mój czas jest cenny.

– Otóż właśnie. Powiedziałbym, że jest bezcenny i bardzo ograniczony.

– A to co, jeden z twoich irlandzkich limeryków?

McCleery zmarszczył fraszobliwie czoło.

– Z bólem serca myślę o twojej biednej żonie, samej, ledwo wiążącej koniec z końcem, podczas gdy jej mąż odsiaduje dwadzieścia pięć lat w jakimś federalnym pudełku na drugim końcu kraju.

Gibbons najeżył się na wspomnienie Lorraine.

– Płyn, McCleery, nie potrzebuję cię dzisiaj.

– Czy mam przez to rozumieć, że tkwisz w fałszywym przekonaniu, iż w przeciwieństwie do Tozziego nie jesteś objęty prowadzonym przeze mnie dochodzeniem?

– Co?

– Nie nabierzesz mnie, chłopcze, więc nie próbuj udawać. Ty i Tozzi od dawna pracujecie razem... przynajmniej dziesięć lat. Bliscy sobie jak bracia, jak mi powiedziano. A teraz jeszcze powinowaci. Więc chyba logicznym wydaje się przypuszczenie, że jeśli jeden z was zamyślał morderstwo z zimną krwią, to drugi miał o tym jakieś pojęcie. Ten drugi nie musiał być od razu współnikiem w zbrodni, ale mógł być, powiedzmy, biernym pomocnikiem. Kimś, kto wiedział, co zabójca zamierza, ale nie zrobił nic, żeby go powstrzymać.

Gibbons patrzył na McCleery'ego.

– Wiesz co? Jeśli miałbyś mózg, to byłbyś niebezpieczny. Irlandczyk cmoknął.

– Całkowicie rozumiem twoje rozgoryczenie, Cuthbert, ale proponuję, żebyś spędził swoje ostatnie dni wolności razem ze swoim kolegą. Przecież wiesz, że są policzone.

Uśmiechał się, czekając na reakcję Gibbonsa, ale ten nie miał zamiaru sprawić mu przyjemności. Może jeśli będzie ignorował palanta, to ten sobie pójdzie.

– A wiesz, pomyślałem sobie teraz, że to nawet dobrze dla ciebie, że tak się stanie. Możesz przestać pracować, unikając wstydliwego odejścia na emeryturę. Zdaje się, że już jesteś całkiem blisko wieku emerytalnego... A tak naprawdę, to chyba już go dawno przekroczyłeś. Rozumiem, że człowiek może zapomnieć o kilku latach, żeby go nie posłali na zieloną trawkę. Nie powinienes się wstydzić, Cuthbert, to całkowicie zrozumiałe.

Gibbons zazgrzytał zębami. Jediną rzeczą, której nienawidził bardziej od zwracania się do niego po imieniu, były żarty na temat jego wieku. Każdy, kto go choć trochę znał, wiedział, że jest Gibbonsem, po prostu Gibbonsem. Miał dopiero pięćdziesiąt osiem lat, jego wiek to wyłącznie jego sprawa i nikomu nic do tego. Należycie wykonywał swoją robotę, nie gorzej od innych agentów FBI, a na pewno o wiele lepiej niż McCleery, kiedy pracował jako federalny.

Spojrzał na zegarek.

– Jest piętnaście po jedenastej. Nie powinienes już siedzieć w barze?

McCleery zaśmiał się swoim miodopłynnym, irlandzkim śmiechem tenora i wstał z krzesła.

– Rzeczywiście, muszę już iść. Zanim się jednak rozstaniemy, chciałbym życzyć tobie i twojemu koledze oraz twojej ślicznej żonie miłych świąt. I bądź spokojny, Cuthbert, mój przyjacielu, w wypadku gdyby moje śledztwo obróciło się przeciwko tobie i gdyby odstawiono cię do pudła, będę od czasu do czasu zaglądał do Lorraine, żeby zobaczyć, jak sobie bez ciebie radzi. – Z tymi słowami na ustach wyszedł, ale jego bezczelny uśmieszek nadal krążył przed oczami Gibbonsa jak rój komarów.

*Będziesz zaglądał do Lorraine, co? Po moim trupie, kurwa twoja mać!*

Wkładając słuchawki na uszy, Gibbons usiłował przestać myśleć o tym, jak Lorraine zachwyca się recytacjami McCleery'ego, który wygłasza z pamięci wiersze Yeatsa, Keatsa czy jakiegoś innego pieprzonego poety. Wbił oczy w transkrypcję, ale nie mógł się skupić. Czytał to samo zdanie dziesięć razy, ale nic nie rozumiał, bo myśli miał zajęte Złotoustym Irlandzkim Poetą. Widział go oczami wyobraźni, jak przychodzi do Lorraine, z kwiatami i bombonierkami w kształcie serc, zagląda jak napalony pies, recytuje kurewskie wierszyki, podczas gdy on, Gibbons, siedzi w klatce.

Kiedy atak wściekłości minął, uświadomił sobie, że prawą rękę trzyma pod marynarką, na kolbie excalibura, kolta cobry 38, którego nosił przy sobie od pierwszego dnia pracy w FBI. Cofnął dłoń. To byłaby profanacja, gdyby zastrzelił McCleery'ego z tak szlachetnej broni. Nawet tępa siekiera byłaby dla tego skurwiela niezasłużonym zaszczytem.

Próbował zebrać myśli. Zamierzając włączyć magnetofon, szukał w tekście miejsca, na którym skończył. Nagle coś zwróciło jego uwagę. Dziwne. Na dole strony zauważył nazwisko Di vanti. Przeczytał całe zdanie: „Divanti dostanie? Czy już do nas jedzie?” To miały być słowa Salamandry. Gibbons się skrzywił. Niemożliwe.

Wrócił oczami na środek strony, do początku rozmowy.

MAŁY: Parę dni temu wysłałem sześćdziesiąt sześć grzebieni. Tamten facet przyśle nam szampon, jak tylko je dostanie. I tamci wtedy dostaną z tego kilka butelek, wiesz, za grzebienie, a my resztę.

SALAMANDRA: Bène, bène.

MAŁY: Czy on jest zadowolony? Wiesz, tamten facet... bo słyszałem, że nie był?

SALAMANDRA: Niènte paura. On ciebie lubi bardzo. To nostro santo, nasz święty, to on go rozgniewa.

MAŁY: Ale nie przestanie nam przysyłać... szamponu?

SALAMANDRA: Nie, nie martw ty się.

MAŁY: To dobrze.

SALAMANDRA: Divanti dostanie? Czy już do nas jedzie?

MAŁY: Jeszcze nie teraz, ale chyba niedługo.

SALAMANDRA: Mam nadzieję. Ja lubię bardzo duży towar.

Gibbons nie mógł w to uwierzyć. Przeczytał w swoim życiu tysiące zapisów z podsłuchu, przesłuchał setki taśm i wiedział doskonale, jak ci faceci rozmawiają. Nigdy nie nazywają narkotyków narkotykami, zawsze jest

to coś innego: koszule, spodnie, buty, ser, koła, olej, szampon, grzebienie, ręczniki, wszystko, tylko nie to, czym naprawdę są. I tak było tym razem. Ale taka sama żelazna zasada obowiązuje co do nazwisk. Divanti to jeden z oskarżonych, z Buffalo czy skądś tam. Dlaczego Salamandra i Mały o innych mówią „ten”, „tamci”, a potem nagle wymieniają nazwisko Divantiego? Ten, kto robił zapis, musiał się przesłyszeć. Gibbons sprawdził na marginesie numer, po czym przewinął taśmę do odpowiadającego mu miejsca.

Włożył na uszy słuchawki i wsłuchał się w rozmowę. Jak zwykle przy takich nagraniach, było mnóstwo hałasu w tle, tym razem słyhać było głośną muzykę. Śpiewał chyba ten dziwoląg, Michael Jackson. Słyhać też było jakiś jednostajny szum. Może to suszarki do włosów, przecież znajdowali się w salonie piękności.

„– ... Nie, nie martw ty się.

– To dobrze.

– Divanti dostanie? Czy już do nas jedzie?

– Jeszcze nie teraz, ale chyba niedługo.

– Mam nadzieję. Ja lubię bardzo duży towar”. Gibbons zatrzymał taśmę, cofnął odrobinę i wcisnął „play”.

„... Divanti dostanie?”

Znów przewinął do tyłu.

„... Divanti dostanie?”

Jeszcze raz:

„... Divanti dostanie?”

Zrobił to samo jeszcze trzy razy, skupiając się na tym jednym słowie: „Divanti”.

Jak to możliwe? Tak otwarcie wymienia nazwisko? W dodatku ten Divanti to detalista, jak więc może dostawać „bardzo duży towar”?

Salamandra miał ciężki włoski akcent, zmiękczał spółgłoski, opuszczał ostatnie głoski. Gibbons cofnął taśmę i puścił jeszcze raz: „...Divanti dostanie?” Zatrzymał.

Divanti, Divanti, Divanti... Nagle uderzyło go, że wymawiając to nazwisko, Salamandra robi przerwę między drugą a trzecią sylabą. „Divan” i „ti”. Nie, to bez sensu.

Wziął do ręki fotkę Salamandry i Małego w budce telefonicznej. W uszach wciąż rozbrzmiewało mu to jedno słowo. Poszperał w innych

zdjęciach i nagle natrafił na fotografię Vincenta Giordana, również w towarzystwie Małego. Giordano siedział za kierownicą, a kurdupeł obok, z twarzą zwróconą ku niemu. I znów widać było zaledwie kawałek twarzy tego drugiego. Gibbons wpatrzył się w Giordana. Najwyraźniej facet był czymś mocno zafrasowany, jego spojrzenie wyrażało niepokój graniczący ze strachem. Czy tak właśnie wyglądał w domu wuja Tozziego, kiedy zabójcy wyciągnęli pistolety? Gibbons przypomniał sobie policjanta siedzącego u stóp schodów, pilnującego miejsca przestępstwa podczas wczorajszej stypy. On i Lorraine stali przy stole z jedzeniem, a stamtąd było go świetnie widać. Tozzi był w drugim pokoju z tą upierdliwą kuzyneczką, próbującą wyłudzić ten orientalny dywan...

Dywan...

Dywan...

Dywan...

Dywan....

Dywan? A może Salamandra mówi „dywan”? Gibbons się zamyślił. Facet zmiękcza spółgłoski, mówi na przykład „ti” zamiast „ty”. Próbował wyobrazić sobie, jak grubas wypowiada słowo „dywan”. Jeśli podstawić w nazwisku „Divanti” „y” za „i”, to zdanie brzmiałoby: „Dywan ty dostanie?” Poprawnie: „Czy ty dostaniesz dywan?” Salamandra pytałby Małego, czy dostanie dywan. Tak, pewnie tak było.

I nagle coś sobie przypomniał. To, co powiedziała Lorraine, kiedy patrzyli, jak Marie wierci Tozziemu dziurę w brzuchu. Powiedziała, że tego dywanu tam nigdy przedtem nie było, że widzi go pierwszy raz w życiu.

Próbował przypomnieć sobie, jak ten dywan wygląda. Tozzi i Marie stali na nim. Na purpurowym tle niebiesko-beżowy arabski wzór. Dywan był ogromny, pokrywał całą podłogę. Trzy metry na cztery, a może większy.

Wpatrzył się w tekst transkrypcji, wstawiając w myśli na miejsce nazwiska Divanti słowa. „Dywan ty...”

Znakomite miejsce na zachomikowanie narkotyków – kryjówka FBI załadowana gratami. Najciemniej pod latarnią.

Nie, to niemożliwe, gdzie tam.

A może...

Ale jak go tam wnieśli?

Nie ma mowy, to bzdura.

I wtedy przypomniał sobie o dużej dostawie, która według zdobytych informacji miała nadejść z zagranicy. Czterdzieści kilogramów heroiny. A przecież trochę dalej Salamandra mówi o dużym towarze. Czy można schować czterdzieści kilo gówna w takim dywanie? Czemu nie? – jest duży, bardzo duży.

Ale jak on się znalazł w domu wuja?

To niemożliwe.

Choć w gruncie rzeczy to i owszem, możliwe. Kiedy chodzi o prochy, wszystko jest możliwe.

Zdjął słuchawki i sięgnął po telefon. Trzeba pogadać z Tozzim.

## 13.

Nemo stał na palcach na pojemniku na śmiecie i zaglądał do środka. Matowa szyba, a więc trafił na łazienkę. Okno było uchylone na kilka centymetrów. Ktoś pewnie je otworzył wczoraj, kiedy dom był pełen ludzi. Ha! Pójdzie łatwiej, niż się spodziewał. Mówił Frytce, że to będzie dziecinna robota, ale nie, ten fiut nie chciał tego zrobić. Usłyszał, co się stało, przeczytał o tym w gazecie i się spietrał. Powiedział, że nie pójdzie do tego domu. Czego on się, cholera, bał? Duchów?

Nemo pchnął okno, otwierając je na oścież, następnie podciągnął się na rękach na parapet, przerzucił jedną nogę, potem drugą i wskoczył do środka, cicho i sprawnie, ocierając się jedynie stopą o umywalkę. Niechętnie to robił, w końcu nie był zwykłym pionkiem, ale nie miał wielkiego wyboru. Ale co tam, chuj im w dupę, i tak nikogo tu nie ma. Wszystko pójdzie jak po maśle. Weźmie tylko dywan i wypierdala. Gliniarza nie było. Widział, jak wychodził. Frytka chociaż na to się przydał, to był jego pomysł. Zadzwoił na posterunek i doniósł o włamaniu w sąsiedztwie, po czym czekał pięć minut i zatelefonował jeszcze raz, informując o następnym, tuż za rogiem. Nemo przysłuchiwał się temu na policyjnym skanerze w swoim samochodzie, tak jak poinstruował go Frytka. Słyszał wszystko. Stało się dokładnie tak, jak przewidział czarnuch. Dyżurny wysłał radiowóz do pierwszego włamania, a potem, ponieważ nie było w pobliżu innych samochodów, ściągnął faceta pilnującego domu i posłał go do drugiego zgłoszenia. Pięknie. Teraz Nemo miał mnóstwo czasu i mógł spokojnie zabrać dywan. Bez gorączki.



Urwał z rolki trochę papieru toaletowego, wytarł nos i wrzucił zmiętą kulkę do kibla. Potarł ramiona i zadrżał. Było zajebicie zimno i nie mógł się w żaden sposób rozgrzać. Nienawidził tego uczucia. To była najgorsza rzecz na świecie. Dobrze wiedział, że zaraz będzie miał gęsią skórkę, i nie mógł przestać o tym myśleć. Zaczynał wariować, bo nie miał pojęcia, gdzie i kiedy dostanie następną porcję, i trząsał się na samą myśl o bólu. Co za jebana psychiczna tortura. Był bez grosza, nie miał nawet na jedną działkę. W każdej innej sytuacji gryzłby już ściany, ale tym razem weźmie się w garść. Jak tylko dostanie w ręce dywan, zrobi małą dziurkę i poczęstuje się odrobiną. Weźmie tylko trochę, na jeden raz i może jeszcze na powtórkę. Jeśli Salamandra spyta, kto podkrada towar, powie, że nie ma pojęcia. Zwali to na kogoś. Powie, że to Frytka albo ktoś inny. Salamandra nie wie, i się nie dowie, że on od czasu do czasu sięga po proszek. W końcu jest się teraz w rodzinie. A członkom rodziny nie wolno łykać tego gówna. Ale on nie bierze nałogowo. Po prostu lubi to, bo go rozgrzewa w środku. W każdej chwili może przestać, jeśli nie będzie miał ochoty. Na razie jednak ma, i tyle.

Udarł jeszcze raz kawałek papieru, wytarł nim zakatarzony nos i wrzucił zwitek do sedesu. Podeszedł do drzwi, wyjrzał do przedpokoju i nadstawił ucha. Nikogo nie ma. Tak jak myślał. Wyszedł na palcach z łazienki i ruszył w kierunku hallu. Żadnego mitrżenia czasu. Złapać dywan i wynocha, zanim wróci gliniarz.

Po kilku krokach spostrzegł go w pokoju na lewo. Czerwony skurwysyn w wariacki wzór. Jest. Nemo poczuł się lepiej.

Już miał tam wejść, gdy zerknął na pokój po drugiej stronie i o mało nie popuścił w spodnie. Jakaś ciotka, odwrócona do niego plecami, pochylona nad stołem, ładowała papierowe tacki i kubki do wielkiej zielonej torby na śmiecie. Dżinsy i zielony sweter, długie czarne włosy przetykane siwizną, ścierka do naczyń przerzucona przez ramię. Jezusie!

Nemo stał osłupiały, spoglądając to na nią, to na dywan. Znowu zrobiło mu się zimno, dostał dreszczy. Jezu Chryste! Chciało mu się wyć z głodu, towar leżał w zasięgu ręki, a tu ta baba. Zaraz też pewnie wróci gliniarz.

Nie zauważyła go. Stała odwrócona plecami, nie widziała jego twarzy. A tam leży ten dywan, tylko sięgnąć...

A co tam, kurwa mać...

Patrzył na nią przez chwilę, po czym rozejrzał się za czymś, czego mógłby użyć. W końcu przedpokoju, z tyłu, stał telefon. Nemo widział długi spiralny sznur wiszący w cieniu. Podkraśli się tam i bezszelestnie odłączył biały kabel od aparatu i od gniazdka. Był bardzo długi. To dobrze, doskonale.

Ruszył z powrotem. Zerknął na dywan, po czym wszedł na palcach do drugiego pokoju. Sznur miał owinięty wokół dłoni. Kiedy stanął za jej plecami, uświadomił sobie, że jest bardzo wysoka. No to co? Nie ma problemu, musi tylko wziąć większy zamach. Kiedy był już gotowy, podskoczył, zarzucił jej kabel na szyję, owinął błyskawicznie i z całej siły pociągnął do tyłu.

Targnęła się gwałtownie, jakby miała zamiar wyrzygać, ale gdy tylko zacisnął sznur pod jej podbródkiem, przestała się ciskać, tak samo jak pies po nałożeniu kolczatki. Cacy. Chwyciła się za gardło, próbując włożyć palce pod sznur, ale nie miała szans, Nemo ciągnął z całej siły. Ostre szarpnięcie do tyłu, kolanem w udo i już leżała ślicznie na boku. O to chodzi! Leżeć, suko! Uśmiechnął się, zadowolony, że idzie mu tak łatwo. Robił to już wcześniej wiele razy, i to facetom, którzy byli znacznie silniejsi niż ona.

Trzymając mocno oba końce kabla jedną ręką, drugą zerwał jej z ramienia ścierkę, owinął wokół jej twarzy, zatykając jej usta. Pchnął kobietę na brzuch i usiadł jej na plecach, po czym zawiązał ścierkę z tyłu głowy, w płątanie czarnych włosów. Dobrze, że sznur jest taki długi i rozciągliwy. Udało mu się wykręcić jej ręce do tyłu i związać je, nie popuszczając pętli na szyi. Leżysz tu jak baleron, lala.

Ale jak tylko puścił kabel, uświadomił sobie, że popełnił błąd. Zdołała przekręcić się na plecy i patrzyła teraz na niego szeroko rozwartymi, przerażonymi oczami, jak dobijany koń. Niech to cholera, zobaczyła jego twarz. O w dupę! No to teraz, kurwo, musisz iść do piachu. Zerknął na drzwi wejściowe i przypomniał sobie o gliniarzu. On pewnie zaraz wróci, trzeba się śpieszyć.

Wstał, chwycił ją za sweter i pociągnął do kuchni. Po drewnianej klepce w przedpokoju jechała jak po lodzie, ale na linoleum w kuchni nieźle się z nią namęczył. Co za kurwa jebana, co ona tu w ogóle robi? Głupia dziwa.

A miało pójść łatwo. Teraz musi ją załatwić, kurwa mać.

Jednym rękawem wytarł mokry nos, a drugim spoconą twarz. Zajebicie zimno. Szczękał zębami. Pomyślał o leżącym w pokoju dywanie, o ukrytym w nim proszku. Zaraz będzie mu ciepłutko i miło, tylko musi z nią skończyć. Poczuje się tak, jakby miał w środku nagrзany piecyk. Musi jej tylko ukręcić łeb, potem złapie dywan i wypierdala stąd.

Rozejrzał się po kuchni w poszukiwaniu noża. Potrzebował kosa, żeby podciąć tej kurwie gardło. Nagle spostrzegł coś, co przyciągnęło jego uwagę. Za wielką srebrną puszką kawy, otwartą torebką cukru i okrągłym niebieskim pudełkiem soli z dziewczynką pod parasolką na etykiecie, stała wielka plastikowa butelka wybielacza clorox. Przypomniał sobie matkę. Uwielbiała wybielacze, używała ich do wszystkiego. Popatrzył jeszcze raz na butelkę, potem na dziwkę, na jej twarz, w jej wielkie ślepia. Nie musi jej przecież zabijać. Tak nawet będzie lepiej. A co tam, zrobi to na cześć mamusi.

Sięgnął po wybielacz i po pudełko z solą.

Kurwa wrzeszczała pod kneblem, wierzgając nogami, próbując się uwolnić. Wiedziała, co ją czeka.

Nemo nachylił się nad nią, chwycił ją za włosy i przekręcił o sto osiemdziesiąt stopni. Stał nad jej twarzą w rozkroku. Pociągnął nosem i wytarł gil rękawem.

– Dobra, otwórz szeroko oczy, dziwo. Raz, dwa i po bólu.

Zaczął lać, powoli.

Zacisnęła mocno powieki. Skrzywiła się, próbując odwrócić głowę, kiedy ciecz polała jej twarz. Ustawił nogi ciasno po obu stronach jej głowy, trzymając ją jak w imadle. Nie mogła nią poruszyć.

Sypnął garść soli, po czym znów polał wybielaczem. Za chwilę zacznie ją palić jak skurwysyn. Wypali powieki, oczy zrobią się białe i zamglone. Jebana kurwa będzie ślepa jak kret. Czy może pani zidentyfikować napastnika? Przepraszam, Wysoki Sądzie, ale nic nie widzę. Jestem ślepa jak skurwysyn.

Sypnął więcej soli, rozdygotany i uśmiechnięty. No, uspokój się, lala. Otwórz oczy, będziesz to miała szybciej za sobą. Polał.

Szarpała się i kopała, piszczała, ale na próżno, bo nikt jej nie słyszał.

No, dalej, głupia kurwo, przecież to nie ma sensu. I tak to zrobię.

– Lorraine?

Nemo znieruchomiał i spojrzął w stronę hallu. Poczuł, że serce skoczyło mu do gardła. Kurwa mać!

– Lorraine, gdzie jesteś? – Tozzi, przechylony przez poręcz, stał w połowie schodów prowadzących na piętro i zaglądał do salonu. – Lorraine? Gibbons dzwonił z biura. Nie słyszałaś telefonu? Chce, żebym sprawdził...

Przerwał i zszedł na dół. Zerknął na dywan widoczny w otwartych drzwiach i wszedł do drugiego pokoju, w którym podczas stypy był bufet. Przecież przed chwilą tu była, robiła porządek. Gdzie się, do cholery, podziała? Aha, może jest w kuchni. Odwrócił się i...

– Ej!

Zobaczył jakiś ruch – być może ręki – i coś trafiło go w twarz. Oczy zaczęły go piec jak cholera. Ktoś czymś w niego rzucił. Tarł oczy palcami, ale musiał mocno zacisnąć powieki, tak bardzo bolało. Trochę tego czegoś spadło mu na wargi i teraz poczuł smak. Co to, sól?

Instynktownie sięgnął po pistolet, ale przecież go nie miał. Ivers go zabrał.

Wyciągnął rękę, żeby się przytrzymać ściany, próbując w myśli odtworzyć układ pomieszczeń na parterze.

Jeśli ten skurwiel podejdzie bliżej, to go rozpieprzy, założy mu nelsona, złamie kark albo zrobi coś innego w tym rodzaju.

Macał ścianę, przypominając sobie różne techniki obronne aikido. Gdzieś tu powinna być łazienka. Jeśli uda mu się do niej dotrzeć, oplucze sobie oczy. Ale gdy tylko zrobił krok, poczuł, że coś owija mu się wokół szyi. Domyślił się, co się dzieje, jeszcze zanim naprawdę to się stało. Błyskawicznie wsunął dwa palce pod zaciskający się sznur, czy co to tam było. Cienki i chropowaty szpagat z kłębka leżącego w kuchni. Pod wpływem silnego szarpnięcia zrobił kilka kroków do tyłu, wygięty aż do bólu. Skurwiel usiłował go udusić.

– Głupi chuju, po co tu przylazłeś – wysapał napastnik, ciągnąc z całej siły.

Trzymając palce pod sznurkiem i usiłując poluznić ucisk na tchawicę, Tozzi wyraźnie słyszał, jak tamten natęża się i sapie. Nie namyślając się wiele, opadł na kolana i usiadł w pozycji *seiza*. Skupił się w swoim centrum \* i gwałtownym ruchem pochylił się do przodu. Poczuł, jak skurwiel przelatuje mu nad głową, i usłyszał głuchy łomot padającego ciała. Zerwał szpagat z szyi, złapał ustami powietrze i kaszlnął.

\* Inaczej: hara – znajdujący się pod pępkiem punkt, uważany za miejsce gromadzenia się energii ki – przyp. red.

Wstał, mrugając powiekami. Próbował przejrzeć. Oczy wciąż go paliły, ale dostrzegał teraz zarysy przedmiotów. Zarysy, ale nic więcej. Nie widział niczego, co wyglądałoby na napastnika. Albo facet stoi nieruchomo tuż przed nim, albo czai się z tyłu. Wyrzucił ręce do przodu i czekał.

– Gdzie jesteś? No chodź! – Mrugał oczami, modląc się do Boga o wzrok. Nagle przypomniał sobie o Lorraine. O cholera. – Lorraine!

Odwrócił się błyskawicznie. W tym momencie skurwiel skoczył na niego z tyłu i próbował wsunąć mu ręce pod pachy, żeby założyć podwójnego nelsona.

Nic z tego, skurwysynu.

Tozzi przycisnęła łokcie do ciała, zamykając w ten sposób ręce napastnika w uścisku, zrobił obrót i przerzucił go przez biodro. Skurwiel zdołał jednak chwycić połą jego marynarki i pociągnął go za sobą. Tozzi upadł na bok na ten pieprzony dywan. Na policzku poczuł dotyk strzyżonej wełny. Facet skoczył na niego, ale Tozzi zdołał się pozbierać i uniósł się na kolana. Tamten zaatakował z przodu. Zaczęły się zapasy. Tozzi próbował przygwoździć faceta do podłogi, złapać go za gardło albo huknąć kolaniem w krocze czy w brzuch, zrobić cokolwiek, żeby tylko tamten zwolnił tempo. Skurwiel był mały, ale niezwykle silny. Tozzi czuł jego ręce. W końcu przewrócił go, ale tamten uwolnił się z uścisku i zaatakował chwytem za ramiona.

– Jesteś aresztowany, skurwysynu. FBI.

– Pierdol się.

Tozzi nie bardzo się zmartwił tą odpowiedzią. I tak nie wierzył, że jego słowa odniosą skutek.

Chwycił go palcami za policzek i zdołał po raz drugi przerzucić przez siebie, tak że tamten huknął łbem o podłogę. Rozległ się głuchy łoskot i dzikie „Au!” Skurwiel szybko się pozbierał i pchnął Tozziego nogą w pierś. Tozzi uniósł się na kolana i wyciągnął ręce w kierunku otaczającej go mgły.

Gdzie on, kurwa, jest?

Uaaam!

Złapał się za głowę i zgiął w pół. Wstrzymał oddech czekając, aż ból dotrze do mózgu. Nie trwało to długo. Wyobraził sobie tył swojej głowy jako pękającą w zwolnionym tempie szybę samochodową. Wił się na kolanach. Kiedy wyciągnął rękę, natrafił na kawałki rozbitego szkła. To były szczątki tej białej lampy ze złotymi wykończeniami, z abażurem ze rżniętego szkła. Tej, która stała na kredensie. Marie miała na nią ogromną ochotę. Kurwa mać. No to już ją ma. Czy uwierzy, jak jej powie, co się z nią stało?

– Tu skurwysynu – jęknął przez zaciśnięte zęby. Pod wpływem przemożnego bólu oczy zaszyły mu łzami i dzięki temu przejrzał trochę. Usłyszał, że drzwi wejściowe otwierają się, i zobaczył wlewające się do środka uliczne światło i umykającą sylwetkę.

– Stój!

Ale skurwiel nie posłuchał. A dlaczego niby miałyby to zrobić?

Jeśli miałbym mój pistolet, tobyś posłuchał.

Tozzi podniósł się i ruszył za nim, ale w głowie mu się kręciło i nogi miał jak z waty. Stanął w drzwiach, wyężając wzrok. Skurwiel dawał dyla. Tozzi krzyknął ponownie, żeby się zatrzymał. Nie dlatego, że miał nadzieję, iż tamten posłucha, ale dlatego, że czuł, iż powinien coś zrobić, a w tej chwili tylko na tyle było *go* stać. Może ktoś usłyszy i zatrzyma faceta. Zamroczony, wyszedł na mróz i złapał się żelaznej poręczy schodów. Oparł się na niej całym ciałem i zaczął schodzić, ale potknął się i omal nie upadł. Chwycił się kurczowo poręczy, bo nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

Cholera, facet przysnął. Niech to cholera.

Czując łupanie w czaszce, wrócił po schodach i wtoczył się z powrotem do środka. Widział teraz lepiej, bo łyzy ciekły mu ciurkiem. Dowłókł się do łazienki, wsadził głowę pod kran i spłukał twarz wodą. Poczuł powiew zimnego powietrza – okno było otwarte. Pewnie tędy wlaźł ten skurwiel. Pewnie zachowywał się cicho i Lorraine go nie usłyszała.

Lorraine!

Wypadł z łazienki, nie zakręciwszy kranu.

– Lorraine!

W drzwiach do kuchni zobaczył jej nogi.. Rzucił się ku niej. Leżała na plecach, z rękami związanymi do tyłu, ze ścierką zaciśniętą na ustach. Ścierka była mokra, twarz też. Lorraine mrużyła oczy. Nagle Tozzi zauważył stojącą na podłodze obok niej butelkę z wybielaczem.

Jezu Chryste!

Upadł na kolana i zsunął jej ścierkę na szyję, po czym zerwał się na nogi, chwycił z kuchenki czajniczek, napełnił go wodą i polał jej twarz. Metalowa przykrywka upadła na podłogę i potoczyła się pod lodówkę. Rzucił się znowu w kierunku kranu.

– Michael, przestań. – Kaszlnęła i obróciła twarz na bok. – Rozwiąż mnie.

Cisnął czajnik do zlewu i podbiegł do niej. Uwolnił jej ręce.

– Lorraine, twoje oczy! Widzisz coś? Szybko, do szpitala!

Odkasznęła i pokręciła głową.

– Nie, nie, nic mi nie jest.

– Ale... ale... Jak to?

Oboje patrzyli na butelkę z wybielaczem.

– To dzięki wujowi.

– Co?

Wzięła butelkę uwolnionymi dłońmi i podsunęła ją sobie pod nos.

– Masz, powąchaj. – Wyciągnęła rękę. Tozzi powąchał, skrzywił się i cofnął z odrazą.

– Pamiętasz to okropne białe wino, które wuj robił w wannie?

Tozzi skinął głową, znów mając łzy w oczach.

– Wlewał je do butelek po wybielaczu. – Wydawała się bardziej wstrząśnięta osobliwym zwyczajem wujka niż napadem.

– Kto to był? Widziałaś go?

Lorraine podniosła się z podłogi i skinęła głową.

– Niski, śniady i brzydki. Wyglądał jak Rumpelstiltskin \*. – Odkręciła kran, nabrała wody w dłoń i umyła twarz.

\* Kaleki karzeł rodem z folkloru niemieckiego – przyp. tłum.

Tozzi trącił butelkę nogą..

– Ja nic nie widziałem. Sypnął mi czymś w oczy. – Potarł potylicę

i wtedy dostrzegł w drzwiach do salonu przewrócone pudełko soli. Leżało na dywanie.

Dywan.

Nagle przypomniał sobie, w jakiej sprawie dzwonił Gibbons. Myślał wtedy, że mu odbiło, ale teraz... Otworzył szufladę szafki, wyjął nóż do krojenia mięsa i wszedł do salonu.

Zawinął róg dywanu, wbił ostrze w bawełnianą osnowę i zrobił nacięcie pod kątem prostym. Odciągnąwszy płótno, ujrzał pod spodem warstwę sklejoną ze sobą paczuszek z szarego plastiku. Próbował wbić nóż w jedną z nich, ale plastik był zdumiewająco gruby. Musiał pchnąć mocniej. Kiedy w końcu mu się udało, wyciągnął nóż i zobaczył na jego ostrzu ślady białego proszku.

Lorraine stanęła nad nim.

– Co to jest?

– Zgadnij. – Dotknął ostrza koniuszkiem języka i posmakował. Reakcja była niemal natychmiastowa. To było lepsze niż nowokaina. – Heroina – powiedział. – Według mnie czyściutka. Właśnie dlatego dzwonił Gibbons. Miał przecucie co do tego dywanu, dobre przecucie.

– I co teraz zamierzasz?

– Zadzwonię oczywiście do biura i oddam im to.

– Nie wiem, Michael, czy to dobry pomysł. Przecież jesteś podejrzewany o morderstwo. Jak to będzie wyglądało, kiedy pojawisz się z narkotykami?

Zamyślił się. Miała rację. To go jeszcze dodatkowo obciąży, przynajmniej w oczach McCleery'ego i Augustine'a.

– Może rzeczywiście powinienem na razie to przytrzymać. Jestem przecież zawieszony, nie pracuję jako agent, a poza tym może mi się to przydać. Jako karta przetargowa.

– Ale czy możesz tak zrobić?

Spojrzał na nią.

– A kto się dowie? Chyba że ty na mnie doniesiesz.

– Oczywiście, że nie, ale trzymanie czegoś takiego jest bardzo ryzykowne. Pomyśl o tym, co się tu stało. Nie sądzisz, że ten facet przyszedł tu po ten dywan?

– Najprawdopodobniej. Bez wątplenia to jeden z ludzi Salamandry.



– Jeśli to zatrzymasz, znowu po to przyjdą. Zabiją cię, aby tylko to dostać.

– Nie, jeśli to dobrze schowam.

– Nie, Michael, to zbyt niebezpieczne. Powinieneś jednak to oddać. Będę świadczyła, powiem o tym mężczyźnie, który się włamał. Uwierzą mi.

– Posłuchaj, Lorraine, nie masz o tych sprawach zielonego pojęcia. Zielonego.

– Ale, Michael...

– Zaufaj mi, wiem, co robię.

*To nieprawda, ale ona nie musi o tym wiedzieć.*

Wstał i sprzątnął z dywanu kawałki szkła z abażuru.

– Potrzebuję jakiejś taśmy, żeby zalepić tę dziurę. W którejś szufladzie w kuchni jest chyba przyklejone. Czy mogłabyś go przynieść?

Lorraine przyniosła taśmę i Tozzi zalepił nacięcia, a następnie wygładził dywan, żeby go zwinąć.

W tej samej chwili wszedł policjant, który miał strzec piętra.

– Dlaczego drzwi są otwarte? – spytał ostro.

– Wietrzmy trochę – odparła Lorraine bez zastanowienia. – Chyba wolno?

– Nie wolno.

Wzruszyła ramionami.

– No to niech pan je zamknie.

– Gdzie pan był? – spytał Tozzi.

– Ktoś doniósł o włamaniu za rogiem. Falszywy alarm. – Zatrzasnął drzwi, zamknął je na zasuwkę i poszedł na górę.

Tozzi i Lorraine wrócili do kuchni.

– Nie podoba mi się to – szepnęła.

– Proszę cię, Lorraine. Naprawdę wiem, co robię. Zapomnij o tym dywanie.

– Co zamierzasz?

– Pogadam z Gibbonsem. Zobaczymy, co on o tym myśli. Ale nie przez telefon.

Chwyliła jego dłonie i spojrzała mu prosto w twarz.

– Michael, chciałam cię o coś prosić.

– O co?

– Nie mów Gibbonsowi, co tu się stało. O tym, że ten mężczyzna mnie napadł, że chciał mnie oślepić.

Wzruszył ramionami.

– Jeśli nie chcesz.

– Proszę cię, nic mu nie mów. Proszę. On się wścieknie.

Skinął głową.

– Chyba masz rację. – Podniósł z podłogi plastikową butelkę i wsta-  
wił ją do zlewu. Na starym zielonym linoleum została kałuża wina. Spoj-  
rzał w kierunku przedpokoju, na dywan widoczny w otwartych drzwiach  
salonu. Zastanawiał się, jak on się tu znalazł.

Potań potylicę w miejscu, gdzie dostał lampę.

*I gdzie ja to, cholera, schowam?*

## 14.

**P**rzepraszam, to potrwa tylko chwilę – powiedział Ivers.

Gibbons skinął głową i usiadł po drugiej stronie biurka. Nie chciał tu być. Zaczął bujać kolanem, obserwując sekretarkę Iversa, wystraszoną myszkę z wiecznie kapiącym z rzęs tuszem. Stała z szacunkiem przy swoim szefie i zastępcy dyrektora, składającym podpisy na listach, które właśnie wniosła.

Różowa karteczka z informacją od Tozziego wypalała mu dziurę w kieszeni. Tozzi zadzwonił do biura, kiedy go akurat nie było i zostawił wiadomość. „Miałeś rację”, tylko tyle. To oznaczało, że sprawdził dywan i znalazł w nim towar. Ale co z nim zrobił? Gibbons miał właśnie wyjść na lunch i zatelefonować do niego z miasta, gdy w drzwiach zatrzymała go sekretarka Iversa i powiedziała, że jej szef chce się pilnie z nim widzieć. Zastanawiał się teraz, czy Ivers coś wie o dywanie. Ten gliwarz pilnujący piętra pewnie widział, jak Tozzi przy nim majstrował. Może doniósł o tym McCleery'emu, McCleery Augustine'owi, a Augustine Wersowi. To możliwe. Czy to, że Tozzi znalazł narkotyki, oznacza dla niego jeszcze większe kłopoty? Czy Ivers zamierza udawać głupa i czekać, aż Gibbons sam zacznie gadać, a potem nagle wypali, że o wszystkim wie? Trzeba uważać.

Ivers oddał listy sekretarce, która natychmiast ruszyła do drzwi, nie podnosząc nawet oczu. Złączył dłonie na biurku i spojrzął na Gibbonsa znad okularów. Zaczekał, aż myszka zamknie za sobą drzwi.

– Chciałem ci coś powiedzieć. Dlatego cię tu wezwałem.

Gibbons najeżył się na ten ciepły ton. Wyczuwał jakiś podstęp.

– Chcę, żebyś wiedział, że w głębi duszy wierzę, że Tozzi jest niewinny. To właśnie chciałem ci powiedzieć.

Zmrużył oczy. Kogo on buja? Co on knuje? Kiedy znany dupek nie zachowuje się jak dupek, to coś wisi w powietrzu.

– Co masz taką zdziwioną minę?

– Nie, no... Po spotkaniu u Augustine'a wydawało mi się, że...

– Co ci się wydawało? Że jestem zdecydowany powiesić Tozziego?

Gibbons bujał nogą. Nagle przestał i założył jedną na drugą.

– O Jezusie, zawiesiłeś go, nie?

– Nie miałem wyboru. Jest objęty śledztwem w sprawie morderstwa.

Takie są reguły.

– I nie myślisz, że to on zabił?

Ivers zdjął okulary i pokręcił głową.

– Nie miał motyw.

*Nie? A co byś powiedział na dywan pełen heroiny? Wystarczy na motyw?*

– A cytował w gazecie? – spytał Gibbons. – Przecież powiedział, że uważa, iż wszyscy oskarżeni w procesie Figara powinni dostać po kulce. Czy według śledczych to nie wskazuje na zamiar?

– A pokaż mi gliniarza albo federalnego, który lubi mafijnych adwokatów i prawników. Ja też ich nienawidzę. To żaden motyw.

Gibbons był coraz bardziej podejrzliwy. Ivers nigdy jeszcze nie zachowywał się tak rozsądnie, przynajmniej jeśli chodziło o Tozziego.

– Jeśli uważasz, że Tozzi jest niewinny, to dlaczego nie staniesz po jego stronie, nie zainterweniujesz?

– Próbowałem, ale prokuratura związała mi ręce. Nawet nie chcę o tym ze mną rozmawiać. Mówią, że biuro musi być z tego wyłączone, ponieważ Tozzi jest agentem specjalnym. – Ivers wyglądał na mocno zafraśowanego. Gibbons chciał mu wierzyć, ale uskarżanie się nie leżało w naturze tego dupka.

Popatrzył w okno znajdujące się za plecami Iwersa. Rozciągał się z niego widok na Federal Plaza i Foley Square.

– Ale dlaczego robią wokół tego tak dużo szumu? Przecież jest rzeczą pewną, że to mafia uciszyła Giordana. Nikt tak naprawdę nie wierzy, że zrobił to Tozzi.

Ivers zdjął okulary.

– To już nie w tym rzecz. Pozostali adwokaci obrony wrzeszczą o morderstwie, wrzeszczą, że oni i ich klienci są w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Chcą unieważnienia procesu i mają na to duże szanse, chyba że szybko zostanie złapany jakiś podejrzany. Niestety, na razie tylko Tozzi jest pod ręką.

– Innymi słowy, prokuratura jest gotowa rzucić Tozziego na pożarcie, żeby uratować proces?

Ivers spojrział na niego ponuro. Jego mina była bardzo wymowna.

– Co się, cholera, dzieje? Prokuratura od samego początku rzuciła się na Figara jak wściekły pies.

– To nie cała prokuratura, to Augustine.

– Augustine?

Ivers skinął głową.

– To Augustine cały czas dążył do procesu, kiedy wszyscy inni radzili, żeby jeszcze trochę poczekać. Ci z DEA dosłownie błagali go na kolana, żeby zaczekał, aż położą łapę na dużym ładunku heroiny, który miał nadejść. Czterdzieści kilo. To by przypieczerowało całą sprawę, ale Augustine nie chciał czekać. Gadał jakieś bzdety o dużym prawdopodobieństwie ucieczki oskarżonych za granicę, jeśli będziemy zwlekać. Wówczas brzmiało to sensownie, ale z perspektywy czasu widać, że to było partactwo. A teraz chce połknąć Tozziego, dąży do tego po cichu, uparcie, jak to on. Kiedyś świetnie się z nim pracowało, ale od jakiegoś roku to...

Ivers obrócił się na krześle i wyjrzał przez okno. Gibbons poszedł wzrokiem za jego spojrzeniem. Po drugiej stronie Federal Plaza widać było schowane za siedzibą sądu federalnego szare, prążkowane, betonowe ściany wyższych pięter budynku, w którym mieściło się biuro prokuratora. Być może, Augustine siedzi teraz za biurkiem i patrzy w ich stronę. Gibbonsowi ciągle brzmiały w uszach słowa Tozziego. Powiedział on podczas stypy, że nie zdziwiłby się, gdyby Augustine chciał go zrobić, żeby zyskać rozgłos przed wyborami na burmistrza. Powiedział to pół żartem, pół serio. Ale przypuśćmy, że oskarżą Tozziego o morderstwo i próbę manipulacji tocącym się procesem i oddadzą sprawę do sądu federalnego. Augustine będzie wtedy mógł sam to poprowadzić. Na tle zwycięstwa w procesie Figara wypadnie jak bohater. Ludzie w tym mieście srają po nogach ze strachu przez mafią. Byłby to nie tyle stopień do kariery, co wręcz ruchome schody,

którymi gładko by wjechał do gabinetu burmistrza. Czemu nie?

Ivers znowu obrócił się na krzesło i założył okulary.

– Wezwałem cię tu w jeszcze jednej sprawie. – Wziął do ręki plik spiętych papierów i czytał je przez chwilę. – Dziś rano dostałem faks z naszego rzymskiego biura. Emilio Zucchetti wsiadł wczoraj wieczorem do samolotu lecącego do Nowego Jorku.

– Chyba nie leci tu w celach turystycznych. – Gibbons wyobraził sobie starego zasuszonego Sycylijczyka w szortach w palemki, z tanimi okularami przeciwsłonecznymi zatkniętymi na orlim nosie i w słomianym kapeluszu ze znaczkiem „I LOVE N.Y.”

– Przypuszczamy, że przylatuje do Salamandry. Na szczęście jego samolot startował z opóźnieniem. Na lotnisku był z nim jeden z jego synów. Nasi ludzie zdołali podsłuchać trochę z ich rozmowy. – Ivers przerzucił kartki. – Z wypowiedzi syna wynika jasno, że Sycylijczycy nie są zadowoleni z tego, co się dzieje w Nowym Jorku. Chodzi oczywiście o proces. Zucchetti powiedział, że zaufał „Americani”, którego Salamandra mu przywiózł, ale że ten go zawiódł. Dwa razy powtórzył, że oni wszyscy go zawiedli. Syn odrzekł, że to bardzo źle, iż sprawy zaszły tak daleko, że sam capo di capi musi osobiście je wyprostowywać. Powiedział coś parę razy o „nostro patrono”, o ich świętym patronie. Agent inwigilacji dołączył notatkę informującą, że to określenie nie było wypowiedziane z szacunkiem, raczej sarkastycznie i z rozgoryczeniem.

Gibbons podskoczył na krzesło.

– Właśnie dzisiaj przesłuchiwałem taśmę z podsłuchu, na której Salamandra też coś mówi o świętym. Ale nie bardzo wiem, o co chodzi.

– Hmm. – Ivers cmoknął ustami i przekręcił kartkę. – Zaraz po tym syn dodał: „Nigdy nie ufaj prawnikom, papa”. – Podniósł wzrok. – Czy w takim razie ów święty patron to prawnik? Może mówią o Martym Bloomie?

Gibbons pokręcił głową.

– Wątpię.

– Potem jest chwila ciszy i słowa starego: „Najlepszy prawnik to taki, który nie mówi”. – Ivers spojrział na Gibbonsa. – To wszystko, co udało im się podsłuchać. Poszli na kawę i nasi nie zdążyli się wystarczająco szybko rozlokować. Rozumiesz coś z tego?

Gibbons znów założył nogę na nogę i, chwyciwszy dłonią stopę, zaparzył się za okno. *Nigdy nie ufaj prawnikowi, papa... Najlepszy prawnik to prawnik, który nie mówi... Nasz święty patron... Zawiedziony...*

Skupił spojrzenie na wyższych piętrach budynku prokuratury i zastanawiał się nad podejrzeniami Tozziego wobec Augustine'a. Czy to podejrzenia, czy instynkt?

– Pytałem, czy coś z tego rozumiesz?

Zasnuował usta i wypuścił powietrze przez nos.

– Nie jestem jeszcze pewien. – Wstał i ruszył do drzwi jak lunatyk, ze wzrokiem wbitym w okna Augustine'a po drugiej stronie placu. W ręce, którą trzymał w kieszeni, miał różową kartkę. „Miałeś rację”.

– Dokąd idziesz? – spytał Ivers.

– Muszę coś sprawdzić. Pogadamy jeszcze o tym. – Wyszedł, zostawiając za sobą nie zamknięte drzwi.

W małym pokoju cuchnęło papierosami. Jedyłą żywą barwą widoczną wśród bieli, szarości i czerni była zieleń liter na ekranie komputera. Gibbons stał w drzwiach i patrzył na siedzącego przy klawiaturze Moscovitza. Obcisła koszula z trudnością opinała jego kałdun. Mrużąc jedno ślepie z powodu unoszącego się dymu, z petem przyklejonym do spiczastego ryja, szczur dziubał w klawisze. Fosforyzujący odbłask zabarwiał jego żółtawy pysk na zielono.

Gibbons wyjął legitymację i pukając w otwarte drzwi wyciągnął w jego kierunku rękę z dokumentem.

– Panie Moscovitz?

– Spierdalaj.

Gibbons wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ej, Moscovitz.

– Powiedziałem, żebyś spierdalał. Jestem zajęty. – Szczur podniósł głos, ale nie głowę.

– Ja też. – Gibbons czekał na odpowiedź, ale jej nie otrzymał.

No dobra, jak chcesz.

Wszedł do pokoju i kopnął metalową płytę leżącą przy biurku. Rozległ się przeraźliwy łomot: szczur podskoczył na krześle. Gibbons uśmiechnął się jak krokodyl.

– Co ty, kurwa, wyrabiasz? – Moscovitz był zirytowany.

Gibbons przystawił mu odznakę pod sam ryj. Paciorkowate ślepie popatrzyły na nią zezem. Zdumiewające: nie były różowe.

– No? Czego chcesz? – Szczur obrócił się na krześle twarzą do intruza, włożył do ust nowego papierosa i przypalił go od poprzedniego.

Gibbons zauważył na jego ramieniu pas od kabury. Spod pachy wystawała mu kolba pistoletu. Czarne matowe wykończenie – bez wątpienia pod kolor ubrania. No, no, twardziel z tego gościa. Omal się nie roześmiał. Wścibski dziennikarz noszący broń przeciw złym facetom. Wolne żarty. Kto marnowałby kulę na takiego gównojada?

– No czego? Gadaj. – Z długiego szczurzego nosa wyleciał dym.

– Chcę porozmawiać.

– Tak, a o czym?

– Na początek o sprawie Figara.

Szczur zachichotał i wyciągnął rękę.

– Niech no jeszcze raz spojrzę na tę legitkę.

Gibbons mu nie ufał, ale wyjął legitymację. Nie był pewien, czy w tych okolicznościach ma prawo odmówić. Taki upierdliwiec jak Moscovitz pewnie zna przepisy i może człowiekowi napytać biedy, jeśli nie dostanie tego, czego chce. Taki z niego fiut.

Szczur znowu popatrzył zezem na legitymację, wciąż chichocząc.

– Zwykły fedzio? Zwykły krawężnik? To ja nie muszę z tobą gadać.

Gibbons najchętniej wkopałby mu zęby do gardła, ale ponieważ chciał coś od niego wydobyć, dał sobie na wstrzymanie i tylko się uśmiechnął. Uroczo.

– No, oczywiście jeśli nie chcesz, to nie musisz ze mną gadać.

– Masz, cholera, rację. Jak nie chcę, to nie muszę. – Szczur podniósł na ułamek sekundy ścierpnięty zadek i poprawił się na krześle. Jego kręgosłup wyglądał jak wzięty prosto z koszmaru ortopedy. – Posłuchaj no, koleś. Nie lubię rozmów z takimi jak ty. Ja mam swoje dojścia, mam kontakty. Mogę w każdej chwili mieć na linii twojego szefa, jak mi się zamarzy. Jak on się nazywa? Ivers? Brad Ivers?

– No to już, zadzwoń do niego. Powiedz ode mnie Bradowi cześć.



- Gibbons wyobrażał sobie, jak tłucze tego fiuta kolbą własnego pistoletu.
- Mam kontakty z ludźmi z aparatu ścigania, którzy siedzą tak wysoko, że nigdy o nich nie słyszałeś. Znacznie wyżej niż ty. – Papierosowy smog zawisł nad wstrętnym łbem Moscovitza. Szczur wyglądał teraz jak miniaturowe Los Angeles.
  - Tak? A z kim? Kogo znasz? Czytuję twoje sprawozdania z procesu Figara. Nie powiem, żebym był pod wrażeniem. To wszystko to okruchy, resztki. Widocznie z tej strony Foley Square nie masz żadnych dobrych wejść.
  - *Au contraire*, platusie. Tak się składa, że jestem w bardzo bliskich stosunkach z Tomem Augustine'em.
  - Z zastępcą prokuratora? Zalewasz.
- Szczur podrapał się w chudą, zapadniętą klatkę piersiową.
- Powiem ci coś. Kiedy Augustine chce puścić jakiś przeciek do prasy, przychodzi do mnie. Kiedy ma coś do powiedzenia, ja mam na to wyłączność. Jesteśmy w dobrej komitywie.
  - Zalewasz.
  - Ej, facet, czy ty myślisz, że ja się przed tobą chwale? Tak właśnie jest i mam to gdzieś, co ty o tym sądzisz. Kiedy na procesie ma gruchnąć jakaś bomba, mój człowiek, Tom Augustine, najpierw donosi o tym mnie.
  - Chcesz powiedzieć, że uprzedza cię zawczasu? Zalewasz. – Gibbons miał przyklejony do twarzy uśmiech niedowiarka.
  - Zalewam? To przypatrz mi się w sądzie. Nie zobaczysz mnie wśród innych pismaków, obskakujących Augustine'a, zasypujących go pytaniami. Trzymam się z daleka od tych wszarzy. Widziałeś, gdzie ja siedzę? Na samym przodzie, tuż przy ławach prokuratorskich. Na miejscu zarezerwowanym przez mojego kumpla Toma. Pozwala mi tam siadać, żebym mógł się przysłuchiwać. Dyskretnie, bo taki mam styl.
- Tak, ty jesteś bardzo dyskretny. Jak Wizygoci.*
- Gibbons próbował sobie przypomnieć, gdzie Moscovitz siaduje na sali. Nie pamiętał, więc nie wiedział, ile z tych pierdoł naprawdę było pierdołami.
- Augustine czasem nawet koryguje moje teksty, zanim je oddam do druku. – Przez szczurzy ryj przemknął zarozumiały uśmiech.

– A po co to robi? – Gibbons wcisnął ręce do kieszeni płaszcza.

*Poprawia ci ortografię?*

– Słuchaj, facet, ty może nie wiesz, ale w przyszłym roku on startuje na burmistrza. Chce się po prostu upewnić, że jest przedstawiany we właściwym świetle.

– I to cię nie męczy? Że on to czyta, zanim ty to puścisz? No wiesz, etyka zawodowa i takie tam bzdety?

– Pierdolę etykę. Ten facet będzie burmistrzem. Chcę, żeby o mnie pamiętał, kiedy wyląduje w ratuszu. – Szczur wydmuchnął obłok dymu w wiszący nad nim smog.

– Sprytny jesteś, Moscowitz, trzeba ci to przyznać. Ale Augustine chyba ma teraz ciężki okres, nie? Figaro ugrzązł w tych wszystkich wnioskach o unieważnienie. Odkąd stuknęli Giordana, w sądzie nic się nie dzieje. Nudy na pudy. Pewnie teraz nie musi ci sprawdzać tekstów?

Szczur pokręcił głową.

– Jeśli coś dotyczy jego, to on zawsze chce zobaczyć to najpierw. Nieważne, co to jest.

– Nie, teraz to już pieprzysz.

– Mówię ci, czytał każdy artykuł, który napisałem w związku z Figarem. Jak tekst ma mój komentarz, to jest to zawsze najprawdziwsza prawda, bo pochodzi prosto z najlepiej poinformowanego źródła. Mówiłem ci, że ja i Augustine jesteśmy jak bracia.

Gibbons nadal udawał niedowiarka.

– Czytał przed wydrukowaniem k a ż d y twój artykuł o Figarze?

– Każdziuteńki.

Gibbons patrzył na komputer. „Każdziuteńki”. To znaczy również i ten, który zawierał cytat obciążający Tozziego. A jeśli Augustine go czytał, to dlaczego nie ukreślił tej sprawie łba?

Szczur wycelował w Gibbonsa z papierosa.

– Grywasz na zakładach? Jeśli tak, to postaw wszystkie pieniądze na Augustine'a. Będzie burmistrzem, możesz mi wierzyć.

– Co ty, poważnie? Nie trzeba być geniuszem, żeby to wiedzieć. Wiadomo, jak się to rozłoży, Moscowitz. To żadna nowina. Czarni i Latynosi podzielą liberalne głosy między Washingtona i Ortegę, a Augustine zejdzie odrobinę w prawo i w ten sposób zgarnie głosy wszystkich białych. Ma odpowiedni image i z pewnością kupę szmalu na kampanię. Fotel burmistrza

jest w zasięgu jego ręki, jeśli tylko zdecyduje się startować.

Szczur poprawił się w krześle i nachylił nad biurkiem.

– Dobra, posłuchaj, facet, bo teraz mówi Moscovitz.

Gibbonsowi o mało żołądek się nie wywrócił.

– No mów, słucham.

– To flirtowanie Augustine'a z partiami to zabawa, część jego strategii. Będzie startował, to pewne. Nie chce tylko na razie się opowiadać po żadnej stronie, nie chce za wcześnie wystawiać łba. Chce, żeby to wyborcy jego chcieli.

Gibbons wzruszył ramionami.

– To żadna nowina.

– Poczekaj. Masz rację z tym imagem. Augustine to miejski krzyżowiec, Wielki Porządkowy, niezłomny stróż prawa walczący ze zbrodnią wielkiego miasta, kandydat białych. Ale jeśli chodzi o pieniądze, to się mylisz.

– Jak to? Augustine to forsa z dziada pradziada. Jego stary jest nadszany.

– Był. W osiemdziesiątym siódmym splukał się na giełdzie. Niemal do szczytu.

– Tak, pewnie. Zaraz mi powiesz, że Augustine jest na zasiłku.

– Niezupełnie. Stary pewnie zachomikował trochę grosza, ale dynastia kończy się na nim. Nie będzie żadnej wielkiej wypłaty dla Toma, kiedy senior wyciągnie kopyta.

– Dobra, ale on ma pracę, nie? Pewnie inwestuje własny szmal, nie jest przecież biedny.

– A ile według ciebie zarabia zastępca prokuratora? Wcale nie tak dużo. A już na pewno nie tyle, żeby sobie samemu fundnąć dużą kampanię wyborczą. Został prawie bez grosza, kiedy staremu powinęła się noga w interesach. Dlatego przegrał z Rodriguezem w prawyborach do Kongresu. Zabrakło kasy na telewizyjne wystąpienia. Jak myślisz, po co w ogóle poszedł na państwową posadę? Nie potrzebował pieniędzy, kiedy zaczął robić w prokuraturze. Wtedy jeszcze stary miał fortunę. Augustine potrzebował prestiżu, światła jupiterów, zaistnienia w świadomości publicznej. Tatusz właśnie wtedy sprzedał rodzinny interes i wszyscy myśleli, że zrobi kilka ostrożnych inwestycji, jak zwykle. Ale chyba nie był wystarczająco ostrożny. No i kto by pomyślał? W każdym razie urząd burmistrza to teraz

jedyne miejsce, gdzie taki ambitny jak Augustine, pnący się w górę facet może iść, ponieważ jego szef wyraźnie dał mu do zrozumienia, że nie ustąpi mu miejsca. Tak więc Augustine albo zdobędzie fotel, albo stopniowo będzie musiał obniżyć swój życiowy standard.

– Nie widać, żeby mu czegoś brakowało. Nic takiego nie zauważyłem.

Szczur pochylił się jeszcze bardziej, już prawie leżał rozplaszczony na blacie.

– Pewnie, ma dom rodzinny tu, w Nowym Jorku i jest członkiem wszystkich liczących się klubów towarzyskich, ale założę się, że jego konto bankowe nie jest imponujące. Jest taki jak cała reszta, jak ci wszyscy potomkowie starych jankeskich rodzin z tradycjami, którzy siedzą w jadalniach na antycznych krzesłach, ale jeśli nie ma gości, to na obiady jedzą zupy Campbella z puszek.

– Zalewasz.

– Facet, nie zalewam. Wiem, bo go sprawdziłem.

Gibbons skłonny był mu wierzyć. Jeśli zatem Augustine'owi brak gotówki, a jest zdecydowany startować w wyborach, to potrzebuje darmowej reklamy w procesie Figara. Tak, ale to nie ma sensu. Po co wrabiałby Tozziego? Jak oskarży agenta federalnego, to unieważnienie procesu jest jak w banku – zmowa funkcjonariuszy państwowych i tak dalej – i już po darmowej reklamie. Chyba że chodzi o jeszcze coś innego. Chyba że Augustine dostanie forszę za schrzanie Figara. Może Tozzi dał mu swoim gadaniem doskonałą do tego sposobność. Oskarży go, dzięki czemu będzie w mediach, i jeszcze dostanie szmal za uwalenie procesu. To możliwe.

– Wiesz co, Moscovitz, ty jesteś chodzącą encyklopedią.

– Facet, miasto to mój teren. Jeśli coś się tu dzieje, to ja o tym wiem.

Gibbons skinął głową. Co za dupek.

– No, dobra, o czym to chciałeś gadać, fedziu?

– Nieważne. – Gibbons wyszczerzył zęby.

*Powiedziałeś mi już więcej, niż się spodziewałem, szczurku.*

Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się i popatrzył na dziennikarza.

– Na co się tak gapisz?

– Na to cacko pod pachą.

Moscowitz podniósł łokieć i spojrzął jak kurczak pod skrzydełko.

- Na to?
- Tak, co to jest?
- Ejże, myślałem, że fedzie znają się na broni. To beretta, 25 ACP.
- Aha – Gibbons skinął głową – a ja myślałem, że to taka fikuśna zapalniczka. – Uśmiechnął się znowu jak krokodyl i podszedł do drzwi. – Uważaj na siebie, Moscovitz.
- Pierdol się, dupku.

## 15.

Tozzi przystanął i popatrzył na wzór nagrobku przed sobą. Była to gładka, wypolerowana do połysku płyta granitowa, u góry nie obrobiona i ponacinana. W jednym z rogów wyrzeźbiony był smutny aniołek dzierżący krzyż. Tozzi patrzył na miejsce, gdzie miało być wyryte nazwisko umarłego.

– Gib, a co sądzisz o tym?

Gibbons wzruszył ramionami i pochuchał w dłonie, żeby je rozgrzać.

– Nie mam zdania. – Było mroźno i do tego jeszcze zerwał się wiatr.

– Gdzie on jest? – spytał Tozzi szeptem, ze wzrokiem utkwionym w nagrobek.

– Wszedł do starego.

Tozzi powiódł wzrokiem po żwirowej ścieżce, wzdłuż której ustawione były wzory płyt nagrobkowych, by spojrzeć niepostrzeżenie w kierunku małego, pokrytego gontem domku, gdzie kamieniarz miał swoje biuro. W oknie widniała twarz McCleery'ego; obserwował ich.

Gibbons zatarł dłonie.

– Od rana za tobą łązi?

– A jak? Nawet się nie kryje. Ciągle jest w pobliżu, macha do mnie i uśmiecha się od czasu do czasu. Nie wiem, co on chce zobaczyć, skoro ja wiem, że mnie pilnuje.

– Zawsze mówiłem, że ma kurzy mózdzek.

– Aha, słuchaj. Zanim schowałem dywan, zważyłem go. To musi być ta czterdziestokilogramowa dostawa, o której słyszeliśmy.

– Domyśliłem się. – Gibbons ssał górną wargę, patrząc na cmentarz znajdujący się po drugiej stronie metalowego ogrodzenia. Między grobami widniały płaty porowatego śniegu, częściowo stopniałego i znów zamrożonego. Z nosa Gibbonsa ulatywały kłęby pary, niknące w mroźnym powietrzu. Wyglądał jak ten Indianin w telewizyjnej reklamie, patrzący na piękną krainę, którą zniszczył biały człowiek.

– Wciąż siedzi u kamieniarza? – Gibbons nie odwracał wzroku od cmentarza.

– Tak, nie rusza się stamtąd. Za zimno tu dla niego. No więc co myślisz? Czy Augustine jest trefny? – Pierwszy raz od napadu w domu wuja mieli okazję, żeby porozmawiać.

Gibbons odetchnął głęboko. Para uniosła się nad jego głowę i zniknęła w powietrzu.

– Niechętnie to przyznaję, ale chyba miałeś rację co do Toma Augustine'a. Pamiętasz, co ci mówiłem o „świętym patronie prawników”? To może być on.

– Naprawdę? – Tozziemu serce zabiło szybciej. Nie mógł uwierzyć, że Gibbons to powiedział. Myślał, że on lubi Augustine'a. – Naprawdę myślisz, że jest trefny?

– Nie wiem, czy jest, nie jestem pewien.

– Ale jeśli Sycylijczycy nazywają go świętym patronem, to co to może oznaczać?

– Nie wiem, nie wiem nawet, czy to o niego chodzi. Może próbowali go przekupić, ale nie wziął. A może wziął, ale nic w zamian nie zrobił. A może to w ogóle nie o niego chodzi. Na razie to tylko domysły.

– Ciarki mi chodzą po plecach od tych domysłów. Mówiłeś o tym komuś?

Gibbons pokręcił głową. Tozzi widział po jego minie, że czuje się nieswojo z myślą o podwójnej grze Augustine'a i że zastanawia się, co robić. On wiedział, co by najchętniej zrobił. Wróciłby do samochodu, pojechał na Manhattan, złapał tego gnoja Augustine'a za klapy, przycisnął do ściany, wepchnął mu łufę 357 do gęby i dał pięć sekund na spowiedź. Ale wiedział też, co Gibbons o tym myśli.

– Mamy przeciw niemu jakieś dowody, z którymi moglibyśmy pójść do Iversa? – spytał.

Gibbons pokręcił głową.

– Nie.

– Więc nie możemy otwarcie zaatakować Augustine'a?

– Nie.

Cholera.

Tozzi popatrzył spode łba na aniołka.

– No to co robimy? Powiemy Iwersowi i zobaczymy, co postanowi? – Pomimo chłodu miał mokre plecy. – Jeśli to zrobimy, to Ivers będzie wyczekiwał, bo nie ma nic na Augustine'a.

A to oznacza, że tak naprawdę nic nie robi i sytuacja pozostanie taka, jaka jest.

*A ja już mam dość tej sytuacji.*

Gibbons jęknął. Wciąż patrzył na chmury zbierające się nad cmentarzem. Tozzi widział, że się zastanawia. Nie lubił, jak Gibbons się zastanawia. Kiedy za dużo myślał, sprawy szły zawsze zbyt wolno.

Usłyszał za plecami chrzęst zwiru. Odwrócił się i zobaczył podążającego ku nim McCleery'ego, z rękami w kieszeniach, z tym wkurzającym uśmiechem samozadowolenia na twarzy. Gibbons obnażył zęby jak pies. Z nosa buchała mu para.

– Czy zdecydowałeś się już na nagrobek dla ukochanego wuja, Tozzi?

– Jeszcze nie.

– Dam ci jedną radę. Wiem, że są drogie jak diabli, ale nie oszczędzaj na tym. Kup wujkowi dobry nagrobek, bo inaczej będziesz tego żałował do końca swych dni. Krewni będą cię obgadywać za plecami, powiedzą, że go nie kochałeś.

– Zgadza się, nie kochałem. Szczerze mówiąc, rozglądam się za czymś używanym. Wuj Pete nie miałby nic przeciwko temu.

McCleery wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. – Obrócił się ku Gibbonsowi. – Wygląda na to, że zmarześ, Cuthbert.

– A ty wyglądasz na dupka. Ja przynajmniej mogę się ogrzać, a ty?

– Celna riposta, jak zawsze. Twoja ukochana żona na pewno nigdy się przy tobie nie nudzi.



Gibbons nie odpowiedział.

– A propos Lorraine – ciągnął McCleery. – Tak się składa, że wiem, iż była tu dwa dni temu. Wybrała dla wujka bardzo ładny nagrobek. Chyba ten, ten z aniołkiem. Prawie osiemset dolarów, ale według mnie dokonała właściwego wyboru. Tak jak mówiłem, kupisz, Tozzi, jakiś kruszący się głaz i będziesz miał wyrzuty sumienia do końca życia. Ale czegoś tu nie rozumiem. Skoro Lorraine zakupiła tę oto płytę, to co wy dwaj tu robicie? Chyba nie spotykacie się potajemnie, co? Naprawdę sądziliście, że nabierzecie starego Jimmy'ego McCleery'ego udając, że wybraliście się po sprawunki?

Tozzi spojrział na niego spode łba. Z całego serca pragnął, żeby znalazł się tu jakiś otwarty grób, do którego McCleery mógłby wpaść i złamać nogę.

– Ten facet od nagrobków ma zbyt długi jęzor.

Starzec stał w oknie i obserwował ich. McCleery pomachał do niego.

– Pan Dunbar jest bardzo uprzejmy. Doskonale się rozumiemy.

Gibbons znów pochuchał w dłonie.

– Cieszę się. Przynajmniej jedna osoba cię lubi.

– No cóż, mam nadzieję, że ty masz wielu przyjaciół, Cuthbert, bo jak już mówiłem, Lorraine będzie potrzebować pomocy, kiedy jej mężuś runie z wysokiego konia razem z kuzynem.

Tozzi zamknął oczy. *Pierdol się, McCleery.*

Gibbons parsknął śmiechem.

– Jezu, ty wciąż snujesz te fantastyczne brednie? Już sam Tozzi jako zabójca to wierutna bzdura, a ty myślisz, że ktoś uwierzy, iż my dwaj jesteśmy współnikami? Może tobie te teorie wydają się wspaniałe, ale bez dowodów to po prostu majaki wariata.

– Całkowicie się z tobą zgadzam w tej kwestii. – McCleery uśmiechnął się, jakby miał czekoladę na języku.

– A co, masz przeciw nam dowody? – Gibbons roześmiał się.

McCleery uśmiechnął się i skinął głową.

– Wczoraj przysłałi z policji ekspertyzę balistyczną. Bardzo interesująca. Kule, które znaleźli w sypialni, pochodzą z dwóch różnych pistoletów, ale Bloom, Santiago i Cooney zostali zabici z jednego i tego samego. Tylko Giordano zginął od kuli z drugiego. I strzelano z niego tylko dwa razy – jedno trafienie i jedno pudło.

– I cóż z tego wnosisz, Holmesie?

– To są dziewięćmilimetrowe naboje, jest więc wielce prawdopodobne, że użyto dużych pistoletów automatycznych z pojemnymi magazynkami. Jest to standardowa broń zamachowców. To dało mi do myślenia. Dlaczego jeden z zabójców strzelał o wiele lepiej od drugiego? Mafia, jak zakładam, wynajęłaby do takiej roboty tylko najlepszych fachmanów. Dlaczego wysłali zawodowca i jakiegoś zezulca? I wtedy coś innego przyszło mi do głowy. Początkowo nie chciało mi się w to wierzyć, więc trochę powęszyłem z nadzieją, że okaże się, iż nie mam racji. Ale, niestety, stało się inaczej. – McCleery sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął złożone kartki. – To są kopie waszych wyników na strzelnicy podczas ostatnich trzech treningów. Twoja zręczność w używaniu dziewiątki budzi podziw, Tozzi. Natomiast twoja, Cuthbert, pozostawia wiele do życzenia. Spójrz tylko, twoje wyniki w strzelaniu z rewolweru są znacznie lepsze od tych z użyciem automatu.

Tozzi zerknął na Gibbonsa. To była prawda. Gibbons o wiele lepiej radził sobie z bębenkowcem.

– Pamiętam z okresu naszej krótkiej współpracy, że nad standardową broń przedkładałeś jakiegoś swojego starego kolta 38. Pamiętam, że bardzo lubiłeś to cacko. I uskarżałeś się, że nie cierpisz automatycznej broni, że nie możesz się przyzwyczaić do odrzutu, do tego dziwnego odskoku, jaki następuje po wystrzeleniu.

Gibbons wypuścił z nosa kłęb pary.

– Przejdź do sedna, McCleery.

– Hm, na razie nic nie jest jeszcze pewne, dotychczas to tylko domysły. Eksperci napisali, że jeden zabójca był wytrawnym strzelcem, napalonym, chętnym do roboty, z kolei drugi najwyraźniej się ociągał – może wydawał polecenia pierwszemu – i wykazał jedynie pięćdziesięcioprocen-towa celność. Można by powiedzieć, że ta charakterystyka jak ulał pasuje do was dwóch.

Tozziemu flaki się wywróciły. *Wspaniale.*

Gibbons wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tym razem przeszedłeś sam siebie, Holmesie. To chyba zapewni ci miejsce w Galerii Sławnych Dupków. Wiesz co, każdy może brać ekspertyzy i przypadkowe dane i dopasowywać je na siłę do swojej hipotezy, ale to jeszcze nie czyni faktów. Każdy dobry gliniarz o tym wie. A co, jeśli

wcale nie było ich dwóch? A jeśli był tylko jeden, trzymający dwa pistolety, po jednym w każdej dłoni? Oczywiście jest, że wtedy z jednego strzelałby lepiej niż z drugiego, chyba że władałby z jednakową wprawą obiema rękami, co zdarza się dość rzadko.

– Daj spokój, Cuthbert, nie jesteśmy na Dzikim Zachodzie. Łotr w czarnym kapeluszu z koltami w rękach, co? Wróćmy do rzeczywistości.

– Widzisz, to właśnie miałem na myśli. Wpadłeś w największą pułapkę, jaka grozi stróżowi prawa. Wmówiłeś sobie, że tak właśnie się to odbyło, jak sobie wymyśliłeś, i teraz wszystkie dowody i poszlaki będziesz na siłę wpasowywał w ten scenariusz. Ale jak na razie udowodniłeś ponad wszelką wątpliwość tylko to, że jesteś jebanym kretynek.

– Uspokój się, Cuthbert, uważaj na ciśnienie. Powiedziałem chyba, że to na razie domysły, a nie wyznanie wiary. Rozważam to tylko. Zawodowiec nigdy nie odrzuca żadnej ewentualności.

*Zwłaszcza jeśli może nas ona zaprowadzić na szafot.*

Tozzi miał mokro pod pachami.

– No, robi się zimno. – McCleery uśmiechnął się radośnie. – Wracam do pana Dunbara. Obiecał, że nastawi wodę. Wy dwaj możecie dokończyć tego kopania w grobach. Chciałem jedynie powiedzieć wam o swoich podejrzeniach, na wypadek gdybyście planowali jakieś śmiałe posunięcia. Muszę was trzymać na wodzy. – Odwrócił się i odszedł zwirową ścieżką. Po chwili zniknął w drzwiach domku kamieniarza.

Mroźny wiatr zabujał konarami wysokiej sosny, wznoszącej się nad rzędami płyt nagrobkowych. Niebo miało barwę ołowiu. Tozzi spojrzął na Gibbonsa, który miał wzrok utkwiony w dom. Bolał go brzuch i czuł się tak, jakby po kostki tkwił w betonie, unieruchomiony w jednym miejscu, podczas gdy dokoła przetaczają się olbrzymie głazy. Chciał coś zrobić, żeby sobie pomóc, ale nie wiedział co. Miał kilka nie sprecyzowanych pomysłów, lecz ich realizacja wymagałaby naruszenia prawa, a na to Gibbons się nie zgodzi. On potrafi pyskować, ale kiedy przychodzi co do czego, to mięknie, wyłazi z niego służbista. Najwyższy czas, żeby coś wymyślić i zacząć działać na własną rękę, ale Gibbons chyba na to nie pójdzie.

– No i co? – spytał wreszcie.

Gibbons strzelił oczami w jego kierunku. Miał groźne, wściekłe spojrzenie.

- Myślę, że McCleery wymknął nam się z rąk.
- Cała sytuacja wymknęła nam się z rąk.
- Masz rację.
- No to co robimy?

Gibbons popatrzył na małego aniołka.

– Chyba czas już coś wykombinować i zacząć działać, dowiedzieć się, kto co wie. – Spojrzał Tozziemu w oczy.

- Naprawdę?
- Naprawdę. Masz jakiś pomysł? Zwykle coś tam ci się roi we łbie.

Tozzi potarł policzek i zerknął na niego, nadal jeszcze nie bardzo wierząc.

- Tak, mam.

## 16.

Tozzi słyszał zgiełk dochodzący z pietra. Zerknął w górę krętych schodów, ale nikogo nie zobaczył. Dostrzegł tylko obrazy olejne, zawieszane na ścianie nad schodami. Przedstawiały wymuskanych radców miejskich w upudrowanych perukach i bystrookie wdowy w czepkach i długich sukniach. Bez wątplenia były to portrety przodków Augustine'a. Z brzęku szkła i wesołych głosów wnosił, że prokurator ma gości.

Służąca – jakaś wschodnioeuropejska niedźwiedzica z klatką piersiową jak lodołamacz – poleciła mu, żeby zaczekał na dole. Próbowwała go nawet zbyć, ale Tozzi powtórzył kilka razy, że to pilne, więc ustąpiła. Powiedziała, że poinformuje pana Augustine'a o jego przyjeździe, ale wątpi, żeby zechciał opuścić gości. Z wyrazem niezadowolenia na obliczu ruszyła na górę.

Tozzi uśmiechnął się za jej plecami. Zechce, zechce. Bardziej niż ona może sobie wyobrazić.

Założył ręce na piersi i rozejrzał się. Pociemniała poręcz przy schodach wykonana była z drzewa wiśni. Ze środka sufitu, ozdobionego stiukowym medalionem, zwieszał się duży mosiężny żyrandol. Jedyнным meblem w korytarzu była ciemna drewniana szafka z mosiężnymi wykończeniami. Tozzi nie miał najmniejszego pojęcia o antykach, ale czuł, że to nie jest podróba. Wyjrzał przez zdobiącą frontowe drzwi małą szkrynkę ze szkła ołowiowego. Przed domem stały dwie czarne limuzyny. Wschodnia Sześćdziesiąta Szósta, tuż przy Piątej Alei. Bajer-frajer.

Usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się błyskawicznie i ujrzał parę wiśniowych skórzanych butów, stąpających po pokrytych wykładziną schodach. Były niemal tego samego kolor co poręcz.

– Mike, jak się masz. Co się stało?

Schodząc z ostatniego stopnia, Augustine wyciągnął rękę. Miał na sobie granatowy garnitur i krawat w kolorze bordo. Jego biała koszula była tak wykrochmalona, że Tozzi wyprostował się odruchowo. Klasyczny ubiór polityka. Czytał kiedyś artykuł o specjalistach od image'u polityków. Istnieje wśród nich przekonanie, że jeśli klient chce wypaść jako szczerzy, troskliwy, pełen poświęcenia obywatel, powinien nosić granatowe garnitury, śnieżnobiałe koszule i jednolite krawaty w zgaszonych kolorach. I oto efekt: Augustine – chodząca prawdomówność, troskliwość i oddanie. No to zobaczymy.

Tozzi uściśnął mu dłoń.

– Przepraszam, że tak wpadam bez uprzedzenia, panie Augustine...

– Mów mi Tom, jak zawsze. – Prokurator posłał mu ciepły uśmiech. Jego oczy wyrażały bezgraniczną szczerłość. Żadnej urazy po utarczce na stypie.

Tozzi skinął głową.

– Przepraszam, że tak wpadam, Tom, ale jest chyba ważna sprawa. Przyszła mi do głowy pewna hipoteza na temat morderstw w domu mego wuja. Właściwie to chyba więcej niż hipoteza.

– Tak?

– Ee... może moglibyśmy pójść w bardziej zaciszne miejsce?

– Oczywiście, chodźmy do mego gabinetu.

Augustine ruszył po schodach na górę. Kiedy znaleźli się na piętrze, Tozzi popatrzył w przelocie na gości. Podwójne drzwi do salonu były otwarte. Był to duży pokój. Znajdowało się w nim przynajmniej tuzin osób w strojach wieczorowych; wszyscy rozmawiali i śmiali się, stojąc w małych grupkach. Cycata niedźwiedzica krążyła wśród nich ze srebrną tacą z przystawkami. O ile Tozzi zdążył zauważyć, z wyjątkiem mej i jeszcze jednej kobiety byli tam sami Murzyni.

– Mamy małe przyjęcie – wyjaśnił Augustine.

Tozzi rozpoznał parę twarzy. Facet ze zgromadzenia stanowego z Brooklynu, znany pastor z Harlemu, były radny.

– Namawiają mnie, żebym przyjmował u siebie niektórych wpływowych

ludzi. Partia mnie namawia. Chcą, żebym wystartował w przyszłym roku w wyborach na burmistrza. Mimo że mówię im, iż nie mam chęci. – Zniżył głos i pochylił się ku Tozziemu. – To miasto nie wybierze na burmistrza białego, i tak – szczerze mówiąc – to dobrze. Burmistrz powinien reprezentować swoich wyborców, nie sądzisz? Niemniej, bez względu na to, czy będę startował czy nie, ciągle mi mówią, że takie przyjęcia przynoszą partii korzyści. No więc... – Rozłożył ręce i wzruszył ramionami na znak, że to nie od niego zależy.

Tak, jasne. Ten skurwiel włazi w dupę każdemu, kto może mu pomóc w wyborach. Tozzi zerknął przez ramię w kierunku salonu: pastor gapił się przez bryle na wybór przystawek na tacy. Tozzi zastanawiał się, jak często czarni są gośćmi w tym domu. Sądząc po minie służącej, nieczęsto.

Augustine zaprowadził go na tył domu, do ciemnego, zacisznego pokoju, pełnego półek z książkami. Wcisnął kontakt w ścianie, zapalając stojącą na biurku mosiężną lampę. Biurko, kolejny antyk, stało pod kątem do pokrytej zielonym aksamitem kanapy. Było tak samo drobnomieszczańskie jak owi radcy na obrazach, a kanapa tak odstręczająca jak te matrony z portretów. Tozzi wyobrażał sobie, że gabinet Augustine'a będzie utrzymany w beżu i błękitach, ozdobiony cynowymi dodatkami: coś w rodzaju muzealnej sypialni pod tytułem „Tu spał Jerzy Waszyngton”. Nie spodziewał się, że będzie wyglądał jak gabinet psychiatry.

– Siadaj, Mike. – Augustine wskazał mu kanapę, a sam usiadł za okazałym biurkiem.

Tozzi skrzywił się, patrząc na niską kanapę i niechętnie usiadł na jej brzegu, opierając łokcie na kolanach. Augustine zawsze dbał o to, by mieć lepszą pozycję. Siedział odchylony na obrotowym krześle, zerkając z góry na swego gościa.

Dotykając wskazującym palcem skroni, rzekł:

- No to opowiedz mi o swojej hipotezie.
- Być może pomyślisz, że wzięłem to wszystko z sufitu, ale najpierw mnie wysłuchaj, dobra?

Augustine uśmiechnął się zachęcająco i skinął głową.

- Słucham.
- Przeanalizowałem środki bezpieczeństwa, jakie zastosowaliśmy w domu wuja. Choć wszystko było robione w pośpiechu, to jednak zostało dobrze pomyślane. Miejsce było nowe, nigdy przedtem nie używane.

Augustine znowu skinął głową.

– No i...?

– Według mnie oznacza to, że albo ktoś mający informację z pierwszej ręki dał Salamandrze cynk o tym, gdzie trzymamy Giordana, albo – i to jest według mnie bardziej prawdopodobne – ktoś z naszych sam wykonał robotę dla Salamandry. – Tozzi czekał na oznaki zaskoczenia, ale się nie doczekał.

– Mhm... Mów dalej.

– I teraz tak: były tylko dwa biura, które znały dokładny adres kryjówki Giordana – moje i twoje.

– Znał go też Marty Bloom.

– Tak, ale Marty Bloom został zabity, chyba więc nie możemy go podejrzewać. – Tozzi parsknął śmiechem.

Augustine też się zaśmiał.

– U nas, oprócz Branta Iversa, o domu wuja wiedziało zaledwie kilku funkcjonariuszy. Właściwie tylko sześciu agentów, którzy byli odpowiedzialni za ochronę. Jak było u ciebie, nie wiem.

Augustine wykrzywił twarz.

– Chcesz powiedzieć, że Giordana, Blooma i dwóch agentów zabił albo ktoś z FBI, albo z prokuratury? Dlaczego?

– Dla pieniędzy, to chyba jasne? Salamandra pewnie zamachał komuś przed oczami plikiem zielonych.

Augustine zmarszczył brwi.

– Nie, nie, nie o to mi chodzi. Rozumiem, dlaczego Salamandra chciałby zabić Giordana, ale dlaczego miałby kazać mordować też Blooma i dwóch agentów?

– Widzisz, zaczynam podejrzewać, że zabicie Marty'ego Blooma było równie ważne co zabicie Giordana. Być może ważniejsze. Uciszyć Giordana oznaczało po prostu nie pozwolić mu na złożenie zeznań, natomiast zabicie Blooma dawało dużą szansę na to, że sędzia unieważni proces i cała sprawa trafi do kosza.

– Ale po co ten ktoś zabił agentów?

Tozzi wzruszył ramionami.

– Bo tam byli.

– To strasznie okrutne jak na kogoś, kto prawdopodobnie nigdy przedtem nie zabił. Oczywiście, jeśli przyjmujemy twoje założenie, że



zabójca – czy zabójcy – są funkcjonariuszami państwowymi, którzy nigdy nie byli karani.

– Zgadza się, to bardzo okrutne. – Tozzi zamilkł i spojrział Augustine'owi prosto w oczy.

*Dlaczego zakładasz, że morderca był debiutantem? Ja tego nie powiedziałem.*

Patrzył mu w twarz. Miała kamienny wyraz, ale odniósł wrażenie, że prokurator trochę się najeżył.

*Trzeba cisnąć dalej.*

– I teraz ja wkraczam na scenę. Myślę, że zabójca postarał się o to, żeby wszystko wskazywało na mnie. Nie wiem, może zapłacił temu Moscowitzowi, żeby zacytował moje słowa. Przecież nie powiedziałem nic nowego. Wydaje mi się, że to zostało na siłę dolepione do artykułu, ale nie jestem tego pewien, nie jestem dziennikarzem. Myślę jednak, że zabójca chciał mnie mieć jako swoją polisę ubezpieczeniową. Jeśli morderstwo Marty'ego Blooma nie wystarczyłoby do unieważnienia procesu, to na pewno wystarczyłoby do tego oskarzenie agenta federalnego o morderstwo. Przecież adwokaci obrony bez przerwy gadają o zмовie funkcjonariuszy. Jeśli zostaną oskarżony, sędzia Morgenroth nie będzie miał wyboru, co?

Augustine chwycił się dłonią za podbródek i uniósł brew.

– Rzeczywiście na to wygląda. Musiałbym sprawdzić sądowe precedensy, żeby być stuprocentowo pewnym.

*Daję głowę, że już to zrobięś.*

– No i właśnie chciałem ci o tym wszystkim powiedzieć, zanim pójde do Iversa. Chcę wiedzieć, co o tym myślisz, Tom. Przyznaję, że ostatnio trochę z tobą zadarłem, ale w gruncie rzeczy jesteś w porządku i obaj mamy ten sam cel, nie? – Tozzi wpił się wzrokiem w jego twarz.

– Oczywiście. – Oczy prokuratora były pełne ciepła i zrozumienia, ale wydawało się to trochę wymuszone.

– No i co o tym myślisz?

– No cóż... – Augustine wyprostował się. – Myślę, że stawiasz tu bardzo poważny zarzut i że – zanim zrobisz jakikolwiek kolejny ruch – powinieneś wziąć pod uwagę konsekwencje.

*Ojcowskie rady, prosto od serca. No to uważaj.*

– Zdaję sobie sprawę, że to nie zabawa, ale za każdym razem, kiedy pomyślę o Salamandrze i jego ludziach, o tym, że się zerwą z haczyka – a

do tego właśnie dojdzie, gdy nastąpi unieważnienie procesu, bo dadzą dyla do Brazylii albo innego kraju, gdzie nikt ich nie znajdzie – za każdym razem robi mi się niedobrze. Wiesz, o czym mówię, nie? Nie chodzi tylko o mnie, martwię się też o proces. Ci faceci są bardziej winni niż sam diabeł. Powinni zgnić w pudle. Zwłaszcza Salamandra. A gdy dojdzie do unieważnienia... – Tozzi zasznurował usta i pokręcił głową. – Wiesz, Tom, nie jestem religijnym człowiekiem, ale kiedy myślę o tej sprawie, to mam chęć iść do kościoła i modlić się o cud, o sądowy cud. Poważnie. Omal nie zadzwoniłem do jednej z moich ciotek i nie spytałem, czy jest jakiś święty, który jest patronem prawników i do którego mógłbym się pomodlić.

Tozzi wbił wzrok w Augustine'a. Prokurator miał kamienną twarz.

– Jesteś teraz w ciężkiej sytuacji, Mike. Ludzie, którzy są pod takim ciśnieniem, zwykle postępują nierozważnie. Nie chciałbym, żebyś musiał ponosić konsekwencje czegoś, co zrobiłeś pod wpływem chwili.

– Chcesz powiedzieć, że bredzę? Że mi odbiło?

– Nie wiem. A odbiło ci? – Oczy Augustine'a płonęły w obojętnej twarzy.

Tozzi wzruszył ramionami.

– Tak po prawdzie to sam się czasem zastanawiam.

Zapadło milczenie. Patrzyli na siebie w bladym świetle lampy.

Z tej części domu, w której odbyło się przyjęcie, dobiegał cichy śmiech.

– Masz jakieś hobby, Mike? Coś, co pozwoliłoby ci na chwilę zapomnieć o tej sprawie. Jakiś relaksujący sport. Może łódka, wędkarstwo?

*Żebyś mnie wyrzucił za burtę?*

– Nienawidzę łowienia ryb. To nudne jak flaki z olejem. Moją pasją jest aikido. Pamiętasz?

– Ach tak, rzeczywiście, rozmawialiśmy o tym. No więc zajmij się czymś dla zabicia czasu. Przez samodzielne węszenie wokół tej sprawy napytasz sobie jeszcze więcej biedy. Jestem tego niemal pewien.

– Tak myślisz? – Tozzi spuścił oczy i skinął głową. – Może i masz rację. Może powinienem trzymać się od tego z daleka i pozwolić, żeby sprawiedliwości stało się zadość bez mojego udziału. Skoro jestem niewinny, to jestem niewinny, nie? McCleery i policja to wykażą, nie?

– Oczywiście.

Znów śmiech, tym razem bardzo głośny. Tozzi zerknął na drzwi.

– To musiał być dobry dowcip.

Augustine nie odpowiedział.

– Tak, masz rację, Tom. Powiniennem zatrzymać moje pokrętne hipotezy dla siebie. Przecież w końcu mam co robić. Dom wuja wciąż wygląda jak chlew, mógłbym napełnić tym gównem ze trzy śmieciarki.

Augustine patrzył na niego. Zimne oczy w bryle lodu.

– Tak, lepiej pilnować własnego nosa i nie pogarszać sprawy. Powiniennem doprowadzić dom wuja do porządku, żeby go można było sprzedać. Tym muszę się zająć, niczym innym...

Tozzi spojrział na swoje buty i skinął głową, zawieszając głos. Nagle podniósł oczy i uderzył się w czoło.

– Przypomniałem sobie coś. – Włożył rękę do bocznej kieszeni marynarki. – Ty jesteś facet z klasą, Tom. Pewnie znasz się na drogich dywanach. – Wyciągnął próbkę, którą odciął z dywanu, kwadratową łatę piętnaście centymetrów na piętnaście, na tyle dużą, że ukazywała zarówno purpurowe tło, jak i fragment beżowo-niebieskiego wzoru. Podrzucił ją na dłoni, jakby przekręcał naleśnik, po czym rzucił nią w kierunku Augustine'a jak ringo. Zaskoczony prokurator podskoczył, chcąc się uchylić, i uderzył krzesłem o biurko, a próbka wylądowała na jego krawacie. Zerwał ją i cisnął na biurko. Naprężył mięśnie karku.

– Tak właśnie wygląda dywan wuja. Myślisz, że jest coś wart?

Augustine przypominał teraz owe srogie matrony wiszące na schodach, zwłaszcza z powodu zaciętych ust.

– Nie znam się na dywanach. – Wziął do ręki próbkę i odrzucił ją do Tozziego.

Tozzi złapał ją i znów zaczął podrzucać na dłoni, jakby ją ważył.

– Szkoda. Byłem pewny, że wiesz co nieco na ten temat, ale jeśli nie, to trudno...

Cisza, zakłócana jedynie stłumionymi głosami dochodzącymi z drugiego końca domu.

Tozzi wskazał głową w kierunku drzwi.

– A może ktoś z twoich gości zna się na orientalnych dywanach? Może zajdę tam na chwilę i popytam? Szybko się uwinę. – Po jego twarzy

przebiegł uśmiech. – Prawdopodobnie mocno by się zdziwili, co? Czekają, żebyś przyszedł i poprosił ich o poparcie w wyborach, a tu nagle zjawiam się ja z jakimś kawałkiem dywanu. Zabawne... Ale o czym ja gadam, przecież mówiłeś, że nie zamierzasz kandydować. Wszystko mi się ostatnio miesza. – Wpatrzył się w próbkę. – To naprawdę ładny dywan. Założę się, że niektórzy z twoich gości znają się na dywanach.

– Nie sądzę.

– No nie wiem, wielbny Hargreaves na pewno się zna. Bo to jego widziałem w drzwiach, nie? To ten, który prowadzi program społeczny dla ćpunów w Harlemie. Mam wrażenie, że on mógłby mi coś powiedzieć o tym dywanie. Na pewno chętnie by go zobaczył.

Augustine wciągnął głęboko powietrze i wypuścił je powoli. Uniósł głowę i wyprostował plecy. Jakby się napełniał powietrzem.

– Wiesz, Mike, zawsze uważałem, że rozsądni ludzie, różniący się w poglądach na daną sprawę, powinni zdecydować się na kompromis. Rozsądni ludzie są elastyczni. Zdają sobie sprawę, że każdy problem ma więcej niż jedno rozwiązanie. – Lekki uśmiech zagościł na jego kamiennym obliczu. – Po co w przeciwnym razie mielibyśmy instytucję ugody w sądzie?

Siedział w majestacie swego gabinetu, uśmiechając się do Tozziego.

*Skurwiel.*

Tozzi podniósł się z kanapy.

– Wiesz, często się zastanawiałem, po co wprowadzono rozwiązania ugodowe. Według mnie to kulawa sprawiedliwość. Może pogadamy o tym jeszcze kiedyś.

Kiedy ruszył do drzwi, Augustine szybko wstał.

– Nie musisz mnie odprowadzać, Tom, trafię do drzwi. – Wciąż podzucał na dłoni próbkę dywanu. Augustine nie odrywał od niej oczu.

– Masz. – Tozzi rzucił mu ją i Augustine wyciągnął ręce, ale znowu nie udało mu się złapać i wylądowała na lampie. – Możesz to zatrzymać. – Uśmiech powoli rozlewał się po jego twarzy. – Żebyś mnie nie zapomniał. – Otworzył drzwi i do gabinetu wlał się wesóły gwar. – Powinieneś wracać do gości.

Augustine zdjął z lampy próbkę dywanu i włożył ją do kieszeni, nie spuszczając wzroku z Tozziego. Ktoś zaczął rzępolić na pianinie i rozbrzmiały oklaski. Tozzi podniósł głowę i nastawił ucha.

– „Take the „A' Train” – powiedział. Stopniowo dołączyło parę głosów. – Zabawa na całego, lepiej idź do nich. Baw się dobrze.

Z błyskiem w oku Augustine wysunął do przodu swój yale'owski podbródek.

– Nie martw się o to.

## 17.

**W** domu panowała cisza, było późno. Augustine nie mógł spać. Siedział w gabinecie z nogami na biurku, z zamkniętymi oczami, z dłońią na czole, nie zauważając upływu czasu. Znowu miał jeden z tych cholernych ataków migreny i łupało go w lewej skroni. Kawałek dywanu od Tozziego leżał na biurku przy lampie. Augustine z trudem otworzył oczy i spojrzał na niego tępym wzrokiem, zastanawiając się, co na Boga ma zrobić, i co zrobi Tozzi. Bez przerwy wyobrażał sobie najczarniejsze scenariusze, ale wcale nie był pewien, czy są one wystarczająco czarne. Jego widoki na fotel burmistrza stawały się coraz marniejsze. Nawet jeśli dostanie od Sycylijczyków potrzebne pieniądze, teraz na jego drodze stoi Tozzi. On już wie i nie będzie siedział cicho. Augustine przemyślał różne możliwości, różne linie postępowania, ale wszystkie zbiegały się w jednym małym punkcie: Tozzi.

Pod wpływem rozdzierającego bólu zacisnął powieki. Tozzi wwiercał mu się w lewą skroń jak świder. Niech go cholera!

Ale ile on naprawdę wie? Czy aż tyle, że mógłby go oskarżyć o kon-szachty z Sycylijczykami? Może nie, ale sam zarzut współpracy z mafią wystarczy, żeby mu zszargać reputację i zwichnąć karierę w służbie publicznej.

Bez względu na to, jak Augustine wyobraził sobie rozwój zdarzeń, zawsze wychodził z tej sprawy jako przegrany. Patrzył na próbkę dywanu – purpura, beż i błękit. Wszystko sprowadzało się do Tozziego. Nawet skazanie za morderstwo i wyrok śmierci go nie uciszą. Jeśli do tego dojdzie,

postawi go to w centrum uwagi i jeszcze pogorszy sprawę. Zacznie wtedy wrzeszczeć wniebogłosy o tym, co wie. Pójdzie na ugodę, załatwi sobie zmniejszenie wyroku w zamian za zeznania, zahandluje informacjami na temat trefnego prokuratora. Augustine odchrząknął, miał sucho w gardle.

Nagle zadzwonił telefon, gromiąc ciszę. Ostry dźwięk przebił mu bębenki w uszach i wwiercił się w mózg. Augustine chwycił słuchawkę, żeby nie słyszeć drugiego sygnału. Nie chciał też obudzić żony. Był w podłym nastroju. Nie potrzebował jej.

– Halo?

– Szybko ti odebrasz. Czemu nie śpi?

Rozpoznał ciężki akcent i fałszywą uprzejmość. Salamandra. Zdjął nogi z biurka. Po co on, cholera, tu dzwoni?

– Czego chcesz?

– Ti spierdolił bardzo. Niedobrze. Pamiętasz ti mój przyjaciel z gospodarstwa? On mówi, że ti go okropnie zawieść.

Augustine przypomniał sobie chudego staruszka, nonszalancko jedzącego winogrona, wypluwającego skórki na ziemię. Zucchetti.

– Powiedz swemu przyjacielowi, że nie ma powodu, by czuł się zawiedziony. Wszystko jest pod kontrolą.

Salamandra zaśmiał się sucho.

– Mi tak nie widzimi. Ti miałeś dla nas zrobić coś. Może ti próbujesz, ja nie wiem, ale nie zrobiłeś dotąd. My ciągle musimi chodzić w to miejsce, codzinnie siedzieć i słuchać to gówno. Wiesz, co ja mówię?

Wiedział. Chodzi mu o unieważnienie procesu, które im obiecał.

– Nie panikuj. Powiedz przyjacielowi, że wszystkim się zajmę. Salamandra znów parsknął śmiechem.

– Nie, nie. To ti panikował. To ti wysłałeś tamten na wakacje. Giordano... mówi o zabójstwie Giordana.

– Przecież nie miałem wyboru. – Augustine urwał i zastanowił się nad wypowiedzianymi słowami. Musi uważać na to, co mówi, tak samo jak oni. Nigdy nie wiadomo, czy ktoś tego nie słucha. Na przykład Tozzi. – Czy chcesz powiedzieć, że nie powinienem go... posyłać na wakacje?

– Nie, nie, mi nie mami przeciwko nic. Ti zrobiłeś, co należy, bo on miał długi język, chciał mówić o nas. Ale zapomniałeś jedno?

– Co?

– Diwan.

Augustine spojrział na próbkę leżącą na biurku.

– A co z dywanem?

– Mi go nie mami. On, ten facet, wiedział, gdzie jest. Ti powinien mu kazać powiedzieć, zanim go wysłać na wakacje.

– Zaraz, zaraz, chwileczkę. Wyraźnie wam powiedziałem, że nie będę miał nic wspólnego z tą sprawą. A... – urwał w porę, zanim powiedział „Nemo” – ten mały, przyjaciel tamtego? On nie wie, gdzie to jest?

– Mah' zniknął, my nie możemy znaleźć. – Salamandra nagle przybrał bardzo niezadowolony ton.

– Przykro mi to słyszeć, ale to już nie mój problem.

– O tak, patron, twój.

– Chyba żartujesz. Była umowa, uzgodniliśmy, że z tym nie będę miał nic wspólnego.

– Mi nie mami diwan, ti nie masz zapłata, bardzo proste.

– Ej, chwileczkę. Do mnie należało załatwić wam... wiesz co, żebyście nie musieli tam codziennie chodzić, żebyście byli wolni.

– Tak, to należy ciebie. Ti tego nie robisz, to mi ciebie wysłać na wakacje.

Augustine miał sucho w gardle, ledwo mógł mówić.

– Bo jak moi ludzie tamtego by wysłać na wakacje – ciągnął Salamandra – to oni zmuszać go, by powiedzieć rzeczy, zanim on wyjechać. Wiemy, jak robić to. A ti nie masz doświadczenie. I teraz mi nie mami diwan. Twoja wina.

– Jak możesz mówić, że to moja wina?

– Tak mówi mój przyjaciel. Jak on mówi, to prawda.

– Posłuchaj mnie przez chwilę. To nie w porządku, tak się nie umawialiśmy...

– Mi wiemy, co w porządku. Ti znajdź diwan dla nas, to wszystko pięknie. Ty nie znajdź, jedziesz na wakacje.

– Ale...

Trzask. Augustine spojrział na trzymaną w rękę słuchawkę. Ciszę wypełnił ciągły sygnał. Serce i głowa prokuratora łomotały w tym samym rytmie. Czternaście milionów diabli wzięli, chyba że znajdzie im tę heroinę. Ale jak, na Boga, miałby to zrobić? Dobry Boże, przecież jeśli nawet wiedziałby, gdzie Tozzi ją trzyma, to czy mógłby własnoręcznie ją zdobyć?



Wrzucić dywan na tył samochodu i dostarczyć im jak pizzę? Salamandra sam powiedział, że on nie ma doświadczenia w takich sprawach. Przecież mają ludzi, swoich ludzi, którzy robią takie rzeczy. A on kogo ma? Nikogo. Jest sam, Jezu Chryste.

W tej chwili telefon zaczął buczeć, domagając się odłożenia słuchawki. Zwierzęcy strach opanował Augustine'a. Położył słuchawkę na widełki i dopiero wówczas uświadomił sobie, że w lewej dłoni ściska próbkę od Tozziego. Cholerny Tozzi. Wszystko sprowadza się do niego. To on trzyma wszystkie asy.

Nagły ból przeszył mu głowę. Zgiął się gwałtownie wpool i wcisnął twarz w kolana.

Dobry Boże, co ja mam robić, wyzwać go na pojedynek? Wysłać i jego na wakacje? Nie znam nikogo, kto wiedziałby, jak się robi takie rzeczy. Nie wiem, jak zmusić go do mówienia. Salamandra sam to powiedział, i w tym miał zupełną rację. Niech to szlag.

Otworzył zaciśniętą dłoń i zgnieciony kawałek dywanu rozprostował się jak nowo narodzony motyl, rozpościerający skrzydła.

Chyba żeby...

Przypomniał sobie coś. Tego dnia, kiedy poznał Zucchettiego na Sycylii, Nemo miał na sobie jakąś firmową koszulkę z siłowni z Bronxu. Czy z Brooklynu? Jak to się nazywało, „U Dumba”, „U Jumba”? Nie, „U Jimba”. Tak, „U Jimba”. Giordano pytał go o ten klub w drodze do gospodarstwa i Nemo odpowiedział, że to jego ulubione miejsce, najlepsze na całym świecie – tak właśnie powiedział – raj dla kulturystów, wszelki sprzęt, jaki ktoś mógłby sobie zamarzyć i, co najważniejsze, otwarte całą noc, a on właśnie wtedy lubi ćwiczyć. Powiedział też coś, o tym, że właśnie to jest jego drugi dom.

Augustine wyprostował się w krzesło, podniósł słuchawkę i wykręcił numer 555-1212.

– Informacja o numerach, słucham? Jakie miasto?

Augustine zwilżył usta śliną.

– Chodzi mi o Brooklyn, proszę pani. Szukam numeru siłowni „U Jimba”. „J” jak Jersey...

Augustine zaglądał przez małe okienko w drzwiach. Nemo był w środku, siedział przy nautilusie, ćwicząc podnoszenie nóg z jakąś niesamowitą

ilością ciężarków. Drżące mięśnie, ciało zlane potem. Nagle przestał i podniósł się. Stał twarzą do lustrzanej ściany, ściągnął spodenki i zaczął oglądać swoje umięśnione nogi. Augustine stał tu niecałe piętnaście minut, a widział to już dwa razy. Boże, jakie to żałosne.

Zerknął na zegarek: czwarta dwadzieścia. Przyglądał się, jak Nemo, na przekór zmęczeniu, walczy zawięciem z ciężarami. Był niewolnikiem własnych przyzwyczajzeń. Dygotał, owijał ręczniki wokół szyi, przerywał ćwiczenia co jakiś czas, żeby wytrzeć mokry nos, ale zawsze potem je kończył. Najwyraźniej było mu zimno, a głód pewnie skręcał mu wnętrzności. Na gwałt potrzebował działki, to jasne jak słońce. Ale walczył z bólem i robił swoje, jakby nigdy nic. Na Augustine nie wywarło to jednak wrażenia. On robił to samo.

Drugi idiota, który podnosił sztangi, skończył pięć minut temu. Augustine nadśluchiwał szumu prysznica dochodzącego z drugiego końca sali. Nie chciał, żeby ktoś mu przeszkodził. Musi wziąć Nemo za pysk, mocno nim potrząsnąć, wymusić na nim posłuch. Karzeł jest teraz miękki. Nałogowcy nie lubią być sami, kiedy są na głodzie, i łatwo uzależniają się od innych. Musi mu wbić do głowy, że jego los zależy tylko od niego, od prokuratora Augustine'a, i od nikogo więcej.

Nagły ból rozsadził mu skroń. Zaciśnął powieki i dłonie.

*Nie zwracać na to uwagi, po prostu nie zwracać uwagi.*

Nemo przeszedł na ławę, poluźnił śruby dociskowe i załadował na sztangę więcej krążków. Kiedy obciążenie było należyte, usiadł na końcu ławki i zaczął się za czymś rozglądać. Za tą obrzydliwą chusteczką do nosa, którą zostawił na nautilusie. Chwycił ją i obtarł nos, następnie ułożył się na plecach na ławie, ze stopami na podłodze. Zatarł dłonie, poprawił uchwyt i wypchnął w górę ciężką sztangę, po czym opuścił ją tuż nad klatkę piersiową.

Augustine zerknął na wiszącą na ścianie tabliczkę. BEZ NADZORU ĆWICZENIA NA ŁAWCE ZABRONIONE.

*Doskonale.*

Nie miał czasu do stracenia. Otworzył bezszelestnie drzwi i wemknął się do środka. Na palcach obszedł nautilusa i podkraść się do leżącego od strony jego głowy. Otępiełe zmysły karła były jego sojusznikiem. Nemo był tak zajęty ćwiczeniami, że przedtem, kiedy był tu ten drugi mężczyzna,

zupelnie nie zwracał na niego uwagi. Augustine stanął mu nad twarzą, z rękami w kieszeniach wełnianego płaszczu. Nemo wciąż go nie dostrzegał. Nadal podnosił tę śmieszna sztangę, w górę, w dół, w górę, w dół, stękając i pocąc się jak mysz, z gębą wykrzywioną bólem.

Kiedy w pewnej chwili opuścił ciężar, Augustine przesunął się odrobinę bliżej i gdy sztanga znowu poszła w górę, wystawił kolano, żeby uniemożliwić odłożenie jej na stojak. Uderzył lekko dłonią w krążki. Nemo błyskawicznie otworzył oczy. Zdyszany, zaczął fukać i prychać, poruszając ustami.

– Nie przeszkadzaj sobie – rzekł Augustine – ćwicz dalej. – Oparł się na sztandze, która opadła nagle w dół. Nemo zapanował nad nią w ostatniej chwili, kiedy już miała zmiażdżyć mu krtań.

Augustine ocenił, że jest na niej około stu, stu trzydziestu kilogramów.

Nemo wykrzywił twarz i zebrał się w sobie, żeby wypchnąć sztangę do góry i osadzić ją na stojaku, ale uniemożliwiało to kolano Augustine'a. Zaparł się łokciami o ławkę, żeby podeprzeć ciężar. Stęknął boleśnie.

– Ej, facet, no co ty?

Augustine skrzywił się.

– Zamknij się i słuchaj. Wpadłeś w duże kłopoty i potrzebujesz mnie, by się z nich wydobyć. Rozumiesz?

Z twarzy Nemo ściekały strużki potu, zbierając się na poduszce z czerwonego winylu pod jego głową.

– Ej, odsuń się!

– Pracujesz teraz dla mnie...

– Pierdol się. Pracuję dla Salamandry, wiesz o tym.

Świder znowu zaczął kruszyć czaszkę: powolne, uparte wiercenie. Augustine oparł się mocniej na sztandze. Łokcie Nemo omal nie puściły.

– Przestań!

– Salamandra się na ciebie gniewa. Chce wiedzieć, gdzie się podziwałeś i gdzie jest dywan.

– Jezu, próbowałem go odzyskać, ale ten jebany Tozzi tam był. – Nemo kwilił jak dziecko.

– Salamandra nie wie, że bierzesz, co?

– O czym ty gada...

Augustine nacisnął sztangę.

– Nieee!

– Członkom rodziny nie wolno brać narkotyków, prawda, Nemo? Salamandra ma już dwa powody, żeby się na ciebie gniewać. – Pokręcił głową. – Wpadłeś w spore kłopoty.

*Ja też, ale nie na długo.*

Nemo rzeził, walcząc z uciskającym go ciężarem.

– Salamandra nie wie, jaki naprawdę jesteś. Nie zależy mu na tobie i zabije cię, jeśli kiedykolwiek zobaczy cię w takim stanie.

A i bez tego może cię zabić, bo myśli, że ty masz dywan. I w końcu to ma sens, nie? Jaki ćpun nie chciałby mieć takiej ilości towaru, która starczyłaby mu do końca życia? Mam rację?

Nemo zacisnął powieki, a jego twarz przybrała nienaturalną, sinoczerwoną barwę.

– Masz jednak możliwość uratować tyłek, ale potrzebujesz do tego mnie. Mogę załatwić z Salamandrą sprawę w twoim imieniu. Musisz tylko zrobić dwie rzeczy. – Świder nie dawał za wygraną.

– Co, co mam zrobić?

– Zabij Tozzięgo i odzyskaj dywan. On go ma. Zmuś go, żeby ci powiedział, gdzie go trzyma, a potem go wykończ.

– Jak?

– Jesteś bystry, wymyślisz coś. Powiem ci, gdzie go można znaleźć.

– Dlaczego mam go zabijać? Nie wystarczy zabrać dywan?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, za dużo wie, a po drugie, nie dam ci prochów, jeśli tego nie zrobisz.

– Kłamiesz, ty nie masz prochów.

– Nie sądzę, żeby w obecnej sytuacji Salamandra miał coś przeciwko temu, jeśli będzie brakować jednej czy dwóch paczuszek.

*Może to sobie odjąć od swojego honorarium.*

Wydawało się, że na te słowa w Nemo wstąpił nowy duch. Otworzył oczy i popatrzył na Augustine'a.

– A jeśli tego nie zrobię? Co wtedy?

Augustine zzymnął się. Znów łupnęło mu w skroni.

*Ty bezczelny fiucie.*

Oparł się na sztandze i zazgrzytał zębami.

– Pamiętasz, co się stało z twoim kolegą, Nemo? Z Giordanem? mHm? Mogę załatwić powtórkę, mikrusie.

Z ust Nemo wydobyło się coś między stęknieniem a jękiem.

– O czym ty gadasz, nie rozumiem?

– Nie musisz nic rozumieć, jesteś od czego innego. Rób, co do ciebie należy, i cała sprawa zakończy się happy endem.

Nemo próbował stawić opór, sapał i prychał żałośnie, chcąc podrzucić sztangę na stojak, ale przeszkadzało mu kolano Augustine'a.

Nadal się stawia, trzeba więc szybko go przekonać.

– Jak myślisz, ile jest proszku w takiej paczuszce? Pewnie około trzystu gramów. Jedna trzecia kilograma. Jeśli pozwolę ci zatrzymać, no, powiedzmy trzy paczuszki, to na jak długo ci to starczy? Cały kilogram czystej heroiny? To mniej więcej... ile?... dziesięć kilogramów rozcieńczonego towaru, jaki się kupuje na ulicy.

Nachylił się jeszcze bardziej, przesuwając sztangę w kierunku tułowia Nemo, żeby trudniej ją było utrzymać. Patrzył na jego umęczoną, purpurową twarz.

– Zaczekaj, nie! Kurwa mać!

Augustine odchylił się.

– Co?

– Udobruchasz Salamandrę? Nie powiesz mu, że to ja gwizdnąłem paczuszki? Nie powiesz?

– Nie, jeśli zrobisz to, o co cię proszę.

Nemo oddychał z trudem, zastanawiał się. Za dużo myśli. Augustine znów nacisnął na sztangę.

*No, decyduj się, cholera!*

– Dobra, dobra, zrobię to!

– Świetnie. – Wyprostował się i pozwolił mu unieść sztangę. Cofnął się o krok. – Odłóż to, chyba ci niewygodnie.

Świdrowanie w skroni odrobinę zelzało.

Nemo znów wydał zwierzęcy odgłos i wypchnął sztangę do góry na stojak. Rozległ się metaliczny szczęk. Nemo opuścił bezładnie ręce. Leżał wykończony, z językiem na wierzchu, bezsilny. Marat w wannie.

Augustine czuł, że też jest mokry od potu.

Spojrzał na karła jak na glistę na chodniku. Cóż za żałosne stworzenie. Ale jak bardzo żałosne? Czy na tyle, by strzelić sobie w żyłę czystą heroinę? Oby, byłoby to dogodne, bo w końcu dzisiejszy zausznik może się

jutro okazać zdrajcą, a po Nemo z pewnością można się spodziewać, że pójdzie z powrotem do Salamandry i będzie go błagał na kolanach o przebaczenie. Te sentymentalne typki znad Morza Śródziemnego takie właśnie są. No nic, jeśli biała dama go nie skosi, to znajdzie się inny sposób. Załatwi się to w odpowiednim czasie.

Kątem oka dostrzegł urządzenie wiosłowe na końcu sali. Dawało kiepską namiastkę prawdziwego wiosłowania. Przypomniał sobie nagle, jak to było, kiedy wypływał sam łódką na rzekę: powiew orzeźwiającej bryzy na plecach, niezmacona radość płynąca z poczucia siły. Boże, nie pływał, odkąd skończył Yale. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Odetchnął głęboko, uświadamiając sobie, że ból powoli mija.

Tak, pomyślał, śmietana zawsze wypływa na powierzchnię.

## 18.

**A**i-okaj! – krzyknął instruktor z rogu maty.

Tozzi zerknął na Neila Sensei, który ruszył do przodu, szeleszcząc swoim czarnym luźnym *hakama*. Partner Tozziego – Sam, też błękitny pas – przestał pchać i uklonili się sobie. Przez ostatnie pięć minut klęczeli twarzą w twarz w pozycji *seiza*, robiąc *kokyu dosa*, jak zwykle na zakończenie zajęć. To nie była żadna technika ani rzut. To było o wiele więcej niż ćwiczenie. Coś w rodzaju sprawdzianu własnego *ki*, wewnętrznej energii – czy jak to tam nazwać. Każdy ma własną definicję *ki*.

Tozzi i Sam zwalali się z nóg na zmianę. Jeden stał z wyciągniętymi do przodu rękami i pchał, podczas gdy drugi przytrzymywał dłonie przeciwnika i stawiał opór. Jeśli pchający używał zbyt dużo siły fizycznej, a za mało *ki*, zwykle nie udawało mu się powalić partnera. Ciężko wyjaśnić, jak to jest, ale jeśli człowiek uchwyci odpowiednie uczucie – uczucie mocnego zakorzenia w centrum, skąd rozszerza się ono na ramiona, dając poczucie mocy, a zarazem rozluźnienia – i nie użyje siły fizycznej, to potrafi zrobić wszystko. Może wtedy cisnąć facetem bez względu na to, ile on waży, pchnąć go tak, że polecą na plecy, a wtedy – znowu używając *ki*, a nie siły fizycznej – przygwoździ go, unieruchomić odpowiednim chwycem. Tozzi i Sam byli mniej więcej równymi przeciwnikami, żaden nie oślepił drugiego promieniowaniem swojego *ki*. Ale dziś Tozzi był nieco przygaszony. Wciąż stawał na mięśnie, a Sam opierał się na tyle dobrze, że Tozzi odczuwał coraz większe zniechęcenie. Po prostu mu nie szło. Może

gdyby trenował więcej? Może Sam zostanie z nim po zajęciach i poćwiczą trochę dodatkowo?

Pozostali zawodnicy podnieśli się, podeszli na skraj maty i usiedli w szeregu w pozycji *seiza*, twarzami do Neila Sensei, który też przyjął tę pozycję. Był jedynym, który miał na sobie czarne luźne spodnie *hakama*, noszone tylko przez posiadaczy czarnego pasa. Sensei w milczeniu dokonał wzrokowego przeglądu grupy, sprawdzając pozycję każdego z siedzących, dając wskazówki gestami, bez słów, prostując plecy albo wypinając klatkę piersiową, żeby pokazać swoim uczniom, że powinni być „duzi”. To był ich wspólny problem, a dla Tozziego jeden z najważniejszych. Tozzi nie był ułomkiem i wydawało mu się, że ma całkiem dobrą postawę, aż tu nagle ktoś w samym środku zajęć mówił mu, że jest zgarbiony. Najczęściej zdarzało się to wtedy, gdy robił *kokyu dosa*. Podkopywało to jego zaufanie do własnej siły. Neil Sensei powiedział kiedyś, że taka postawa odzwierciedla niezbyt pozytywne myślenie. Tozzi, odkąd trzy lata temu zaczął trenować aikido, często myślał o tym, że jego kiepska postawa to oznaka podstawowej wady charakteru: niskiego mniemania o sobie. Chciał być duży, ale jego ciało bez przerwy świadczyło o czymś przeciwnym.

Kiedy już Neil Sensei uznał, że wszyscy mają dobrą postawę lub przynajmniej najlepszą, na jaką ich stać, obrócił się na kolanach do wiszącego w ramach na ścianie japońskiego napisu *hangi*, znaczącego „aikido”, i wszyscy pospołu się uklonili. Odwrócił się z powrotem do uczniów i uśmiechnął pod obwisłymi wusami.

– Tych, którzy przyszli tu po raz pierwszy, witamy w szkole aikido Koki-Kai.

Tozzi zerknął wzdłuż szeregu. Zauważył kilka nowych twarzy. Jeden z nowicjuszy, wielki facet, bujał się w tył i w przód. Nogi pewnie dają mu popalić. Zawsze tak jest na początku.

Neil Sensei popatrzył w milczeniu po uczniach, uśmiechając się i kiwając głową. Zawsze tak robił na zakończenie. Był to jeszcze jeden sprawdzian: każdy mógł się przekonać, czy potrafi utrzymać postawę do samego końca. Tozzi pamiętał, jak to było, kiedy miał biały pas. Ostatnie kilka minut było zawsze torturą.

Wreszcie Neil Sensei skinął uczniom głową, a oni się uklonili, mówiąc chórem:

– Dziękujemy, Sensei.



Tozzi nienawidził etykiety, ale nie miał nic przeciwko temu zwyczajowi, albowiem owo sztywne kłanianie się było podziękowaniem partnerowi, i nauczycielowi za udane ćwiczenia, a nie składaniem komuś hołdów tylko dlatego, że ten ktoś stoi o oczko wyżej.

Kiedy Neil Sensei zszedł z maty, uczniowie wstali i rozeszli się, zmierzając do przebieralni. Tozzi podniósł się i rozprostował kości, ale pozostał na macie. Chciał jeszcze poćwiczyć. Przynajmniej na chwilę udało mu się zapomnieć o kłopotach. Ale teraz, gdy zajęcia dobiegły końca, chmurna twarz Augustine'a, którą widział w przytłumionym świetle gabinetu, znów stanęła mu przed oczami, wywołując w sercu niepokój.

Poszukał oczami Sama, ale ten poszedł już do szatni. Pomyślał, że może poprosi kogoś innego, żeby z nim potrenował, ale rozmyślił się. Był wytrącony z równowagi i miał wrażenie, że więcej złego *kokyu dosa* jeszcze bardziej go rozstroi. Może ćwiczenie na oddychanie pozwoli mu odzyskać choć odrobinę tego przyjemnego, uspokajającego odczucia ześrodkowanego *ki*. Dobrze by mu to teraz zrobiło.

Powoli zaczął się koncentrować: ściągnął ramiona i zamknął oczy, po czym zaczął wydmuchiwać przez usta co trzydzieści sekund równe porcje powietrza, aż zupełnie opróżnił płuca. Wytrzymał na bezdechu, licząc do pięciu, a następnie – i to było dla niego najtrudniejsze – musiał wciągać powietrze przez nos nieprzerwanie przez trzydzieści sekund. Znów policzył do pięciu, tym razem z pełnymi płucami, po czym zaczął powtarzać cały cykl.

Skoncentrował się na rytmie, nie licząc czasu. Ale po kilku oddechach jego myśli znów wróciły do Augustine'a, jego bajeranckiego domu i kawałka dywanu, który mu zostawił. Przypomniawszy sobie wzór i zaczęło go ścisnąć w dołku. Czterdzieści kilo heroiny. Jeśliby go złapali z taką ilością towaru, powiesiliby go za jaja i bujałyby się na wietrze do skończenia świata. Już słyszał, jak Ivers się na niego wydziera, wrzeszczy, że powinien mieć więcej oleju w głowie, że powinien być to oddać FBI. Powiedziałyby, że jego zawieszenie nie ma tu nic do rzeczy. Nie byłoby żadnego tłumaczenia.

Tozzi pomyślał, że może dałoby się wyjaśnić, iż potrzebował dywanu do przetargów z Augustine'em, bo ten chciał go zrobić. Tyle że nikt by tego nie wziął poważnie. Augustine był szlachetnym rycerzem, a on

renegatem, człowiekiem o złej reputacji. Przecież dzięki temu wszarzowi Moscovitzowi o jego zabójczych skłonnościach pisali nawet w gazetach.

Natężył się, by utrzymać wdech jak najdłużej. Jeśli złapaliby go z taką ilością towaru, Augustine pewnie sam poprowadziłby śledztwo. I pomimo wszystkich oskarżeń i zarzutów, które Tozzi mógłby przedstawić, skurwieli wyszedłby z tego oczyszczony i odmłodzony jak feniks. Już to widział: Augustine wsadza do pudła trefnego agenta FBI tuż przed opuszczeniem urzędu prokuratury i objęciem obowiązków burmistrza Nowego Jorku. Jeszcze jedna wiktoria przed odejściem. Na początku, kiedy szedł do Augustine'a, myślał, że zdoła pokierować jego myślami za pomocą tego kawałka dywanu, pokierować nimi tak, jak to się robi w aikido, gdy łapie się napastnika na przynętę, zmusza go do odsłonięcia, by pieprznąć nim o ziemię. Ale teraz nie był pewien, czy z Augustine'em to się uda. Obawiał się, że plan może spalić na panewce. Może pokładał zbyt wiele wiary w to, czego nauczył się na macie. Może nie powinno się stosować zasad aikido w codziennym życiu? Może to dobre do rzucania ludźmi tutaj, w *dojo*, czy w walce na pięści, ale w innych sytuacjach się nie sprawdza. Może wizyta u Augustine'a z tą próbką dywanu była błędem, wielkim błędem.

Kiedy tak wdychał powietrze, klatka piersiowa omal mu nie pękała. Uświadomił sobie nagle, że znów stoi zgarbiony. Nie był duży. Cholera.

– Przepraszam?

Otworzył oczy. Przy nim stał jeden z nowych, ten dryblas, który kiwał się na nogach pod koniec zajęć. Ogromny Murzyn, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ze sto kilo wagi, z wydętym brzuchem nie mieszczącym się w jego *gi*. Większość ludzi nie miała przepisowego stroju, gdy przychodziła tu po raz pierwszy. Może facet trenował kiedyś jakieś inne sztuki walki. Sądząc po brzuszysku, musiało to być dawno temu.

– Słuchaj, kolego, mogę cię o coś poprosić?

Tozzi popatrzył dokoła: *dojo* było puste, wszyscy poszli do domu.

– Pewnie, a o co?

– Kurde, to siadanie na zakończenie jest bez sensu, nie? Po co to?

Tozzi spojrział na niego. Facet podskakiwał na jednej nodze, z wykrzywioną twarzą, z głową przechyloną w bok.

– Jak tam nogi?  
– Są na swoim miejscu, służą dobrze.  
– Chodzi mi o to, czy możesz zrobić jeszcze trochę *seiza*?  
– Bez problemu. – Olbrzym opadł przed Tozzim na kolana, trochę jak cierpiący na artretyzm hipopotam. – Pokaż, jak to ma być. – Wyciągnął ręce. Przypominały rękawice do baseballa. Przedramiona miał grube jak okrągłaki. Śmierdziało od niego smażonym olejem.

– Przy okazji, mam na imię Mike – powiedział Tozzi, wyciągając dłoń.

– Ehe... ja Darryl, ale kumple zwą mnie Frytka. – Rozciągnął usta w uśmiechu, ukazując braki w uzębieniu, i uściśnął podaną mu dłoń. Tozzi poczuł się, jakby olbrzymi, tłusty nietoperz owinął skrzydła wokół jego palców.

– Dobra, pierwsza ważna rzecz: *kokyu dosa* to nie walka, to nie są zapasy. Jeśli tak było, to naturalnie ty byś wygrał... Najprawdopodobniej, biorąc pod uwagę różnicę masy. Dobra, pokażę ci. Pchnij mnie, z całej siły.

Frytka wyciągnął ręce i Tozzi chwycił go za przeguby. Murzyn pchnął silnie, ale Tozzi skupił się na odczuciu *ki* i sprawił, że jego ramiona stały się nieugięte, mocne, a jednocześnie rozluźnione. Frytka wykrzywił twarz, prychnął, ale wszystko na próżno. Nie mógł przewrócić Tozziego. Uniósł tyłek, żeby naprzeć mocniej, ale na nic się to zdało. Tozzi siedział tak samo, jak siadywał Neil Sensei: nieporuszony, uśmiechając się lekko, przyklejony do maty. Wkurzał tym Frytkę jak diabli. Teraz wreszcie czuł się dobrze. Przez chwilę obawiał się, że ten olbrzym ruszy go i zrobi z niego głupa, ale aikido okazało się skuteczne. Dlaczego w to wątpił?

– Cholera! – Frytka w końcu dał za wygraną i opadł na pięty. Twarz pokrywały mu kropelki potu. Sięgnął pod *gi* i wyciągnął chusteczkę, żeby wytrzeć twarz.

– Widzisz? – spytał Tozzi. – Mięśnie nie mają szansy w walce z pozytywnym *ki*.

Frytka zrobił krzywą minę i schował chusteczkę za pazuchę.

– Dobra, facet, a może to ma? – błyskawicznie wyjął rękę.

Tozzi ujrzał błysk mknącego ku niemu ostrza, pchniecie wycelowane prosto w gardło. Wielki nóż myśliwski. Szybko odchylił się w bok, żeby uniknąć ciosu, ale nóż trafił go pod pachę, przebijając *gi* i zahaczając o

ciało. Bez namysłu zrobił przewrót do tyłu i zerwał się na nogi. Odskoczył na parę kroków i zajrzał pod ubranie. Z boku zwieszał mu się krwawy kawałek skóry.

*A to skurwysyn.*

Frytka też już zdążył wstać. Skradał się ku niemu na ugiętych kolanach, z nożem w wyciągniętej ręce, z palcem wskazującym na boku ostrza. Tozziemu się to nie podobało. Amator trzymałby nóż zaciśniętą dłońią nad głową, uderzając z góry, tak jak to zrobił Tony Perkins tej babie, jak jej tam, pod prysznicem w „Psychozie”. Ale Frytka najwyraźniej nie był amatorem. Wiedział, jak obchodzić się z nożem, i po wyrazie jego twarzy widać było, że nie wzdraga się przed chlastaniem ludzi na kawałki.

– Gdzie dywan?

Tozzi nie odpowiedział. Patrzył, jak Murzyn się zbliża. Bądź duży, powiedział sobie. Stań się dużym celem. Neil Sensei zawsze to powtarzał. Zmuś przeciwnika do określenia się w ataku.

– Chcesz umrzeć? Pytam, gdzie dywan?

Tozzi wyprostował plecy. Ściągnął ramiona do tyłu i wypiął klatkę piersiową. Frytka podkraść się bliżej i błyskawicznym ruchem rzucił się do przodu z nożem wycelowanym w twarz Tozziego. Tozzi zrobił unik i natrafił wierzchem dłoni na dłoń Murzyna. Nie przerwał jednak ruchu jego ręki aż do momentu, kiedy owinął ją sobie wokół własnej szyi. Wtedy wsunął się pod olbrzyma i rzucił go na ziemię. Technika szalika, tak to się nazywa.

Frytka stęknął i, przekręciwszy się na bok, poderwał się z maty szybciej, niż Tozzi się spodziewał. Tak, wielki skurwiel poleciał na ryj, ale sama akcja była do niczego. Tozzi uświadomił sobie, że zaprzepaścił okazję do odebrania mu noża. Zbyt się skupił na zbiciu faceta z nóg, na mocnym rzucie. *Cholera.*

– Gdzie dywan, skurwielu jeden! – Frytka wracał, tnąc przed sobą powietrze jak Zorro. Zaczął krążyć wokół przeciwnika, machając nożem co i raz przy jego twarzy, czekając sposobnej chwili. I nagle skoczył, szybko i zdecydowanie, z ostrzem wycelowanym w jego gardło. Tozzi pamiętał o najważniejszym – być wyprostowanym, być dużym! Wyczekał do ostatniego ułamka sekundy, po czym schylił się i nóż świsnął mu nad głową. Nie trafiwszy w cel, Frytka potknął się i stracił równowagę. Tozzi chwycił go za łokieć i za kołnierz *gi*, obrócił i posłał twarzą na matę.

Frytka padł na brzuch, wydał gromkie „Uuuh!” i bez tchu pojechał po macie kilkanaście centymetrów. Ale wciąż trzymał ten kurewski nóż.

*Cholera.*

Tozzi pomacał zranione miejsce i przycisnął łokieć do boku, żeby powstrzymać krwawienie. Na ubraniu, pod pachą, pojawiła się duża czerwona plama. Żałował, że spojrzął, bo teraz myślał o ranie, wyobrażał ją sobie i przez to zrobiło mu się trochę słabo. Starał się przekonać siebie, że to nic groźnego, że cięcie nie było głębokie.

Frytka był już na nogach; patrzył z odrazą na swój rękaw. Na mankiecie miał krew.

- Ej, ty, zababrałeś mnie juchą! Kurwa mać!
- Przyślij mi rachunek z pralni.

*Co za palant.*

– Pierdolę rachunek, ale skąd mam wiedzieć, że nie masz AIDS? – Pokręcił głową i wzdrygnął się. – Dobra, facet, koniec żartów. – Rzucił się ku Tozziemu i zadał cios bekhendem, prosto w twarz. Tozzi odwrócił się, przesuwając jednocześnie w bok, tak że wysunięta ręka napastnika znalazła się na wysokości jego boku, jak poręcz. Chwycił ją za przegub, a palcami drugiej ręki złapał Murzyna za tłusty kark, po czym szarpnął się do tyłu i opadł na jedno kolano. Frytka klapnął na tyłek, z ręką na kolanie Tozziego. Tozzi natężył uścisk na przegubie, żeby Frytka zrozumiał, że może złamać mu rękę w łokciu jak zapałkę.

- Rzuć nóż, dupku.
- Pierdol się.

Tozzi nacisnął i ręka trzasnęła na jego kolanie jak suchy patyk. Murzyn wrzasnął i nóż upadł na matę.

- Ostrzegalem cię. Myślisz, że będę mówił dwa razy?

Frytka wył jak pies w chińskiej restauracji. Tozzi puścił go.

Murzyn przekręcił się na bok, trzymając się za łokieć. Tozzi wyciągnął rękę po leżący na skraju maty nóż, ale zakręciło mu się w głowie i znieruchomiał na czworakach. Zajrzał za pazuchę. Nadal krwawił, a plama na ubraniu była teraz wielkości pizzy. Chciał chwycić nóż, ale go nie dosięgnął. Oddychał z trudem. Zamknął na chwilę oczy, żeby sala przestała wirować.

- Ej! Szybko, pomóżcie mi, cholera!

Otworzył oczy. Frytka stał przy drzwiach, wciąż trzymając się za łokieć, i wrzeszczał w kierunku korytarza. Do *dojo* wpadło nagle trzech młodych typków. Wyglądali jak wielorasowy zespół rapowy: jeden Murzyn, jeden Latynos i jeden biały – wszyscy ze złotymi łańcuszkami, w rozwiązanych adidasach i dresach pod obszernymi kurtkami. I wszyscy byli duzi.

– Jazda, dawajcie tego skurwysyna jednego! Muszę wiedzieć, gdzie ma dywan. No, jazda. – Frytka kipiał z wściekłości.

Toziemmu wciąż kręciło się w głowie. Usiłował skupić wzrok na nożu, ale oczy zaszyły mu mgłą.

– Szybko, brać go!

*O cholera.*

## 19.

Ręka Frytki zwisała bezwładnie jak martwy pyton. Murzyn robił komiczne miny – rozdymał nozdrza, poruszał ustami, unosił i opuszczał brwi – ale Tozzi nie wiedział, czy to z bólu czy z gniewu.

– Dawajcie tego skurwysyna, wpierdolcie mu! – wrzasnął.

Ale trzech cwaniacy stali w miejscu, patrząc na Tozziego. Żaden nie chciał iść pierwszy. W końcu biały osiłek z kędzierzawą bujną czupryną podbiegł do stojaka przy ścianie, gdzie trzymano drewnianą broń do ćwiczeń, i chwycił kij *jo*.

– Spoko, załatwię go – powiedział.

Tozzi wstał i zapomniał o ranie. Biały się zbliżał, krok po kroku, trzymając półtorametrową broń jak kij do baseballa.

Nie ustępuj, powiedział sobie Tozzi. Czekać na atak, pozwól mu się zaangażować. Odpręż się. Osiądź w sobie, skup się w swoim centrum. I bądź duży, cholera jasna! Bądź duży i dobrej myśli. To najtrudniejsze.

Wypiął pierś, wziął głęboki oddech i wyprostował ramiona. I wtedy przypomniał sobie coś, co Neil Sensei mówił podczas zajęć. „Wygrać jeszcze przed walką”. Tozzi wycisnął na twarz lekki uśmiech, przekonując się, że już zwyciężył. Ale nawet jeśli ten gówniarz to tylko jakiś tłusty wszarz, to przecież ściska w ręku *jo* i najwyraźniej chce się popisać przed kolegami.

– Powiesz nam, gdzie dywan, czy mam ci rozwalić łeb? – Biały podszedł bliżej.

Tozzi zmusił się, by stać nieruchomo. Milczał. Nie chciał rozpraszać uwagi.

– Ej, pytałem cię o coś, nie?! – wrzasnął szczeniak. – Odpowiedz.

Tozzi nie odpowiedział, po prostu stał w miejscu.

– Ty jebulcu – warknął chłopak i ruszył ku niemu. Uniósł wysoko *jo* i uderzył z całej siły, zamierzając zadać Tozziemu cios w głowę.

Tozzi wyprężył się. Czekał. Kiedy kij zaczął opadać łukiem, a napastnik zaangażował wszystkie siły w atak, odsunął się odrobinę w bok i złapał *jo* obiema rękami, jedną w połowie długości kija, a drugą za górny koniec. Nie niszcząc płynności ruchu, poprowadził kij w dół między sobą a białym, by następnie szarpnąć gwałtownie w górę tak, że stanęli do siebie plecami, z rękoma nad głowami, trzymając broń. Błyskawicznie obniżył *jo*, przycisnął nim szczeniakowi gardło i, nachyliwszy się gwałtownie do przodu, przerzucił go sobie przez plecy. Wszarż upadł i puścił kij. Pamiętając, że są jeszcze dwaj, Tozzi trzasnął go końcem *jo* w nos, jakby uderzał bilardową kulę. Dupek wrzasnął i złapał się za twarz, a Tozzi odwrócił się, by przywitać następnego.

Latynos i czarny szli już ku niemu, ale nie bardzo się kwapili do bitki. Jeden spoglądał na drugiego.

– Bierzcie tego skurywsyna, na co czekacie?! – wrzasnął Frytka.

Czarny zrobił krok do przodu. Trzymał w ręku *bokken*, drewniany miecz do ćwiczeń. Tnąc nim z boku na bok jak pirat, ruszył na Tozziego. Świst drewnianej broni brzmiał złowrogo, ale facet w te ruchy angażował całe ciało. Tozzi zaczekał, aż miecz odchylił się skrajnie w jedną stronę, szybko skoczył do przodu i, wykorzystując długość *jo*, dźgnął czarnego w krtani, wbijając koniec kija w jego wiązadła głosowe. Szczeniak poleciał do tyłu, wydając odgłos, jakby miał zwymiotować i, klapnął na tyłek. Chwycił się za gardło, nie mogąc złapać oddechu.

– Ej, co się tu dzieje? Mike, co ci się stało?

Tozzi podniósł głowę i w drzwiach do szatni zobaczył Neila Sensei. Instruktor stał ubrany do wyjścia.

– Przydałaby mi się pomoc! – krzyknął do niego Tozzi.

Latynos odwrócił się i ruszył na Sensei. Sensei nie był olbrzymem i palant myślał, że będzie miał łatwiejszą robotę. Pomylił się.

– Ty nikomu nie pomożesz, chujozo! – wrzasnął, podbiegając do



Sensei i zamierzając mu przyłożyć pięścią w twarz. Ale kiedy zadał cios, Sensei odbił jego rękę, tak że facet poleciał w bok, rzucony siłą własnego rozpędu. Wykonawszy półobrót, upadł na wznak i uderzył mocno potylicą o gołą podłogę. Na wpół ogłuszony, próbował unieść głowę, ale mógł nią tylko bezradnie kręcić z boku na bok.

Tozzi przyglądał się Neilowi, podziwiając jego spokój i lekkie ruchy, kiedy nagle ktoś zaatakował go od tyłu. Na szyi poczuł zimny metal. To ten pieprzony nóż. Instynktownie chwycił rękę napastnika i przycisnął ją do obojczyka, żeby uniemożliwić jej cięcie. Przeciwnik był jednak zajebiście silny. Tozzi opuścił głowę i spojrzał w dół. Rozpoznał potężne ramię, a na plecach poczuł gruby brzuch. Jebany Frytka.

– Myślisz, że tacy jesteście cwani z tym aikido, ty i ten drugi? Teraz ja będę cwany. Gadaj, gdzie dywan, albo ujebię ci ten łeb i wywalę przez okno.

Tozzi rozejrzał się dokoła, usiłując coś zrobić, żeby nie dać sobie podejrznać gardła. Zobaczył, że Neil macha do niego z końca sali.

– Nachyl się! – krzyknął instruktor.

Te dwa słowa wystarczyły. Tozzi wiedział już, co ma robić. Rozluźnił plecy, skupił się w sobie i zgiął wpół. Trzymając rękę Frytki przy piersi, przerzucił go przez ramię. Murzyn z ogłuszającym hukiem runął na matę i wrzasnął jak kot, wijąc się z bólu i trzymając za złamane ramię.

– Rany, ja wypierdalam! – Latynos wybiegł na miękkich nogach, trzymając się za potylicę.

Czarnego chłopaka też już nie było.

Biały szczył, z krwawym strzępem mięsa w miejscu nosa, podbiegł do swego szefa i pomógł mu wstać. Cały czas patrzył, gdzie są Neil i Tozzi, obawiając się ich następnego ruchu.

– Chodź, Frytka, chodź. – Olbrzym lamentował i jęczał jak stara baba na pogrzebie. Zacisnąwszy powieki, szedł do drzwi, prowadzony przez kumpla. Obaj zapomnieli o leżącym na macie nożu.

Dobrze, pomyślał wyczerpany Tozzi, opuszczając głowę na piersi. Przynajmniej będziemy mieć odciski palców.

Na wpół omdlały, opadł na jedno kolano i przyjrzał się ranie. Całe *gi* miał we krwi. Usiadł i zamknął oczy, broniąc się przed utratą przytomności.

– Bardzo krwawisz, Mike. – Neil Sensei stanął nad nim.

Tozzi skinął głową i odsłonił bok.

– Nie wstawaj. W szatni mam apteczkę, zaraz przyniosę. Krzycz, gdyby wrócili.

– Dobra.

Ale kiedy Sensei wybiegł, podkraść się do skrajy maty, zerknął na drzwi, żeby się upewnić, że nikogo nie ma, i odwinął jej brzeg. Odprężył się, uspokojony, bo zobaczył to, co chciał zobaczyć: na purpurowym tle beżowo-niebieski wzór, który ciągle stał mu przed oczami. Dywan był tam, gdzie go schował po napadzie w domu wuja.

Tozzi opuścił brzeg maty na miejsce. Wrócił na środek sali i położył się na plecach, spoglądając w popękany sufit, wsłuchany w rytm własnego serca. Biło mocno i powoli, jak gong.

Otworzywszy drzwi swego mieszkania, pobiegł prosto do telefonu w kuchni. Gdy go zszywali na pogotowiu, wpadł na pewien pomysł. Może wypali, pomyślał, jest duża szansa. Za pomocą małego szczura trzeba wykurzyć dużego.

Zadzwoił do informacji i poprosił o numer do redakcji „Tribune”. Zrzucił płaszcz, uważając, by nie nadwreżyć szwów pod pachą, słuchając jednocześnie nagranej na taśmie informacji. Kiedy automat powtórzył ją, zapisał numer na brzegu czasopisma. Wcisnął widełki, poczekał na dźwięk oznaczający wejście na linię i wystukał cyfry.

Po drugim sygnale ktoś podniósł słuchawkę.

– Redakcja, słucham? – odezwał się kobiecy głos.

– Poproszę z Markiem Moscovitzem.

– Zobaczę, czy jest. A kto mówi?

– Mike Tozzi.

Zerknął na zegarek. Dziesięć po dziesiątej, późny wieczór. „Tribune” wychodzi rano, teraz więc powinni składać jutrzejsze wydanie. Lepiej, żeby ten jebany wszarz był.

– Czego chcesz, Tozzi? Masz mi coś nowego do powiedzenia?

Tozzi wyobraził sobie szczurzy ryj.

– Trafiłeś w dziesiątkę, mam.

– Niektórzy nigdy się niczego nie nauczą. – Usłyszał, jak pismak zapala zapalniczkę i wydmuchuje dym w słuchawkę. – No to co cię gryzie?

– Ponieważ z powodu świąt media mają mało newsów, pomyślałem sobie, że udzielę ci wywiadu, tym razem do wiadomości publicznej.

Moscowitz parsknął śmiechem.

– Taaa? A na co komu wywiad z tobą? Pewnie mi powiesz, że jesteś niewinny? Wielkie mi, kurwa, rzecz. Ale sensacja.

– A jeśli bym ci powiedział, że Augustine mnie wrabia? Czy to sensacja?

Szczur prychnął.

– Tozzi, marnujesz mój czas. Idź załatwiać swoje porachunki gdzie indziej. Spróbuj w „Post”.

– Ej, ale ja to mogę udowodnić.

– Taaa? No to wał, słucham. – Moscovitz zaciągnął się papierosem.

Tozzi przysunął do stołu krzesło i usiadł. Wiedział dokładnie, co i jak chce powiedzieć. Ćwiczył to przez ostatnie dwie godziny, łamiąc sobie głowę, jak tu najlepiej złapać skurwiela na haczyk. Rozpiął koszulę i pomacał szwy. Zaczął mówić:

– Chodzi o to śledztwo dotyczące morderstw w domu mego wuja. Dokumentnie je spierdolili. Augustine i to jego popychadło, McCleery, od początku uznali moją winę za pewnik. Tak się śledztwa nie prowadzi.

– Oj, Tozzi, mówisz jak każdy cwaniak, który czeka na krzesło elektryczne.

– Ej, może odrobinę zaufania, co? W końcu wiem coś niecoś o prowadzeniu śledztwa, siedzę w tej robocie nie od dziś. Te błazny nie przestrzegają żadnych znanych mi procedur. I, według mnie, pozbawiają mnie moich praw konstytucyjnych.

– Chwila, chwila. – Moscovitz odłożył na chwilę słuchawkę. – Masz coś przeciwko temu, że bym nagrywał?

– Nie, proszę bardzo. – Tozzi się uśmiechnął. Szczur zaczął skubać ser.

– Dobra, już możesz gadać. Co masz na myśli mówiąc, że pozbawiają cię twoich praw konstytucyjnych?

– Augustine uparł się, żeby FBI zostało wyłączone ze śledztwa, bo jestem agentem. Zgadza się? Ale kto ma najnowocześniejsze,

pierwszorzędne laboratoria kryminalistyczne? FBI. Jeśli wiedziałbyś, że jesteś niewinny, czy nie chciałbyś, żeby to właśnie najlepsze laboratoria i najlepsi technicy wykazali twoją niewinność? Dlaczego mój los ma zależeć od drugiej ligi? A moje prawa obywatelskie?

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że policja z New Jersey nie zna się na rzeczy?

– Nie, nie, do nich nic nie mam. Jestem pewien, że robią, co mogą, tylko że sprzęt mają taki, jaki mają. Mój problem to ów nieopierzony orzeł prokuratury, który został wybrany do tej roboty, McCleery.

– Chwileczkę, zapiszę to: nieopierzony orzeł... Dobra. A co masz konkretnie do McCleery'ego? Przecież on kiedyś był jednym z was, nie? Pracował w FBI?

– Tak, pracował. Ale czy nigdy nie zadałeś sobie pytania, dlaczego przestał?

– Nie, a co?

– Powiedzmy, że odszedł w niesławie.

– A co się stało, co zrobił?

Tozzi zerknął w sufit i uśmiechnął się.

– No nie wiem, czy mogę ci powiedzieć...

– Ej, chcesz, żebym to wydrukował czy nie? Albo mówisz wszystko, albo nie mamy o czym gadać.

– No nie wiem... – Było mu coraz weselej.

*Niech się ślini.*

– Słuchaj, Tozzi, dajmy se więc spokój. Od razu wiedziałem, że jesteś gównem wart.

– No dobra już, dobra. Właściwie, cholera, dlaczego miałbym kryć McCleery'ego? On ma mnie w dupie, nie?

– No właśnie. A wiec?

– Od czego tu zacząć? Tyle tego jest. Może zacznę od tego, co się zdarzyło na lotnisku LaGuardia. To był chyba październik czy listopad 1986 roku. Dostaliśmy cynk, że Kolumbijczycy z Queens przywożą kokę krajowym lotem z Florydy. Mieli na usługach tragarza, który miał przechwycić dla nich ładunek prosto z samolotu. Sześciu agentów stało na płycie, czekając, aż facet wykona ruch, a kiedy już to zrobił, McCleery i jego kumpel byli najszybsi i zatrzymali go. Ale McCleery to geniusz, wiec uparł się, żeby sprawdzić towar na miejscu. Wyciągnął tę paczkę koki i rozciął ją.

– Taa, no i co? Co się stało?

– Wiatr się stał, oto co się stało. Cały kilogram poszedł z wiatrem. Musieliśmy skurwiela puścić, bo nie było dowodów.

Tozzi oparł się łokciami na stole i uśmiechnął się. To było wtedy, kiedy McCleery zastępował go w parze z Gibbonssem. Podobno Gibbons omal go wtedy nie zabił, taki był wściekły.

Moscowitz wydmuchał dym w słuchawkę.

– Mógł to być po prostu głupi błąd. Pewnie McCleery ma własną wersję wydarzeń.

– Jeśli zadzwonisz do niego, żeby to sprawdzić, to nie zapomnij go spytać o to, jak odnalazł szczątki Jimmy'ego Hoffy\*.

\* Charyzmatyczny przywódca związkowy, który zaginął w do dziś nie wyjaśnionych okolicznościach. Przypuszcza się, że został zabity – przyp. tłum.

– Co?

– Głuchy jesteś? Szczątki Hoffy. McCleery ogłosił wszem i wobec, że od dłuższego czasu zajmował się tym na własną rękę i że na sto procent zlokalizował miejsce, gdzie ukryto zwłoki Hoffy. To miało być na zwierzęcym cmentarzu w Catskills. Wszystkie wielkie szchy z waszyngtońskich laboratoriów zjechały się na ekshumację. McCleery stał dumny jak paw, mówiąc wszystkim, co mają robić. Odkopali jeden grób, drugi, trzeci, czwarty, aż w końcu patolog, który był na miejscu poszukiwań, powiedział, że nie wydaje mu się, żeby tu były jakieś ludzkie kości. McCleery dostał szału, upierał się, że Hoffa tam leży. Chwycił jedną z toreb z zabezpieczonymi kośćmi i zaczął wrzeszczeć, że one są zbyt duże, żeby mogły należeć do zwierzęcia, i przysięgł na grób matki, że trzyma w ręku kawałek Jimmy'ego Hoffy. A wiesz, co trzymał? Święte szczątki dożycy o imieniu Daisy, ot co. Właściciele zwierząt, które tam leżały, podali potem FBI do sądu. Z powodu tego palanta musieliśmy wypłacać odszkodowania. – Tozzi pokręcił głową. To była najprawdziwsza prawda. Był przy tym.

– Tak, to wszystko jest bardzo zabawne, ale co to ma wspólnego z twoją sprawą? Mówisz, że partaczą robotę, ale na razie nie powiedziałeś mi jak.

– No dobra, a zabezpieczyli narzędzie zbrodni? Mnie zawsze uczono, że to pierwsza rzecz, którą należy zrobić w śledztwie o morderstwo, powiązać broń z podejrzanym. Ale oni nie mają tej broni. Chcą mnie oskarżyć

na podstawie kruchych poszlak. Jeśli ja przyszedłbym z takimi ustaleniami do mojego szefa, to wiesz, dokąd by mnie posłał?

– Taa, tyle że ty nie masz alibi. Powiedziałeś, że cały ranek siedziałeś w domu, tylko że nikt nie może tego potwierdzić. – Moscowitz się sadził, jakby coś wiedział.

– A widzisz, ciebie Augustine też przekabacił. Prokuratura może przeciw mnie prowadzić śledztwo, ale mimo to ja nie potrzebuję alibi dopóty, dopóki nie postawią mnie oficjalnie w stan oskarżenia. Obowiązek przedstawiania dowodów spoczywa na barkach prokuratury, nie obrony. To oni muszą pokazać narzędzie zbrodni. To oni muszą ustalić bezspornie, że byłem na miejscu przestępstwa w czasie, kiedy je popełniono. W ten sposób funkcjonuje prawo w tym kraju.

– Tak, tak, wiem o tym. No więc w czym rzecz? Dlaczego chcą cię wrobić?

– Myślę, że stałem się dla nich wygodnym kozłem ofiarnym. Kiedy zrobiłeś mi tę uprzejmość i wydrukowałeś to, co powiedziałem w sądzie, Augustine pewnie pomyślał, że może mnie utopić i w ten sposób uratować proces. Jeśli nie znajdą prawdziwego mordercy, wezmą mnie.

– Ale co Augustine ma do ciebie? Macie jakieś porachunki ze sobą? – Szczur zniemacka spuścił z tonu. Chciał wiedzieć więcej, złapał się na haczyk.

– Nie wiem, o co mu chodzi, jego się spytaj.

– Spytam.

*Wspaniale.*

Tozzi znów pomacał szwy.

– Jeszcze jedna rzecz, która nie daje mi spokoju, ale to ma zostać między nami, rozumiesz?

– Rozumiem, nie martw się.

– Dobra. Powiedzmy, że Augustine formułuje oskarżenie, wnosi sprawę do sądu, sam ją prowadzi i ja zostaję skazany. Moja głowa świetnie by wyglądała na jego ścianie, nie?

– Co masz na myśli?

– A to, że posłanie mnie do więzienia na pewno nie zaszkodziłoby mu w wyborach na burmistrza w przyszłym roku. Będzie zbierał głosy liberałów, i to przede wszystkim tych z mniejszości. Zapudłowanie mordercy z FBI na pewno przypadnie do gustu takim wyborcom. Nie sądzisz?

– Może.

Tozzi niemalże czuł, jak tamten łączywie chłonie każde słowo.

– Ale pamiętaj, to tak między nami. Na razie to tylko domysły.

– Nie martw się, zachowam to dla siebie.

Uśmiechnął się ironicznie.

*Akurat.*

– Dobra – rzekł Moscovitz – muszę teraz to posprawdzać, muszę znaleźć potwierdzenie z innych źródeł. Skontaktuję się z tobą.

– Dobra, pewnie. Sprawdzaj, wiem, jak to jest.

– Dzięki za telefon. Dobrze, że nie masz do mnie urazy.

– Absolutnie.

*Ty chuju jebany.*

– Zadzwoń na pewno, trzymaj się. – Szczur się rozłączył.

Tozzi siedział jeszcze chwilę bez ruchu, spoglądając na trzymaną w dłoni słuchawkę. Drugą ręką dotykał zszytego boku.

*A kiedy będziesz rozmawiał z Tomem Augustine'em, dupku, to pozdrów go ode mnie.*

## 20.

Zadzwoił telefon. Tozzi natychmiast otworzył oczy. Serce waliło mu młotem. W sypialni było ciemno. Spojrzał na czerwone cyfry na zegarze radia – 5:44. Wczesny ranek. Popatrzył na dzwoniący aparat. Kto to, do kurwy nędzy...? Wyciągnął rękę i chwycił słuchawkę.

– Halo?

Cisza. Ale ktoś tam był, po drugiej stronie linii, i słuchał.

– Halo? Kto mówi? – Położył dłoń na nagiej piersi. Serce tłukło się jak szalone. Pomyślał, że chyba ktoś umarł. W tej samej chwili natrafił palcami na szwy i przypomniał sobie, co się stało.

– Tuż przed północą zatelefonował do mnie Mark Moscovitz. – To był Augustine. – Poprosił, abym skomentował pewne nonsensy, których – jak twierdzi – ty mu nagadałeś. Przekonałem go, że to wszystko bzdury i że nie powinien się tym więcej zajmować.

Tozzi opadł na poduszkę i przez chwilę leżał nieruchomo, wsłuchany w nagłą ciszę w słuchawce. Zamrugał oczami, próbując zebrać myśli. Jakby podczas gry w szachy wsłuchiwał się w ciszę przed wykonaniem kolejnego ruchu.

– Przemyslałem sprawę gruntownie – odezwał się znenacka Augustine. – Jestem gotów zaproponować ci pewien układ.

– Skąd wiesz, że telefon nie jest na podsłuchu? – Tozzi odzyskał wreszcie głos.

– Wiem na sto procent, że ani McCleery, ani policja nie założyli



podśluchu. Jeśli zaś ty podłączyłeś magnetofon, to jestem przekonany, że zniszczysz taśmę, jak tylko usłyszysz, co mam ci do zaproponowania.

*Zadufany skurwiel, jak zawsze.*

– Jesteś pewny siebie.

Augustine zaśmiał się.

– To dlatego, że to ty uważasz się za bohatera, a bohaterowie nie mają wyboru. Muszą postępować właściwie. I ty właśnie tak postąpisz.

Tozzi zmarszczył brwi. O czym on, u licha, gada?

– Jeśli ja jestem bohaterem, to kim ty jesteś?

– Spryciarzem. – Chichot Augustine'a rozniósł się echem po linii.

*Ty fiucie.*

– No to co masz mi do zaproponowania? Czego chcesz?

– Wiesz, czego chcę.

Augustine nie miał zamiaru powiedzieć tego wprost. A może jednak obawiał się, że jest podśluch?

– Nie, Tom, nie wiem. Musisz mi powiedzieć.

– Wiesz, wiesz. Chcę mieć dywan.

Powiedział to bez wahania. Albo zidiociał zupełnie, albo musi być absolutnie pewien, że ma krytą dupę. Ale Tozzi wiedział, że Augustine nie jest głupi i dlatego mocno się zaniepokoił.

– Nie mam go – odparł.

– To go zdobądź.

– A jeśli to niemożliwe?

– Zdobędziesz go.

– Skąd ta pewność?

– Przecież jesteś bohaterem. Możesz zrobić każdą rzecz, jeśli walczysz w słusznej sprawie.

W słusznej sprawie? O czym on, kurwa, gada?

– Mówię ci, Tom, że go nie mam.

Augustine westchnął.

– No więc tylko załóżmy, że go masz. Hipotetycznie. Hm?

– Zakładaj sobie, co tylko chcesz. Nie mam go.

– Nie bądź taki, nie psuj zabawy. Nie będzie bolało.

– Chcesz powiedzieć, że nie aż tak, jak to pchnięcie nożem, które otrzymałem od tego tłustego patałacha wczoraj wieczorem, tak? To miałeś na myśli? – Tozzi podniósł się zbyt gwałtownie i naciągnął szwy.

– Nie wiem, o jakim „tłustym patafachu” mówisz.  
– Oczywiście, że nie.  
– Sarkazm nie przystoi bohaterowi, Mike.  
– No to pierdol się. Tak lepiej?  
– Twoja otwartość jest godna podziwu. – Ze słuchawki sączyła się ironia. – Ale nie zbaczajmy z tematu. Założyliśmy, że masz ten dywan, tylko teoretycznie, żeby cię rozbawić.

– Rzeczywiście, rozbawiłeś mnie.  
– I teraz, jeśli miałbyś ten dywan i przyjąłbyś moją propozycję, to chciałbym, żebyś go przywiózł do pewnego miejsca w ustalonym czasie.  
– Tak, a gdzie?  
– Do restauracji na Manhattanie. La Bell' Isola na Grand Street w Małej Italii. Wiesz, gdzie to jest?

Tozzi nie musiał odpowiadać. To lokal Salamandry, w budynku, w którym znajduje się też jego mieszkanie. Przypomniał sobie mapę Sycylii wymalowaną na szyldzie. Sycylia z tym czubem włoskiego buta, kopiącego ją jak piłkę.

– Halo, Mike? Jesteś tam? Nie usnąłeś chyba?  
– Słucham cię.  
– Już myślałem, że sobie kimnąłeś.  
– Powiedziałem, że cię słucham.  
– To dobrze, cieszę się. Bo tak między nami, to zazwyczaj ciężko ci to przychodzi.

– Dosyć tego, Augustine, odkładam słuchawkę, to jakieś pierd...  
– Nie, czekaj, nie rób tego. Nie radzę ci. Jesteś bohaterem, już zapomniałeś? Stracisz sposobność do okazania męstwa, jeśli nie usłyszysz ode mnie wszystkiego.

– Rzygać mi się chce na te twoje gierki.  
– A nie chciałbyś się dowiedzieć, kiedy miałbyś przywieźć ten dywan, zakładając, że go masz, oczywiście.

Tozzi westchnął.

– Dobra, kiedy?  
– Dziś o ósmej rano. Jeśli się spóźnisz, umowy nie było.  
– Jakiej umowy?  
– Umowa zostanie również przekreślona, jeśli zjawisz się z jakimikolwiek posiłkami. Pozwól twemu przyjacielowi Gibbonsowi się wyspać. Wygląda, jakby tego bardzo potrzebował.

- Jaka umowa?
- Nie musisz wrzeszczeć, nie jestem głuchy. Mówię o umowie, która podtrzyma twoje wyobrażenie o sobie jako o bohaterze, choć w rzeczywistości jesteś głupcem.
- Wiesz co, Augustine, prześpij się trochę, bo bredzisz coś bez sensu.
- Czyżby?
- Dlaczego miałbym ci dawać dywan? Nawet jeśli byłby u mnie? Masz na wymianę coś, co byłoby dla mnie równie cenne? Powiesz mi, że w zamian ukręcisz łeb śledztwu przeciwko mnie? O to chodzi?
- Nie, nie, wówczas w twoim postępowaniu nie byłoby nic bohaterkiego. To byłoby jedynie działanie we własnym interesie. Ze zbyt egoistycznych motywów jak na ciebie. No pomyśl, bohaterze. Pomyśl o jakimś bezinteresownym czynie, pomyśl w kategoriach miłości.
- Co?
- No, nie udawaj księdza. McCleery widział, jak wchodziłeś do mieszkania pani Halloran. Późne wizyty, ranne rozstania. Chyba nie zaprzeczysz?
- Grasz bez atutów. Jeśli nie masz nic na wymianę, to nie marnuj mojego czasu.
- Ależ owszem, mam. Zapewniam cię.
- Co?
- Zadzwoń do pani mecenas i spytaj ją.

Augustine odłożył słuchawkę. Tozzi mógł sobie wyobrazić jego lisi uśmiezek, z jakim to powiedział.

*Skurwiel.*

Rozbrzmiał ciągły sygnał i Tozzi opuścił słuchawkę na pierś. Co on miał na myśli mówiąc, żeby spytać Lesley? O co spytać? Musiało mu kompletnie odbić, że jeszcze ją w to wciąga. Czy myśli, że ona będzie siedzieć cicho? Nie ma mowy. Ale jeśli Lesley z nim rozmawiała, dlaczego nic nie powiedziała? Dlaczego nie zadzwoniła? Chyba że Augustine zadzwonił tu zaraz po telefonie do niej.

Uniósł się na łokciach i wziął aparat ze stolika. Zaczął wystukiwać jej numer, ale uświadomił sobie, że zapomniał o kodzie strefy. Zaczął od nowa. Odebrała po drugim sygnale.

- Halo? – Była na wpół śpiąca.
- Lesley, to ja, Tozzi.

– Co się stało? – jęknęła. Augustine chyba jednak do niej nie dzwonił, bo byłaby przytomniejsza. – Wiesz, która godzina? – Najwyraźniej była wkurzona. Tozzi modlił się, żeby Patricia się nie... O Jezu, nie.

– Lesley, słuchaj uważnie. Wstań z łóżka.

– Co?

– Wstań i sprawdź, czy jest Patricia.

– Co?

– Powiedziałem, żebyś wstała i poszła do pokoju Patricii. Sprawdź, czy ona tam jest.

– Dlaczego, co się stało? Mike? Mike, słyszysz mnie?

– Zrób, co ci mówię, szybko!

Rzuciła słuchawkę na łóżko, na koldrę w biało-czarną kratę. Tozzi dobrze znał jej sypialnię, rozkład całego mieszkania. Biegła teraz po gołej drewnianej podłodze do pokoju Patricii. Teraz pewnie otwiera drzwi i zagląda. W środku jest ciemno, tak jak u niego. Serce znów waliło mu jak młotem.

– Nie ma jej! Mike, Jezu, gdzie ona jest?! Mike, co się dzieje? Odlóż słuchawkę, muszę zadzwonić na policję! – Wpadła w histerię.

– Nie, nie, posłuchaj mnie. Lesley, słuchaj. Uspokój się. Odzyskamy ją.

– Ale jej nie ma! Nie ma jej! Muszę...

– Posłuchaj mnie przez chwilę. Odzyskamy ją. Nic jej nie zrobią, jeśli my zrobimy to, czego chcą.

– Ale, Mike... – Płakała i krzyczała, z trudem łapiąc powietrze. Tozzi czuł jej paniczny strach. – Nie ma jej... Kto zabrał moje dziecko?!

– Posłuchaj mnie, nie ma teraz czasu na wyjaśnienia.

– Ale...

– Żadne ale. Uspokój się. – Zerknął na zegarek; wskazywał 5:57. Miał dwie godziny i trzy minuty. – Posłuchaj, co ci powiem. Na skrzyżowaniu Drugiej Alei i St. Mark's Place jest całodobowa kawiarenka. Nazywa się „U Nestora”. Podjadę tam po ciebie za godzinę. Bądź tam. I nie wychodź z domu frontowymi drzwiami. Wyjdź od tyłu. Podjadę do tej kafejki o siódmej. Zrozumiałas?

– Tak... – Nadal łkała i Tozzi wcale nie był pewien, czy zrozumiała.

– Spotkamy się przy tej kawiarni. Aha, i nie bierz swojego pistoletu,

zostaw go w domu. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Będiesz miała córkę z powrotem, obiecuję ci to. Łkała niepoohamowanie, łapiąc ustami powietrze.

– Gdzie... ona jest?

– Powiem ci, kiedy się spotkamy. To zbyt skomplikowane, żeby ci teraz wyjaśniać. Muszę już kończyć. Aha, jeszcze jedno. Nie dzwoń do nikogo: ani na policję, ani do matki, ani do nikogo innego. Pamiętaj. To bardzo ważne, nikt nie może o tym wiedzieć. Powiedz, że zrobisz to, co ci powiedziałem,

– Zrobię, zrobię.

– Dobrze. Teraz muszę iść, ale wszystko będzie dobrze. Musisz w to uwierzyć. Nie zrobią jej nic złego, jeśli dostaną to, czego chcą.

– Ale jej tu nie ma! – Zanosła się tak żalonym szlochem, że Tozziemiu zebrało się na płacz.

– Lesley, zaufaj mi. Nikomu nie pozwolę skrzywdzić Patricii. – Przypomniał sobie strach w oczach małej, kiedy Augustine przemówił do niej podczas stypy. – Wszystko będzie dobrze. Muszę już iść, na razie, dobrze? Mamy mało czasu.

Odłożył słuchawkę, choć nadał płakała. Usiadł i spojrzał na zegarek. Jeszcze dwie godziny i dwie minuty. Odgarnął kołdrę i potarł twarz, ruszając do łazienki. Myślał o Augustine, o tym, co powiedział. „Pomyśl, bohaterze. Pomyśl w kategoriach miłości”.

Skąd on, kurwa, to wiedział? Nawet ja nie wiem, czy ją Kocham.

Wcisnął kontakt i ujrzał siebie w lustrze, nagiego i zaspanego. „Bohaterowie nie mają wyboru. Muszą postępować właściwie”. Patrzył na swoją twarz. Ciemne, wściekłe oczy.

Nie ma wyboru? Wyrwę ci serce, skurwysynu, i wepchnę do gardła, jeśli małej włos spadnie z głowy. Pasuje ci taki wybór?

## 21.

Gibbons wszedł do kuchni i podniósł słuchawkę. Przycisnąwszy ją ramieniem do ucha, otworzył lodówkę i wyjął karton soku pomarańczowego. Przed chwilą, kiedy wstał z łóżka po odebraniu telefonu w sypialni, wskoczył w spodnie, ale stopy miał bose. Marzły mu teraz od zimnego linoleum.

– Już – powiedział. – Więc ile mamy czasu?

– Powiedział, że muszę tam być o ósmej, inaczej umowy nie było. – Tozzi miał spokojny głos, ale Gibbons wiedział, że jest zdenerwowany. Bał się o córkę Halloran. I miał powody.

Zegar nad kuchenką pokazywał pięć po szóstej. Gibbons nalał sobie do kubka trochę soku i wyszedł z kuchni, naprężając sznur, żeby zajrzeć do sypialni. Lorraine leżała na plecach, na wpół przebudzona, zasłaniając ręką oczy. Przyzwyczała się do telefonów o najprzedziwniejszych porach. Wiedziała, że wszystkie są do niego, z FBI, i już jej tak nie przeszkadzały.

– Dobra, słuchaj, co ci powiem – rzekł, wracając do kuchni. – Zabierz dywan i jedź po Lesley. Wcześniej pokrąż trochę po mieście i upewnij się, że nikt za tobą nie jedzie. Dla gówna wartego osiemdziesiąt melonów ci jebani makaroniarze mogą się zabawić w Apaczów i zrobić na ciebie zasadzkę na środku Broadwayu.

– Nie martw się, pomyślałem o tym. Powiedziałem jej, że spotkamy się na mieście.

– Dobrze, ja natomiast zadzwonię do biura i załatwię wsparcie. Zanim się zjawisz, cały budynek będzie obstawiony.

– Augustine powiedział, że mam być sam. – Tozzi najwyraźniej nie był przekonany do planu Gibbonsa.

– Boisz się, że ktoś da mu cynk? Nie pękaj, sam wybiorę ludzi, tych, których znamy.

– Tak, ale jeśli on coś zrobi małej?

– Nic jej nie robi. Ona jest jego kartą atutową. Tak jak dywan jest twoją. Wrzuciłbyś go w ognisko?

– Nie.

– No widzisz.

– Dobra, dobra, masz rację.

– Zachowaj spokój. Twoja głowa w tym, żeby przywieźć dywan. O Augustine'a ani o makaroniarzy się nie kłopotcz, ja się nimi zajmę. Ty tylko dokonasz wymiany, odzyskasz dziecko. To jest najważniejsze. Najpierw mała musi być bezpieczna. – Przypomniał sobie Patricję, którą widział w dniu pogrzebu, jak kręciła się wśród dorosłych w tym zielonym stroju z aksamitu, pijąc poncz i chrupiąc ciasteczka. – A potem odstrzelimy skurwysynom jaja.

– Dobrze. – Tozzi najwyraźniej nadal miał wątpliwości.

– Ej, Toz, posłuchaj. Odzyskamy ją, nie martw się. Musisz w to uwierzyć.

– Próbuję.

– No dobra, marnujemy tylko czas. Jedź po ten dywan. Na razie.

– Na razie.

Gibbons odłożył słuchawkę i ruszył do sypialni, pijąc po drodze sok. Lorraine nadal leżała na plecach i zasłaniała oczy ręką.

– Kto to? – mruknęła.

Gibbons wciskał się w koszulę. – Tozzi.

Uniosła się na łokciu, mrużąc powieki.

– A co się stało?

– Nic, śpij.

– Powiedz mi, co się stało? – Patrzyła na niego badawczo.

Rozkleiłaby się zupełnie, gdyby jej powiedział, a wcale tego nie chciał.

– Tozzi depcze po piętach jakiemuś makaroniarzowi w Małej Italii, jednemu z kowbojów Salamandry. Mówi, że facet się dziwnie zachowuje, a on nie może nic zrobić, bo jest zawieszony. Potrzebuje mnie, żeby go zatrzymać. – Starął się to powiedzieć znudzonym tonem, żeby niczego nie podejrzewała.

– Aha. – Opadła na poduszki i ponownie zasłoniła dłonią oczy.

Uff.

Zawiązał buty i podniósł się, żeby wziąć krawat. Chwytał na chybił trafił jeden z wieszaka po wewnętrznej stronie drzwi do szafy i zawiesił go sobie na szyi. Może być byle który, i tak wszystkie są niebieskie. Kupował tylko niebieskie krawaty i białe koszule. Pasowały do wszystkich jego garniturów. To pozwalało łatwiej przeżyć każdy ranek.

Wyciągnął rękę i poszperał na górnej półce w poszukiwaniu excalibura, jego ulubionego kolta 38. Rewolwer był zawinięty w paski kabury. Odwinął go i założył uprząż. Usiłując nie robić hałasu, znów sięgnął ręką na półkę, tym razem po pudełko naboju. Modlił się, żeby nie trzeba było dodatkowej amunicji i żeby nie było tam Patricii.

Chwytał z wieszaka marynarkę i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą cicho drzwi. Włożył ją po drodze do kuchni i schował pudełko do kieszeni. Zdjął telefon ze ściany i zaczął wystukiwać numer dyżurnego w biurze FBI na Manhattanie, kiedy nagle poczuł na karku mocny ucisk czegoś zimnego.

– Kto rano wstaje, temu pan Bóg daje, Cuthbert.

Ucisk zelżał i Gibbons zdołał na tyle odwrócić głowę, żeby dojrzeć kątem oka niebieski metalizowany rewolwer. Nie musiał spoglądać na właściciela. Znał wazeliniarza aż za dobrze.

– Kurwa, co jest, McCleery?

– Jest rano, Cuthbert. A teraz bądź tak miły, odłóż telefon i stań przy szafce z rękami do góry.

Gibbons się wahał.

McCleery przekonał go dźgnięciem lufą w podstawę czaszki.

– Bardzo cię proszę – rzekł dobitnie.

Gibbons wykonał polecenie, usiłując sobie przypomnieć, jakie są wymogi uzasadnionego zabójstwa. Tymczasem McCleery odpiął mu kaburę i wyjął excalibura. Gibbons kipiał ze złości. Oprócz obłapienia Lorraine, największą hańbą, jaką ktoś mógł go okryć, było położenie ręki na jego broni. Wymogi uzasadnionego zabójstwa na pewno mają w tej sytuacji zastosowanie. Kiedy złapie skurwysyna za szyję, ze wszelkich sił postara się nie krzyzczeć z radości, ale nie może tego gwarantować.

– Połóż mój rewolwer i wypierdalaj z mego domu w try miga. Jeśli to zrobisz, to być może, ale tylko być może, cię nie zabiję.



– Ho, ho, ale jesteśmy groźni. Nie mów tak, Cuthbert, bo cały się trzęsę jak galareta.

– Ostrzegam cię.

– A ja cię aresztuję.

– Co?

Ponad ramieniem Gibbonsa, tuż przy jego twarzy, pojawił się złożony kawałek papieru. Agent nie musiał go czytać, żeby wiedzieć, co to jest.

– To nakaz, Cuthbert, od sędziego Morgenrotha.

– Zaraz pójde do kibla i zrobię z niego właściwy użytek.

– Nie bądźmy wulgarni, dobrze? Postaraj się zachować godność, jeśli nie z myślą o sobie, to przynajmniej z myślą o swojej połowicy.

– Pierdol się, McCleery, to wszystko gówno prawda.

– Ależ prawda, prawda. To owoc solidnie przeprowadzonego śledztwa, ot co. Widzisz, wbrew temu, co o mnie myślisz, znam parę sztuczek w naszym fachu.

– Tak, na przykład jakie?

– No cóż, jakoś udało mi się dostać do twojego domu tak, żebyś mnie nie usłyszał. A przy okazji, powinieneś zainwestować w jeden z tych zamków policyjnych, tych ze stalowym sworzniem. Dość łatwo poradziłem sobie z twoimi drzwiami. Musisz zainwestować w zabezpieczenie mieszkania, Cuthbert. Wiem, że jesteś twardziel, ale zrób to przynajmniej dla Lorraine. Nie będzie cię przez jakiś czas, żeby odstraszać włamywaczy.

– O czym ty mówisz?

– Widzisz, powęszyłem trochę tu i tam i natrafiłem na pewnego gościa w redakcji „Tribune”, fotografa, który pokazał mi niektóre ze swoich dzieł. Otóż miał bardzo interesującą serię twoich zdjęć, mój chłopcze. Wiadać na nich, jak się przechadzasz Mulberry Street, ale nie sam. Z kim, pytasz? Z Ugo Salamandrą. Pogaduszki we dwóch, podczas spaceru z pieskiem, z dwoma siepaczami za plecami. I kiedy pokazałem te śliczne fotki sędziemu, to... No cóż, szczerze mówiąc, krew go zalała. Najwyraźniej nie podobała mu się ich wymowa... to, że kumpel głównego podejrzanego w śledztwie o morderstwo Giordana, Marty'ego Blooma, Santiaga i Cooneya spaceruje sobie po ulicy z samym Cyrulikiem Sewilskim. Szczególnie poruszyło sędziego jedno zdjęcie, takie, na którym przechylasz głowę i

szepczesz coś do ucha Cyrulikowi. Uznał to za konszachty z szefem mafii bez wiedzy sądu. No i efektem tego wszystkiego jest nakaz aresztowania. Wypisał też jeden na nazwisko Tozziego, więc nie martw się, nie będziesz sam. Pewnie go teraz zwijają.

Gibbons przygryzł wargę. Modlił się do Boga, by Tozzi zdążył wyjść z mieszkania, zanim po niego przyjdą.

– Dobrze, Cuthbert, bądź tak miły i wyciągnij ręce do tyłu, żebym mógł ci założyć kajdanki...

– Co się tu dzieje? – Do kuchni, mrużąc oczy, weszła Lorraine, przytrzymując razem poły podomki.

Gibbons odwrócił się do McCleery'ego i, wciąż trzymając ręce w górze, spojrzał mu w oczy.

– Robactwo jest w domu.

– Dzień dobry, Lorraine. Miałem nadzieję, że cię nie obudzimy.

Odgarnęła włosy z twarzy i dopiero wówczas spostrzegła broń w dłoni McCleery'ego. Otworzyła szeroko oczy.

– Co ty robisz? Gibbons, co on tu robi?

– Mówi, że mnie aresztuje. Słyszałaś większą bzdurę?

– Co?! – wrzasnęła w panice.

– Przykro mi, Lorraine, ale niestety to prawda. Mam tu nakaz. Naprawdę mi przykro.

Lorraine, z dłonią na falującej piersi, wbiła wzrok w rewolwer McCleery'ego.

– Nie rozumiem. Dlaczego? Co on zrobił?

McCleery spuścił z tonu.

– Naprawdę bardzo mi przykro, ale wypełniam jedynie nakaz sądowy.

Gibbons wywrócił oczami i wykrzywił twarz w głupkowatym uśmiechu.

– *Jawohl*. Ja tylko wypełniam rozkazy.

McCleery popatrzył na niego.

– Czy muszę ci przypominać, Cuthbert, że wszystko, co powiesz, może być użyte przeciwko tobie? A teraz bądź tak miły, odwróć się i opuść ręce do tyłu. Szybko.

Gibbons obrzucił go spojrzeniem i odwrócił się powoli. Kiedy McCleery pociągnął mu ręce do tyłu, skrzywił się i syknął.

– Co jest, Cuthbert? Chyba mi się nie rozpłaczysz?

Gibbons pokręcił głową i podniósł powoli ramię.

– Zapalenie kaletki. Znów mi się daje we znaki.

– Starość nie radość.

Lorraine próbowała coś zrobić.

– Jimmy, czy naprawdę musisz zakładać mu kajdanki? Czy to konieczne?

– Taka jest procedura, on nie ma wyboru – odrzekł Gibbons, wciąż skrzywiony. – No, zakładaj je, przeżyję.

– Jimmy, proszę – powiedziała Lorraine z bólem.

– No dobrze, w takim razie skuję go z przodu. Czy to wytrzymasz, Cuthbert?

– Rób swoje, nie chcę żadnej łachy.

Lorraine była bliska płaczu.

McCleery westchnął, wściekły na Gibbonsa. Zapiął jedną obręcz na jego przegubie.

– Odwróć się, stary capie. – Chwycił Gibbonsa za marynarkę, obrócił go, po czym zatrzasnął kajdanki na drugiej ręce, z przodu. – Wygodnie?

– Tak, wspaniale. Teraz poproszę pina colada.

– Ale z ciebie dowcipas, Cuthbert. Chcę, żebyś wiedział, że robię to tylko dla Lorraine. Ciebie mam naprawdę gdzieś.

– Kurewsko miło z twojej strony.

McCleery zmarszczył czoło i obrócił się do Lorraine.

– Czy mogę skorzystać z telefonu? Muszę zadzwonić.

Spojrzała na męża. Gibbons spuścił powieki i skinął głową.

– Chyba tak... – odparła.

– Dziękuję. – McCleery zdjął słuchawkę, wystukał numer i, rozciągając sznur, wyszedł do przedpokoju, żeby porozmawiać na osobności.

– Co się, cholera, dzieje? – szepnęła Lorraine do Gibbonsa.

– Nie wiem, ale to jakaś bzdura.

– Co mam robić?

– Nie dzwoń do Tozziego, za późno już. Mam nadzieję, że wyszedł, zanim palanty McCleery'ego go dorwały.

Wyglądała na zdeorientowaną i wystraszoną.

– O czym ty mówisz?

– Później ci wyjaśnię.

McCleery wrócił do kuchni i zawiesił telefon na ścianie. Miał na twarzy ten swój szeroki uśmiech gównozjada.

– Masz szczęście, Cuthbert.

– Tak?

– Zanim zawiozę cię do aresztu, muszę jeszcze pokapować w Małej Italii. Nic wielkiego... Nie będziemy musieli nawet wysiadać z samochodu. Ale to będzie twoja ostatnia okazja, żeby zasmakować, jak działa prawo z tej dobrej strony, bo potem idziesz do pudła. Będziesz miał co wspominać.

– Jestem wzruszony.

– Lorraine, jeszcze raz chciałem cię przeprosić. Przykro mi, że odbyło się to w ten sposób.

Gibbons westchnął głośno.

– Dobra, dobra, idziemy? Flaki mi się wywracają od tej twojej nieokiełznanej irlandzkiej wrażliwości.

– Jesteś świętą kobietą, Lorraine. Nie wiem, jak udało ci się tak długo z nim wytrzymać.

Nawet go nie słuchała. Patrzyła żałośnie na Gibbonsa.

– Nie martw się – powiedział ten czule. – To jakaś bzdura, naprawdę.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Zarzuciła mu ręce na szyję.

– Kocham cię.

*O Jezu. Nie rozczulaj się przy nim.*

– Tak, ja też – mruknął w jej włosy.

– Idziemy. – McCleery pociągnął go za rękaw.

Lorraine z bólem serca oderwała się od męża. Nagły brak jej dotyku sprawił, że Gibbonsowi zrobiło się zimno i poczuł się samotny. Miał poczucie winy, że nie mówił jej częściej, iż ją kocha.

McCleery wyprowadził go na klatkę i ruszyli w milczeniu w dół marmurowych schodów starego budynku. Kiedy skręcali na półpiętrze, Gibbons zauważył, że McCleery znów ma uśmiezek gównozjada przyklejony na gębie.

– Co cię tak cieszy? – warknął.

– Tak sobie myślę.

– O czym?

– O twojej żonie, samej jak palec, bo jej mąż i kuzyn będą siedzieć do końca życia.

– Fantazjuj sobie dalej.

– Będę chyba musiał wpadać do niej od czasu do czasu. Wiesz, my, Irlandczycy, potrafimy rozweselać ludzi pogrążonych w smutku. Myślę, że Lorraine polubi moją wesołą naturę. Wiesz, co mam na myśli? – Oczy mu zabłyśły.

Gibbons stanął w pół kroku i popatrzył na niego. Gdyby spojrzenia mogły zabijać...

– Czy chciałeś coś powiedzieć?

Ugryzł się w język, choć mu się gotowało w środku.

*Nigdy, nawet za milion lat, ty chuju jebany. Nawet gdybyś był ostatnim fagasem na ziemi, ona by cię nie chciała.*

Ruszył w dół w milczeniu. Kiedy skręcili na niższym półpiętrze, spojrzeli do góry w kierunku swego mieszkania.

*Niechby tylko, kurwa mać, spróbowała.*

## 22.

Z samochodu widział śnieżynki wirujące nad pokrywą kanału na środku Grand Street. Drobne płatki tańczyły na przyciemnionej szybie, zamglonej parą unoszącą się ze stojącego na desce rozdzielczej kubka kawy. Augustine sięgnął po gorący napój i pociągnął kolejny łyk, lustrując wzrokiem pustą ulicę, zerkając obojętnie na białą furgonetkę o zardzewiałych drzwiach, zaparkowaną naprzeciw La Bell' Isola Ristorante. Ruch uliczny nadal był niewielki. Nieliczni nieszczęśni przechodnie walczyli z podmuchami wiatru, kuląc się z zimna. Augustine odstawił kubek i spojrzął na zegarek. Dochodziła za dziesięć ósma. Obok przetoczyła się ciężarówka i wiatr uderzył z jeszcze większą siłą. Śnieżynki zawirowały jak oszalałe. W samochodzie było spokojnie i ciepło. Augustine czuł się odizolowany, bezpieczny. Lubił to uczucie.

Widział ze swego miejsca srebrnego pontiaca McCleery'ego, zaparkowanego za przecznicą przy hydrancie przeciwpożarowym. McCleery przyjechał parę minut temu. A więc dotarła do niego informacja, że dziś rano coś się tu będzie działo. Augustine się uśmiechnął. To było sprytne posunięcie, zatelefonować z anonimową informacją z rana, kiedy w biurze nie było nikogo z wystarczającą ilością oleju w głowie, żeby mieć wątpliwości. Na wszelki wypadek zadzwonił z publicznego telefonu i nie było sposobu, żeby mogli wpaść na jego trop. Znów się uśmiechnął z za kubka, zastanawiając się, czy to on jest taki sprytny, czy cały świat taki głupi.

Na przednim siedzeniu obok McCleery'ego widział Gibbonsa.

Aparatu fotograficznego nie dostrzegał, ale nie martwił się tym zbytnio. McCleery był lojalnym narzędziem z długiej linii irlandzkich gliniarzy, którzy uwielbiali gderać i narzekać, ale gdy przychodziło co do czego, robili, co im kazano. Odznaczyli się przy tym mrówczą pracowitością. Jeśli się im pozwalało na kultywowanie romantycznych wizerunków samych siebie, wiary, że są znacznie mądrzejsi, niż byli w istocie, wywiązywali się z poruczonych im zadań z podziwu godną dokładnością. Augustine nie miał więc wątpliwości, że McCleery ma ze sobą aparat, że załadował nową rolkę i przykręcił obiektyw teleskopowy, że wszystko jest przygotowane jak trzeba. Po to właśnie tacy ludzie jak McCleery się rodzą. Żeby służyć.

Natomiast Gibbons to była zupełnie inna para kaloszy. Nie ma nic gorszego niż nie spełniający nadziei biały Amerykanin z dziada pradziada. Gibbons jak i inni jemu podobni, których Augustine spotkał w życiu, zdawał się rozsmakowany w swojej surowej egzystencji, odpowiadającej poziomowi życia ubogich warstw społecznych. W klanie Gibbonsów musiało być co najmniej parę osób, dla których był on bolesnym rozczarowaniem, szczególnie jeśli łączyło go pokrewieństwo z Gibbonsami z Pittsburga. Ten facet żył tak, jakby pochodził z mniejszości narodowej, a jednak między nim a ludźmi pokroju McCleery'ego czy Tozziego była podstawowa różnica. Gibbons nie piął się w górę jak emigranci, nie walczył o lepsze życie, o szacunek, dobrobyt, pozycję i tak dalej. Nie, Gibbons był jankesem, tak jak on. Miał gdzieś wspinaczkę na szczyty. Najwyraźniej status społeczny nic dla niego nie znaczył. Nie można go było skorumpować, przekupić, skusić czy złować na haczyk, albowiem w przeciwieństwie do dzieci emigrantów nie żył mrzonkami. Był po prostu tym, kim był – upartym, nieugiętym, bezkompromisowym osłem o purytańskiej moralności i przenikliwej percepcji. Straszliwe połączenie cech. Był ponad wszelkimi pragnieniami i marzeniami, ponad pokusą i korupcją. I to sprawiało, że był diabelnie niebezpieczny.

Z tyłu nadjechał wolno samochód i zaparkował obok auta Augustine'a. Też mercedes. Kierowca – mężczyzna z ciemnymi włosami – spojrzał na Augustine'a i gestykulując rękami zapytał, czy zamierza zwolnić miejsce przy krawężniku. Prokurator pokręcił głową i tamten się uśmiechnął, wzruszył ramionami i pojechał dalej. Augustine patrzył, jak samochód sunie powoli ulicą i w końcu parkuje w pobliżu restauracji Salamandry. Zauważył,

że to nowy model o smukłej linii w stylu Bauhausu. On sam miał trzyletnią czterystadwudziestkę. Mężczyzna wysiadł i Augustine zobaczył, że jest ubrany w białe workowate spodnie i białą bawełnianą koszulkę pod skórzaną kurtką. Facet wyglądał na dostawcę pizzy. Dostawca pizzy w nowiu-  
teńskim bajeranckim mercedesie? Dobry Boże, do czego doszedł ten kraj.

Z naprzeciwka nadjechała z hałasem rozklekotana furgonetka, wyglądająca, jakby wracała z wojny. Na boku widniał jakiś chiński napis, a tył miała otwarty. Była załadowana po brzegi drewnianymi skrzynkami i kosztami pełnymi tego świństwa, które sprzedają na chodnikach przy Mott Street w chińskiej dzielnicy. Augustine, nachmurzony, odprowadził wzrokiem znikający samochód.

Następnie przeniósł spojrzenie z powrotem na restaurację Salamandry. Stał pod nią samochód z numerami z New Jersey, jakiś czterodrzwiowy wóz nieokreślonej marki w niebieskim metalicznym kolorze. Znajdował się dokładnie naprzeciwko tej poobijanej białej furgonetki. Augustine natężył wzrok, żeby zobaczyć twarze siedzących w środku. Za kierownicą siedział Tozzi – to pewne – ale był tam ktoś jeszcze. Cholera, przecież ostrzegł go, żeby nikogo ze sobą nie brał. Niech go szlag!

W tej chwili ten ktoś nachylił się ku Tozziemu, wychodząc poza granicę światła odbijającego się od szyby, i Augustine rozpoznał twarz i krótkie jasne włosy. Lesley Halloran. Zachichotał. Ale głupia. No cóż, tym gorzej dla niej. Myślał, że ma trochę więcej oleju w głowie. Cóż, skoro już tu jest, będzie musiała pójść na dno razem z Tozzim. Może będą siedzieć w jednej celi. Ale to romantyczne.

Augustine tarł nieświadomie podbródek, zastanawiając się nad sytuacją, analizując nieoczekiwany element układanki. Czy obecność Halloran może wpłynąć niekorzystnie na rozwój wypadków i ostateczny rezultat? Chyba nie. McCleery zrobi zdjęcia Tozziemu, niosącemu dywan pod drzwi znanej wszystkim mafijnej meliny, co będzie ostatecznym dowodem bezsprzecznej współpracy z Sycylijczykami. Sędzia Morgenroth będzie miał związane ręce, kiedy je zobaczy. Zmowa funkcjonariuszy państwowych ukartowana przez chciwego agenta FBI nie będzie podlegała kwestii i sędzia będzie zmuszony unieważnić proces. Salamandra dostanie heroinę i zarówno on,



jak i jego ludzie będą wolni jak ptaki aż do momentu, kiedy rozpocznie się nowy proces. Do tego czasu będą mogli albo uciec za granicę, albo stawić czoło oskarżeniom, które Augustine osobiście zawikła do tego stopnia, że typowa ława przysięgłych, złożona z przedstawicieli „ludu”, będzie na tyle zdezorientowana, iż będzie wołała ich uniewinnić, niż łamać sobie głowy nad skomplikowanymi sposobami funkcjonowania prawa.

Udział Lesley Halloran może się nawet okazać darem niebios, kiedy się nad tym zastanowić. Ona i jej kochanek będą oczywiście twierdzić, że wcale nie dostarczali narkotyków na sprzedaż, ale że składali okup za małą Patricję. Tymczasem prokuratura będzie w stanie wykazać, że porwanie Patricji zostało ukartowane w celu zamaskowania prawdziwego charakteru transakcji. Jako że pani Halloran jest obrońcą oskarżonych, wszelkie zeznania, jakie złoży na temat rzekomego porwania, będą bardzo mało wiarygodne. Jedynie dziecko pewnie zezna, że zostało porwane w środku nocy przez obrzydliwego karła. Zabrzmi to jak bajka, jak okropny koszmar, który się jej przyśnił, i to właśnie prokuratura będzie utrzymywać. Nie mówiąc już o tym, że poradzenie sobie z takim dzieckiem w sądzie to frazaska.

Augustine uśmiechnął się uszczęśliwiony. Pójdzie lepiej, niż się spodziewał. To warte więcej niż czternaście milionów, ale nie zamierza się targować z Sycylijczykami. Czternaście milionów to aż nadto, żeby zasiąść w fotelu burmistrza.

Oparł głowę o zagłówek. Dzięki Bogu, że zdecydował się na wzięcie spraw w swoje ręce i zorganizował porwanie dziecka. Salamandra uważał przecież, że za mało się stara. Chciałby tylko zobaczyć jego minę, kiedy dostanie dywan. To ostatecznie przekona makaroniarza, że wart jest każdego centa z tych czternastu milionów. Patrzył gadzimi oczami na brudny samochód Tozziego i smakował brzmienie nowego tytułu: szanowny burmistrz Nowego Jorku, pan Thomas W. Augustine M... Burmistrz Augustine... Pan burmistrz.

Sięgnął po telefon i wystukał numer. Odebrano dopiero po czwartym sygnale.

- *Pronto?* – To jeden z szeregowców. Być może ten dostawca pizzy z mercedesa.
- Chcę mówić z szefem.
- Z kim? – Kretyn udawał, że nie rozumie.

- Z panem Salamandrą – powiedział Augustine ostrożnie.
- A kto mówi?
- Jego święty patron.

Chwila ciszy.

- Proszę zaczekać.

Z telefonem przy uchu, Augustine obserwował wysiadającego z samochodu Tozziego. Agent miał na sobie dzinsy i skórzaną kurtkę lotniczą. Dobrze. W takim ubraniu będzie wyglądał na zdjęciach jeszcze bardziej konspiracyjnie. Zaczął się przechadzać, zerkając dokoła w oczekiwaniu, że ktoś podejdzie.

Chwileczkę, Tozzi, jeszcze małą chwileczkę.

– Halo, kto mówi? – Sądząc po głosie, Salamandra nie był w najlepszym humorze.

- Obudziłem cię? Co jesteś taki zły?

- Kto mówi?

– Patron prawników. – Augustine wyrzucił to z siebie z takim samym sarkazmem, z jakim zawsze wypowiadał ten obrzydliwy pseudonim Salamandra.

- Ja pana nie znam, do widzenia.

– Czekać, nie odkładaj słuchawki. – Sycylijczyk najwyraźniej bał się podsłuchu, ale niepotrzebnie. Augustine wiedział, że nie wydano ostatnio żadnych nakazów inwigilacji mieszkań nad La Bell' Isola. – Czekać. Mam dywan.

Cisza. Typowa włoska nieufność w połączeniu z milczącą wrogością.

- Powiedziałem, że mam dywan. Chcesz go, czy nie?

Cisza.

– Posłuchaj, co ci powiem. Wiem, że mi nie ufasz. Uważasz, że cię zawiodłem, ale się mylisz. Zrobię wszystko, co obiecałem, a nawet więcej. Umawialiśmy się, że nie będę miał nic wspólnego z dostawczymi aspektami tej sprawy, ale jednak odzyskałem twój towar. Zamierzam również doprowadzić do unieważnienia procesu, musicie tylko ze mną współpracować.

Cisza.

Augustine dostał wypieków. Miał wrażenie, że zbyt dużo mówi, że za gęsto się tłumaczy. Potarł pulsującą skroń. Właściwie to nie powinien niczego wyjaśniać temu oprychowi zza morza. W końcu od kogo tu wszystko zależy? Kto jest mózgiem tego wszystkiego?

To on powinien mówić Salamandrze, co ten ma robić. W końcu to był jego pomysł, cholera jasna.

– Chcę, żebyś wybrał jednego ze swoich ludzi, bez którego możesz się obyć. Pod restauracją stoi zaparkowany niebieski samochód. Przy nim czeka Mike Tozzi. On ma dywan. Wyślij jednego ze swoich po niego.

– Ty nienormalny. – W śmiertelnie poważnym głosie Salamandry był jad.

– Nie, jestem normalny, absolutnie normalny. Trzymam Tozziego za jaja, więc on nie stanowi dla ciebie żadnego zagrożenia. Wyślij kogoś na dół, żeby wziął dywan, kogoś, kogo możesz poświęcić.

– Jak to poświęcić? Ja nie mam nikt poświęcić w mojej rodzinie. Ja dbam o rodzinę.

– Nie bądź głupcem, Ugo. Na dole czeka na ciebie czterdzieści kilogramów. Idź po nie, dlaczego nie chcesz?

Cisza.

– Pułapka – odrzekł wreszcie Salamandra. – Ti mnie oszukał. Policja tam ukryta. Czeka, żeby ktoś wyjść po dywan.

Augustine'owi zrobiło się bardzo gorąco. Co za skończony dureń.

– Nie ma żadnej pułapki. Nie ma policji. Jest tylko jeden facet, który pracuje dla mnie, i on nikogo nie będzie niepokoił. Jest sam, to część mojego planu.

– Jakiego planu? Mi robimy plan. Ti nie robisz planu. – Salamandra był wściekły.

– Posłuchaj mnie. Usiłuję uratować i twoją dupę, i twój towar. Ja. Jeśli jesteś na tyle dumny i głupi, że nie możesz przyjąć do wiadomości faktu, że ktoś może wykonać twoją robotę za ciebie, to idź do diabła.

– Głupi, ja głupi? Ti bierze dywan i przynosi tu, do mojego domu i ti mówi, że ja głupi? Ti głupi.

– Zapewniam cię, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Zrób to, co mówię, i to szybko. – Augustine zgrzytał zębami. – Wyślij kogoś po dywan. Sam przecież zostaniesz w domu. Jeśli będzie trzeba, załatwisz sobie później alibi. Facet, którego wyślesz, zostanie oskarżony, ale załatwię mu najniższy wyrok. W najgorszym razie odsiedzi od sześciu miesięcy do roku. Jestem pewien, że masz mnóstwo lojalnych ludzi, którzy z chęcią zrobią to dla ciebie.

Cisza. I nagle wybuch:

- A Tozzi? On jest z Efbijaj. On problem.
- Żaden problem. – Augustine odchylił głowę, zamrugał oczami i uśmiechnął się. Czekał na to pytanie. – Wyjrzyj przez okno, Ugo. Patrzysz?
- Tak.
- Widzisz tę starą furgonetkę zaparkowaną po drugiej stronie ulicy. Tę zardzewiałą?
- Tak.
- Pewnie z okna go nie widać, ale za kierownicą siedzi Nemo.
- Nemo!

Augustine z najwyższą rozkoszą usłyszał głębokie rozczarowanie w głosie Salamandry. Jeden z jego ludzi pracuje dla kogoś innego! To świadczyło o tym, że jego władza nad klanem nie jest aż tak absolutna, jak sobie wyobrażał.

- A widzisz coś jeszcze w furgonetce? Widzisz siedzenie obok kierowcy?
- Tak... – odrzekł Salamandra niepewnym, poważnym głosem.
- I co widzisz?
- Mała głowa, włosy blond. *Una ragazza*, dziewczynka. Na podłodze, z taśmą na usta.
- Tak, i pewnie ręce i nogi też ma związane. To córka twojej pani adwokat.

Milczenie było jak przepaść, ciche i złowrogie.

- Tozzi zgodził się już na wymianę: dziewczynka za dywan. Bo musisz wiedzieć, że jemu bardzo zależy na pani Halloran, więc zrobi wszystko, żeby tylko mała była bezpieczna.

Znów złowrogie milczenie.

- Zaufaj mi, Ugo. Pójdzie gładko, zadbałem o wszystko. Ty dostaniesz heroinę, a Tozzi skończy w pudle. Gwarantuję ci to. Minie co najmniej rok, zanim proces znów się rozpocznie i przez ten czas będę mógł dużo zrobić. Mogą zniknąć dowody, świadkowie mogą co nieco zapomnieć. Jest mnóstwo różnych możliwości.

Ale Salamandra nie słuchał. Gadał z kimś po włosku, mówił coś gorączkowo. Inne głosy zadawały krótkie, ostre pytania. Trudno było powiedzieć, ile osób naprawdę rozmawia. Najwyraźniej wszyscy byli zdeorientowani i Augustine'owi się to nie podobało. Dezorientacja wiedzie do

paniki, a to byłoby najgorsze. Muszą jak najszybciej wysłać kogoś po dywan, inaczej plan spełźnie na niczym. Tak go łupało w głowie, że musiał zmrużyć oczy. Trudno się spodziewać, że Tozzi weźmie dywan na ramię i zapuka do drzwi. Nie ma mowy. I nie wolno dłużej zwlekać. To jeszcze jeden krewki makaroniarz, popędliwy i skłonny do lekkomyślnych czynów. Salamandra musi się zdecydować, zanim Tozzi zrobi jakieś głupstwo. On może wszystko genialnie zniweczyć.

– Salamandra – szczechnął Augustine w słuchawkę, ale Włoch był zajęty, perorował coś do swoich małych ziomków. Cholera jasna!

– Salamandra!

Jezu drogi, dlaczego nie słuchają, co się do nich mówi? Heroinę mają w zasięgu ręki. Kozioł ofiarny stoi pod drzwiami i grzecznie czeka. McCleery jest z wycelowanym aparatem na posterunku. Brakuje tak niewiele, żeby ten cały proces diabli wzięli, tak niewiele.

– Salamandra, powiedz coś!

Nikt go nie słuchał.

– Salamandra!

Mimo bólu Augustine otworzył oczy. Piekielny świder znów kruszył mu czaszkę.

– Salamandra, odezwij się!

## 23.

Lesley wystawiła głowę przez okno w drzwiach samochodu. Tozzi myślał, że wyplakała już wszystkie łzy, ale teraz znowu zebrало się jej na płacz.

– Co się dzieje, Mike? Czekamy tu już piętnaście minut. Gdzie ona jest?

Tozzi próbował nie pokazać tego po sobie, ale sam zaczynał się niepokoić i ona to wyczuwała. Gdzie oni, cholera, są? Przecież chcą mieć towar – to jasne jak słońce. Augustine powinien był wszystko załatwić, ale może ma problemy z makaroniarzami, może próbują się nawzajem wykiwać. Kurwa ich mać, niedobrze. Już powinno być po sprawie, powinno pójść jak po maśle. Dziecko za dywan. Coś chyba jest nie tak. Miał nieprzyjemne przeczucie, że najbardziej ucierpi na tym Patricia.

– Mike, powiedz coś, na miłość boską! Gdzie oni są? Jesteś pewien, że to właściwy adres? – Lesley, roztrzęsiona, wychylała się na zewnątrz. Trzeba coś zrobić, tylko co?

Spojrzał na mieszkanie Salamandry. Na słupach telefonicznych nadal wisiały bożonarodzeniowe dekoracje – ogromne imitacje cukierków owiniętych srebrnymi girlandami. We wszystkich czterech oknach na trzecim piętrze poruszały się zasłony. Są tam i to co najmniej paru. Ale nic nie robili, tylko patrzyli. Tozzi wyraźnie czuł sprzęt, który miał na sobie. Broń promieniowała na skórę jak uran. Pod pachą, zakryta kurtką, beretta 92 w kaburze. Przy pasku ruger SP101, 38. Mały bauer 25 przy kostce. Razem dwadzieścia siedem naboí plus dwa pełne magazynki do beretty w kieszeni.

Tak, tylko ilu ich tam jest? Jaki mają arsenał? I co z Patricia i Lesley? Nie może przecież rozpocząć strzelaniny, kiedy one są w pobliżu. Kurwa mać. Musi być jakiś inny sposób, musi to załatwić inaczej.

Pokieruj ich jebanymi myślami. Kiedy na macie atakuje cię paru facetów, kierujesz ich myślami z korzyścią dla siebie, stwarzasz okazje i możliwości.

Tak, tylko że to nie są zajęcia aikido, oni tu nie stoją na macie. To jest Mała Italia, siły są cholernie nierówne i z pewnością nie będzie to walka wręcz.

Tozzi spojrział na umęczoną twarz Lesley i spróbował skupić myśli. Podobno zasady aikido mają zastosowanie we wszystkich sytuacjach i w przeszłości zawsze okazywały się skuteczne w taki czy inny sposób. Spokój i skupienie, oczekiwanie na atak, wykorzystywanie *ki*, a nie mięśni, pozytywne myślenie – przedtem działało to nieraz. Więc dlaczego teraz jest tak wytracony z równowagi? Czy dlatego, że to nie siebie ma bronić? Musi ochraniać Lesley i Patricię i właśnie przez ten fakt zaczyna kwestionować wszystko, czego mądrość Wchodu nauczyła go na temat stawiania czoła agresji. Czuł, że powinien mieć jakiś plan, że powinien pierwszy zadać druzgocący cios, zrobić coś, by ich dopaść, zanim oni zrobią ruch.

Ale może właśnie w tym tkwi problem. Łamie sobie głowę, żeby obmyślić jakiś plan, a to jest w niezgodzie z duchem aikido. Opracowywanie ataku jest aktem agresji, a agresja stawia człowieka w pozycji słabszego, albowiem angażuje się on w atak i się odstawia. Dlatego aikido jest skuteczne. Należy czekać, aż nastąpi atak, czekać, aż napastnik się zaangażuje i wówczas wykorzystać jego zaangażowanie, zrobić z nim, co się chce. Kiedy traci stan równowagi, wykorzystać przeciwko niemu jego własną siłę i w ten sposób pokonać go. Jego problem polega na tym, że w swoim myśleniu sprzeniewierza się zasadom aikido. Nie powinien się w ogóle martwić o żadne plany. Należy pozwolić im na pierwszy ruch i postępować stosownie do sytuacji. Niech ich akt agresji określi jego odwet. Trzeba mieć głowę otwartą, żeby wykorzystać nadarzające się okazje. Jasne, przecież to oczywiste.

Tylko że jest małe „ale”. Oni nie atakują. Nic nie robią. I mają Patricię. Co robić?

Tozzi spojrział na maskę swojego samochodu. A więc trzeba ich skłonić do ataku, trzeba pokierować ich myślami, ukazując im piękny, duży cel, to, na czym im zależy. To trzeba zrobić.

– Lesley, wysiadaj i pomóż mi.

Podszedł do tyłu samochodu i otworzył bagażnik. Lesley stanęła na chodniku.

– Co robisz?

– Zdaje się, że znaleźliśmy się w impasie. Może zapomnieli, czego chcą. Musimy im przypomnieć.

– Co?

– Słyszałaś ten dowcip, jak facet prowadził osła do wodopoju?

– O tym, jak bił go między oczy, żeby na niego spojrział?

– Tak, ten. Zwrócimy na siebie ich uwagę i pokierujemy ich myślami.

– Jesteś pewien, że wiesz, co robisz?

– Pomóż mi.

Tozzi zaczął wyciągać z bagażnika dywan, który wyglądał jak wielki jeżor. Złapał za jeden koniec, a Lesley, niechętnie, za drugi. Ścisnąc dywan pod pachą, zatrzasnęła klapę i ruszył w kierunku przodu samochodu.

– Przerzucmy go w poprzek maski – rzekł.

– Co ty robisz, Mike?

– Zaufaj mi.

Kiedy dywan znalazł się na masce, niczym olbrzymi wodorost przyczepiony do rekiniej paszczy, Tozzi zaczął go rozwijać.

– Rozwijaj z drugiej strony – powiedział do Lesley. Spojrzała zdumiona, ale zrobiła, co kazał. Po chwili dywan, nie rozwinięty jeszcze nawet do połowy, pokrył cały przód samochodu i spoczął na ziemi. Rekin miał teraz na paszczy purpurową zasłonę w misterny niebiesko-beżowy wzór.

Lesley pocierała ramiona, szcękając zębami.

– I co teraz?

– Zobaczymy, jak bardzo zależy im na narkotykach.

– A co, jeśli oni czekają, żeby zobaczyć, jak bardzo zależy nam na Patricii?

Tozzi wskazał ręką dywan.

– Pokazujemy im, że jesteśmy gotowi na wymianę. Co jeszcze możemy zrobić?



– Jesteś cholernie opanowany – powiedziała oskarżycielskim tonem.  
– Denerwowanie się nic tu nie pomoże, w ten sposób nie odzyskamy Patricii. – Z przyjemnością usłyszał, że jest spokojny, bo wcale się tak nie czuł, choć się starał. – Wsiądź lepiej z powrotem do samochodu, zamarniesz tu.

– Nie chcę. – Była wściekła.  
– Posłuchaj, tak naprawdę to w ogóle miało cię tu nie być. Augustine mówił, żebym był sam. Włóż do samochodu. W przeciwnym razie, powiedział, umowa będzie przekreślona.

„Przekreślona”. Tak właśnie się wyraził. Zabawne słowo. Nikt, kogo Tozzi znał, nie powiedziałby czegoś takiego.

Pieprzony snob.

Lesley rzuciła mu gniewne spojrzenie, ale wsiadła. Tozzi stanął przy reflektorze po jej stronie i oparł się o błotnik, twarzą do restauracji. Zasłony na trzecim piętrze podrygiwały. Przyjrzał się wielkiemu czerwonemu szyl-dowi, następnie utkwiał wzrok w wejściu na klatkę prowadzącą do mieszkań.

*No, szybko.*

Mijały minuty. Dwa TIR-y przetoczyły się obok jak grom, jeden za drugim. Portorykańczyk jadący furgonetką do przewozu mebli wrzasnął na Tozziego, że źle zaparkował. Tozzi zignorował go, nie odrywał oczu od wejścia do budynku. Nagle obok samochodu przystanąły trzy Chinki i zaczęły się przyglądać dywanowi. Tozziemu wydawało się, że jedna z nich pyta go, czy jest na sprzedaż, ale mówiła tak źle po angielsku, że nie był pewien. Na wszelki wypadek pokręcił głową i kobiety odeszły. Kiedy odprowadzał je wzrokiem, uświadomił sobie, że zrobiło się niezwykle cicho. Na ulicy nie było żadnego ruchu. Widział czerwone światła dwie przecznice dalej, słyszał dochodzące ponad dachami odgłosy miasta, ale w tej chwili na Grand Street było jak na cmentarzu, jakby czas się zatrzymał.

*Jezu Chryste, szybciej!*

Rozległ się klakson. Tozzi zerknął: światło zmieniło się na zielone. Niecierpliwa taksówka wyskoczyła zza jadącego przed nią samochodu, ruszyła ostro Grand Street i po chwili przemknęła obok niego. Kiedy znów spojrzął na wejście, zobaczył, że ktoś tam stoi, na pierwszym stopniu za drzwiami. Jakiś starszy mężczyzna.

Był niewysoki, śniady, chudy, pomarszczony, ubrany w ciemny garnitur, bez płaszcza, bez krawata, z koszulą zapiętą pod szyję. Tozzi patrzył na starca, zastanawiając się, po cholere Salamandra wysłał kogoś takiego. Jak on to udźwignie? Ale w tej samej chwili skupił spojrzenie na twarzy starca, na jego przenikliwych oczach i uświadomił sobie, kto to jest. Emilio Zucchetti, wielki szef mafii z Sycylii. Co jest, kurwa mać...?

Tozzi stanął wyprostowany przy samochodzie. Zucchetti stał i patrzył na niego, stał i patrzył. W oknach na trzecim piętrze zasłony były teraz szeroko rozsunęte. Tozzi widział tam twarze. Wydawało mu się, że dostrzegł na ułamek sekundy lufę karabinu.

Starzec zszedł ze stopnia i ruszył ku niemu.

Tozzi stał kompletnie zdezorientowany. Coś tu nie gra. Sam *capo di capi* wychodzi na ulicę, żeby się układać o dywan? Bez sensu. Szefowie nie robią takich rzeczy, nie mieszają się do tego. Stoją w bezpiecznej odległości i wydają rozkazy, wysyłają podwładnych, żeby odwalili brudną robotę. Tętno Tozziego biło rekord świata szybkości. Zerknął na okna. Niemożliwe, żeby to była pułapka. Przecież nie zaczną strzelać, jak Zucchetti jest na dole. To jakieś wariactwo.

Staruszek pokonał szerokość chodnika i wszedł na jezdnię. Nie patrzył już na Tozziego ani na dywan, lecz na coś po drugiej stronie ulicy. Minął z przodu samochód Tozziego, zupełnie nie zwracając uwagi na swoje czterdzieści kilogramów towaru wyłożone na masce, i zerknął w prawo i w lewo, czekając, aż przejadą samochody, żeby przejść.

Kurwa, to nie do wiary, pomyślał Tozzi. To jakaś sztuczka, nie może być inaczej. Ten cholerny starzec kierował jego myślami.

Zucchetti skulił się pod uderzeniami szalejącego wiatru i postawił kołnierz marynarki. Kosmyki siwych włosów fruwały nad jego głową. Ruszył na drugą stronę i podszedł do białej, zardzewiałej furgonetki, która stała tam jeszcze, zanim przyjechali. Stanął przy kabinie od strony pasażera, zajrzał do środka, po czym wskazał palcem na zamek, żądając najwyraźniej, żeby otworzono drzwi. W środku ktoś był. Tozzi zobaczył, jak jakaś postać przechyliła się z siedzenia kierowcy, ale nie mógł dostrzec twarzy. Srogi starzec wzniosł gwałtownie kciuk, żądając, aby ten ktoś wysiadł i podszedł do niego. Tozzi usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi, potem trzaśnięcie. Zza kabiny wyszedł jakiś mężczyzna. O kurwa. To ten Mały, ów tajemniczy karzeł ze zdjęć, ten, któremu zawsze udawało się być

plecami do aparatu, ten, którego nazywali „małym Nemo”. Facet wyglądał, jakby spał w ubraniu. Włosy miał potargane, nos czerwony, oczy zaspane i wystraszone. Wycierał rękawem zakatarzony nos i czoło. Trzymając jedną rękę na piersi, trząsał się z zimna, jakby chłód przeszywał mu kości na wskroś. Być może, miał grypę. Ale Tozzi był innego zdania. Między grypą a stanem Nemo jest subtelna różnica, którą potrafił dostrzec. Klasyczne objawy głodu narkotycznego.

– *Come sta*, panie Zucchetti, *come sta?* – Nemo kłaniał się i szurał nogami jak niewolnik na plantacji.

Staruszek patrzył na niego z kamienną twarzą. Karłowi zrzędała mina. Chwycił się za brzuch i zgiął w pół, jak po ciosie. Głód, nic innego.

– Proszę pana, mam, wie pan... – Oczy Nemo latały od dywanu do kabiny i z powrotem. – Możemy się z nim zamienić.

– Milczeć. – Szef wskazał palcem w bok, dając karłowi do zrozumienia, że powinien się odsunąć.

Nemo odskoczył jak zbity pies.

Staruszek otworzył drzwi i wsadził głowę do środka.

– O Boże – jęknęła Lesley.

Tam była Patricia. Leżała w tej kabinie cały czas, dziesięć metrów do nich.

Zucchetti podniósł ją z podłogi i posadził na siedzeniu. Odlepił szarą taśmę z jej nóg i przegubów rąk. Uspokajał ją, gładząc po policzku w ten sam sposób, w jaki Tozziego uspokajała jego babka, kiedy był mały. Pogładził włosy i zaczął odlepiać jej taśmę z ust, kiwając głową i mówiąc coś. Mała była tak bardzo przerażona, że nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Jej wylęknione usteczka ułożyły się w kształt litery „O”. Tozzi zerknął przez szybę na Lesley. Kiedy były przestraszone, były tak do siebie podobne, że serce się ścisnęło.

Staruszek objął małą mocno i uniósł ją. Trzymając ją w ramionach, z jasnymi włosami dziewczynki tańczącymi mu po twarzy, spojrział w prawo i w lewo, po czym ruszył na drugą stronę ulicy.

Tozzi słyszał, jak mruczy Patricii do ucha kołysankę. Stężał. Serce mu waliło, brzuch go bolał. Czekał, co się dalej wydarzy, wściekły, że stary lis

wywrócił wszystko do góry nogami. Zucchetti był wilkiem w babcinym czepku, niech go szlag. Chce go przechytrzyć. Tylko jak?

Zucchetti podszedł do samochodu Tozziego od strony kierowcy i chwycił za klamkę. Otworzył drzwi i delikatnie podał Patricję Lesley, która gwałtownym ruchem zamknęła córkę w ramionach. Kiedy mała objęła ją za szyję, jej twarz się wykrzywiła, a z oczu trysnęły łzy. Staruszek jeszcze raz pogłaskał dziewczynkę po głowie, a jego twarz roztopiła się w dobrotliwym uśmiechu. Jakby człowiek zobaczył uśmiech Borisa Karloffa \*.

\* Aktor filmowy, który grywał rolę Frankensteina – przyp. tłum.

– Nie wolno odbierać matce dziecka. – Zucchetti szukał rozjaśnionym spojrzeniem oczu Lesley. – Nigdy.

Lesley miała zaciśnięte mocno powieki, ale skinęła głową.

Staruszek wyprostował się, zatrzasnął drzwi, obszedł samochód z przodu i, nie zważając ani na Tozziego, ani na dywan, skierował się do domu.

– Proszę pana, proszę pana! – wrzasnął Nemo po drugiej stronie ulicy. Był zbyt wystraszony, by bez rozkazu swego pana ruszyć się z miejsca, ale chciał zwrócić na siebie uwagę. – Panie Zucchetti, dywan, co z dywanem?

Staruszek szedł dalej.

– Proszę pana, błagam. Dywan, dywan, ja muszę... muszę... – Po twarzy Nemo zaczęły spływać łzy. – Błagam pana. Ten drugi, święty patron, powiedział, że go odzyskamy. Dla mnie, to znaczy dla wszystkich, dla nas. Proszę pana, niech pan mi powie, co mam robić, proszę.

Zucchetti otworzył drzwi i wszedł do środka. Nawet się nie obejrzał. Szklane drzwi zamknęły się za nim.

– Panie Zucchetti, proszę, co ja mam robić? – Nemo wyrzucił z siebie to błaganie przez zaciśnięte zęby, po czym zwinął się wpół z bólu, płacząc i zawodząc.

Tozzi spojrział na niego, potem na dywan, na drzwi budynku, na Lesley z Patricia w samochodzie i, kurwa, w głowie mu się to nie mieściło. To jakiś sen, to nie może być prawda. Mają z powrotem Patricję, mają dywan, a on nawet nie ruszył palcem. Jak to możliwe? Jasne, Zucchetti nigdy nie zaryzykowałby położenia łapy na tym gównie osobiście, to rozumiałe.

Ale czy naprawdę ma zamiar odpuścić? A co on, Tozzi, ma z tym zrobić, zostawić na ulicy? Bał się pomyśleć, co się może stać, jeśli spróbuje z powrotem schować dywan i odjechać. Stary skurwiel miał łeb nie od parady. To on kierował myślami Tozziego. Tozzi nie miał zielonego pojęcia, co robić. Jezu Chryste!

– Mike! – Ze środka dobiegł go stłumiony okrzyk Lesley.

Tozzi spojrział na nią: gorączkowo wskazywała na coś po drugiej stronie ulicy. Stał tam Nemo, pochylony, ściskając się za brzuch. W drugiej ręce trzymał pistolet, wycelowany prosto w niego.

*O cholera.*

Nemo zamrugał oczami, pokręcił głową, zadrżał i krzyknął:

– Ej, ty. Dawaj mi tu, kurwa, ten dywan. Szybko!

Tozzi przycisnął łokieć do ciała i poczuł schowaną pod kurtką berettę. Zerknął na Lesley i na Patricię, potem na okna na trzecim piętrze. To nie miejsce na strzelaninę. Odetchnął głęboko i, nie spuszczać wzroku z Nemo, przeszedł na drugą stronę samochodu, podnosząc ręce i kiwając głową.

– Spokojnie, już idę! – zawołał. – Już ci go niosę. – Zwinął dywan, po czym zgiął go na pół i zarzucił sobie na ramię.

Cholerstwo było ciężkie i nie bardzo miał za co chwycić. Ugiął kolana, pochylił plecy, podrzucając ciężar na barkach. Poczuł, jak napinają mu się szwy w boku.

Kiedy ruszył z dywanem, sprawdzając, czy nic nie nadjeżdża, minęła go taksówka, a za nią pikap. Kierowcy pochowali łby. Pewnie dostrzegli ćpuna z giwerą. Tozzi przeszedł wyprostowany, wstrzymując oddech, na drugą stronę ulicy, do Nemo.

– Gdzie to położyć? – spytał, nie spuszczać karła z oczu.

– Do furgonetki. – Nemo stał w miejscu, jakby wrósł w ziemię, ale głos miał wściekły, a oczy mu płonęły.

– Drzwi z tyłu są otwarte?

– Co?

– Drzwi masz otwarte?

Dopiero po chwili Nemo zrozumiał, pokręcił głową i machnął pistoletem, nakazując Tozziemu, żeby ruszał. Tozzi podszedł do tyłu furgonetki. Nemo próbował zmusić swoje szarpane skurczami nogi do ruchu. Pistolet latał mu w wyciągniętej ręce, jakby żył własnym życiem.

– No to ci się udało, nie?  
– Co? – Głos karła przemienił się w jakiś nieludzki, metaliczny warkot.

– Najwyraźniej Zucchetti nie chce tego gówna, więc jest twoje.

Nemo pokręcił głową i mruknął coś, czego Tozzi nie zrozumiał.

– Chyba ci starczy na całe życie, nie? A nawet dłużej. Facet, ja na twoim miejscu wziąłbym to i zniknął. Udało ci się.

– Zamknij się. – Nemo, nie spuszczać oka z Tozziego, usiłował włożyć kluczyk w zamek. Mrugał i krzywił się, z twarzą jak otwarta rana.

– Tak, udało ci się, że nie wiem. Całe to gówno jest twoje. Już nigdy więcej nie będziesz się martwić o działkę.

– Zamknij się, bo cię zabiję! – wrzasnął Nemo. Był to przejmujący, dziki, umęczony krzyk, krzyk rannego zwierzęcia.

– Ale trochę możesz sprzedać, nie potrzebujesz wszystkiego. Zarobisz kawałek grosza. Osiądziesz gdzieś, kupisz sobie ładny domek, gablotę – co tam gablotę, dziesięć gablot. No i szprotki, takie co to lubią facetów z kasą. Wiesz, co mam na myśli, nie? Ale ci się udało, Nemo.

– Co?

Tozzi rzucił dywan. Zwój upadł na chodnik u stóp karła. Nemo spojrzął w dół; pistolet w jego dłoni zwił bezwładnie. Tozzi chwycił go za przegub, podbił rękę do góry, po czym złapał go za kurtkę, obrócił i trzasnął nim o furgonetkę, przyciskając uzbrojoną rękę do metalowych drzwi. Nemo nie stawiał oporu. Wszystko rozegrało się dla niego zbyt szybko. Pistolet upadł ze szczękiem na chodnik i Tozzi przygwoździł go stopą. Nemo potknął się i zachwiał, po czym runął jak kłoda prosto na dywan, z rozpostartymi ramionami. Ślinił się, ściskając przedmiot swego pożądanego. Wyglądał jak przegrzany, dziwaczny, gówniany robot. Tozzi sięgnął po beretkę, ale się rozmyślił, przypomniawszy sobie o makaroniarzach filujących z okien. Popatrzył na Nemo i pokręcił głową. W obecnej sytuacji nietrudno było kierować jego myślami. Nietrudno? Dziecinnie łatwo.

Kopnął pistolet pod furgonetkę i zastanowił się, czy sprowokuje makaroniarzy, jeśli wyciągnie kajdanki. Ale zanim się zdecydował, usłyszał głośny trzask i zgrzyt metalu o metal, a następnie pisk opon. To w górze ulicy. Czarny mercedes pośpiesznie opuszczał miejsce przy krawężniku, taranując samochód z przodu i z tyłu, wyciskając ostatnie poty z silnika,

paląc gumy, szamocząc się niczym byk w ciasnej zagrodzie. Kiedy się w końcu wyrwał, popędził szaleńczo Grand Street, zostawiając po sobie ślady opon na asfalcie.

Nagle Tozzi usłyszał za plecami warkot innego samochodu. Obrócił się i zobaczył srebrnego pontiaca, jak gwałtownie wyjeżdża na środek jezdni, ociera się niebezpiecznie o samochody stojące po drugiej stronie ulicy, po czym łapie kurs i rusza w pogoń za mercedesem. Pomknął za nim jak strzała.

Tozzi zmarszczył brwi. Nie, to niemożliwe. Naprawdę siedział tam Gibbons, czy tylko mu się zdawało? Gibbons z McCleerym za kółkiem. Niemożliwe, cholera, co oni mogliby robić razem w jednym samochodzie?

Odprowadził wzrokiem pędzące samochody, po czym zerknął na okna mieszkania Salamandry. Do szyb przyklejonych było z dziesięć makaroniarskich twarzy, usiłujących dojrzeć przebieg pościgu.

## 24.

**Z**abieraj tę swoją pieprzoną nogę z gazu, Gibbons!

– Patrz przed siebie, dupku, bo kogoś przejedziesz.

McCleery siedział wciśnięty w fotel, trzymając kurczowo kierownicę obiema rękami. Był biały jak ściana, oczy wychodziły mu z orbit. Gibbons, wciąż skuty kajdankami, siedział tuż obok niego na ręcznym hamulcu, wciskając stopą pedał gazu. Wskazówka pokazywała, że jadą siedemdziesiąt mil na godzinę.

– Skurwielu, zabierz tę nogę!

– Zamknij się i jedź za mercem. Nie zgub go.

– Jesteś pieprznięty!

– A ty myślisz, że jesteś taki as śledczy, McCleery? Pokażę ci, kurwa, co znaczy być dobrym stróżem prawa. Jedź!

Mercedes wpadł w zakręt, ruszając w kierunku Bowery. Gibbons warknął i zwolnił odrobinę nacisk stopy na pedał.

– Skręcaj za nim!

McCleery nie usłuchał, więc Gibbons chwycił kierownicę obiema rękami i skręcił. Samochód wpadł z piskiem opon w zakręt, o mało nie zmiotając z drogi taksówki. Smród palonej gumy wypełnił wnętrze samochodu. Gibbons wcisnął znowu gaz do dechy i McCleery nie miał innego wyjścia, jak tylko kierować, jadąc slalomem na złamanie karku między samochodami i zaskoczonymi przechodniami.

– Jezu, Gibbons, rozjedziemy kogoś!



– Nie bądź cipą, McCleery. Jeśli masz kogoś rozjechać, to niech to będzie właściwa osoba.

– Boże, mam do czynienia z wariatem. Kto jest w tym mercedesie?

– Jesteś taki głupi, czy tylko udajesz? Przecież to gabłota twojego szefa.

– Toma Augustine'a? Jezu Chryste, to dlaczego my go gonimy?

– A dlaczego on ucieka? Najwyraźniej ma coś na sumieniu. Porwanie to nie to samo, co przejście ulicy na czerwonym świetle, i on o tym wie.

McCleery w ostatniej chwili odbił w bok, żeby nie przejechać ulicznego sprzedawcy pchającego wózek z kasztanami i preclami. Gibbons nie sądził, żeby facet mógł jeszcze bardziej zblednąć, ale się mylił.

– O Boże najmilejszy...

– Nie mieszaj w to Boga i uważaj na tego świra na rowerze.

McCleery szarpnął kierownicą tuż przed jadącym środkiem jezdni gońcem. Zarzuciło tył samochodu i uderzyli w białego cadillaca, który akurat chciał się włączyć do ruchu. Rozległ się głośny trzask.

– Jezu przenajświętszy, Gibbons! Dopiero co go kupiłem!

– Jesteś ubezpieczony, on też. Jedź.

– Cholera, dosyć tego.

McCleery sięgnął pod marynarkę i wyciągnął pistolet, ale Gibbons chwycił go za rękę i szarpnął nią do góry. Broń wypaliła i kula przeszła dach.

– Uważaj! – krzyknął Gibbons.

Jakiś idiota wyjechał na jezdnię prosto przed nich. McCleery wcisnął klakson kolbą pistoletu, skręcając gwałtownie na pas przeciwległego ruchu, wprost pod nadjeżdżający autobus. W ostatniej chwili wcisnął się przed blokującego ich durnia, ocierając się całą długością auta o autobus. Zgrzyt ranił uszy, ale Gibbons nie zwracał na to uwagi; był zajęty rozbieraniem kierowcy. W końcu, mimo że był skuty, udało mu się wyrwać pistolet, bo McCleery musiał się skupić na kierowaniu.

Zacisnął zęby. Lepiej, kurwa, żeby Tozzi miał rację. Bo jeśli Augustine jest niewinny... Lepiej było o tym nie myśleć.

McCleery patrzył wytrzeszczonymi oczami to na drogę przed sobą, to

na lufę własnego pistoletu, zaglądnącego mu prosto w twarz.

– Okłamałeś mnie, skurwielu! Powiedziałeś, że masz zapalenie kaletki. Skułem cię z przodu z litości, a ty jesteś zdrowy jak byk!

Gibbons parsknął śmiechem.

– Jesteś durniem, McCleery. Zawsze nim byłeś i zawsze będziesz.

– Będziesz się smażył w piekle.

– Ale nie sam.

Mercedes skręcił znowu, wjeżdżając z piskiem opon w Canal Street. Przechodnie na pasach rozpięzchli się na boki, ratując życie.

– Za nim!

Tym razem McCleery usłuchał i skręcił. Ulica była zakorkowana, jak zwykle w czasie porannego szczytu, ale mercedesowi to nie przeszkadzało. Wjechał z pełną szybkością między dwa pasy, odrzucając na boki pojazdy po obu stronach. Wściekli kierowcy wyskakiwali z samochodów i machali pięściami za czarnym bykiem, który szarżował dalej.

– Gaz! – wrzasnął Gibbons, wciskając klakson, kiedy McCleery wjechał na przetartą przez mercedesa ścieżkę.

Jakiś oburzony mężczyzna w dwurzędowym garniturze wyszedł na środek drogi, najwyraźniej nie zamierzając ustąpić. Gibbons pokazał przez szybę kolbę pistoletu.

– Zjeżdżaj, dupku! – wrzasnął. Strzelił przez dach i dzielny biznesmen zanurkował za maskę jakiegoś pojazdu. Wcisnął pedał gazu i ruszyli z nowym impetem, przedzierając się przez żelazny gąszcz, odrywając powyginane zderzaki i rysując wgniecione już drzwi samochodów napoczętych przez uciekiniera.

Kiedy mercedes wymusił pierwszeństwo na skrzyżowaniu i wjechał w Mulberry Street, wyglądał jak skopana puszka piwa. Tu też był ścisk, ale byk pędził dalej. Szarżował jak rugbista, odrzucając pojazdy na prawo i lewo, na zaparkowane przy chodnikach samochody, wyrąbując sobie drogę w sercu Małej Italii.

– Jazda, za nim! – Gibbons wbił McCleery'emu lufę w kark.

Ten nawet się nie zawahał. Wcisnął gaz i popędzili wśród zgrzytów i trzasków metalu.

*Toż, przysięgam na Boga, że jeśli to jedna z twoich gównianych kowbojskich fantazji, to cię zabiję.*

Kiedy znów dojechali do Grand Street, ruch uliczny wyraźnie się zmniejszył. Kierowcom udawało się uciec z drogi szalonemu mercedesowi. Za Grand Street Mulberry była już pusta. Jedynym poruszającym się w zasięgu wzroku pojazdem była śmieciarka zbierająca śmiecie za następną przecznicą. Widząc pustą drogę, mercedes pomknął jeszcze szybciej. Gibbons zagryzł wargę. Jeśli Augustine teraz im umknie, to zniknie w jakiejś bocznej uliczce, porzuci samochód i pojedzie metrem. Potem powie, że ukradli mu merca, powie cokolwiek. On jest białym rycerzem bez skazy w służbie prawdy, sprawiedliwości i amerykańskiego sposobu życia. Pan Porządny. Uwierzą we wszystko, co powie. Nie ma mowy, nie tym razem. Gibbons wcisnął pedał do samej podłogi, wbił McCleery'emu do oporu łufę w kark i przysunął usta do jego ucha.

- Jeśli go zgubisz, umrzesz. Przysięgam na Boga, że to zrobię.
- Bądź rozsądny, Cuthbert.
- Pierdolę rozsądek. Zrobię to choćby dlatego, żeby cię utrzymać z daleka od mojej żony.

McCleery poruszał ustami, ale nic nie mówił. Ominął ostatni obity przez mercedesa samochód, po czym odkręcił kierownicę w samą porę, by uniknąć wizyty w pizzerii. Przejechali na czerwonym świetle przez Grand Street. Przez dłuższą chwilę ścigały ich wściekłe klaksony, kiedy tak mknęli w pogoni za mercedesem.

- Łap go, teraz!

Z przednich opon mercedesa szedł dym. Pogniecione błotniki najwyraźniej ocierały się o koła, spowalniając jazdę. Nagle od samochodu odskoczył dekiel i Gibbons zobaczył, że jedna z opon siadła. Augustine jechał na obryczy, rzucało nim na boki, ale nie dawał za wygraną.

Gibbons też nie.

Kiedy zaczęli wyprzedzać mercedesa, zerknął przed siebie, na śmieciarkę. Jeden z robotników wrzucał suchą choinkę z kawałkami waty w żelazne szczęki ciężarówki. Gibbons, nie zwalniając nacisku na pedał, chwycił kierownicę.

- Bierz go! – krzyknął i szarpnął kierownicą w lewo, tak że jechali

bok w bok z mercedesem. Zerknął przez okienko. Ten widok zapadł mu głęboko w pamięć. Augustine prawie leżał na kierownicy, którą trzymał zaciśniętymi pięściami. Jego twarz wykrzywiona była grymasem wściekłości, miał zaciśnięte zęby i obnażone dziąsła, błyskał białkami oczu – rozszalały demon jadący na byku prosto z piekieł.

Gibbons szarpnął mocno kierownicą w prawo. Uderzyli w Augustine'a – trrach! – aż rzuciło nim w bok. Nad maską, po szybie latały iskry. Metal prosił o litość. Śmieciarze rozbiegli się. W ostatniej sekundzie przed zderzeniem Gibbons obrócił się w fotelu i, puściwszy kierownicę, wyciągnął ręce przed McCleery'ego i chwycił jego zagłówek, żeby ochronić ich obu. Huk był ogłuszający – rozbite szkło, rozdarty metal, uchodząca para.

Kiedy podniósł głowę, zobaczył, że maska pontiaca przecięta jest rogiem kosa samowładowawczego śmieciary. Czarny nos byka został zgnieciony, wbity w ciężarówkę. Gibbons zerknął w bok, myśląc, że ujrzy Augustine'a leżącego na kierownicy, z krwawiącą głową. Ale demon szalał dalej. Był teraz na tylnym siedzeniu i właśnie próbował wydostać się oknem.

Udało mu się i zaczął uciekać. Utykał i potykał się, ale biegł szybciej i bardziej zdecydowanie, niżby można było się spodziewać po tak dobrze ubranym mężczyźnie.

Gibbons nawet nie próbował otworzyć swoich drzwi. Były wbite w mercedesa. Dźgnął pistoletem McCleery'ego w zębra.

– Wsiadaj, szybko. Biegnij za nim. Chcesz łapać przestępców? To śpiesz się, bo jeden ci właśnie ucieka.

– Tobie odpiardoliło!

Gibbons odbezpieczył broń.

– Mój stan psychiczny nie ma tu nic do rzeczy. No, łap go. Jeśli Augustine ucieknie, wskażę cię jako jego współnika.

– Dobra, dobra, już. – McCleery próbował otworzyć drzwi, ale były zablokowane.

– Wyjdź tyłem – powiedział Gibbons.

McCleery precyzyjnie się między fotelami na tylne siedzenie i podważył ramieniem klapę.

Gibbons przechylił się przez oparcie.

– Biegnij, McCleery, biegnij jak sto skurwysynów. Jeśli nie złapiesz

go w ciągu dwudziestu sekund, strzelę ci w plecy. Szybko!

*I módl się, żeby Tozzi miał rację.*

McCleery skinął głową, srając po nogach ze strachu. Wiedział, że Gibbons nie żartuje. Wygrzebał się z samochodu i ruszył biegiem za Augustine'em. Potknął się, upadł, ale zaraz wstał. Gibbons przyglądał się pościgowi przez zbitą szybę.

*Szybciej, McCleery, Augustine jest miękki. To bogaty flak. Pokaż mu swoją etniczną wyższość, przecież jesteś Irlandczykiem. Gazu! Wygraj ten bieg dla Reagana, ty głupi irlandzki chuju.*

Augustine biegł, jak biegnie do kibla facet, którego przycisnęło. Miał długi krok, ale twardo stawiał stopy. Najwyraźniej od dawna nie biegał. Gibbons był zdumiony, bo myślał, że Augustine uprawia jogging, w butach sportowych za sto dolców.

McCleery natomiast biegł jak gliniarz goniący kieszonkowca, głowa odchylona do tyłu, pierś wypięta. Był starszy od Augustine'a, ale wiedział, jak to się robi, pewnie dlatego, że miał w sobie krew policjantów. Większość Irlandczyków ją ma. Chyba że kończą jako handlarze bronią dla IRA. Ci faceci mają bieganie w genach. McCleery szybko pokonał odległość dzielącą go od szefa i dopadł go nie dalej niż czterdzieści metrów od śmieciarki.

Gibbons precyzyjnie się na tył, wyskoczył na zewnątrz i ruszył za nimi. Musiał dopilnować, żeby McCleery zrobił wszystko, jak należy.

Kiedy znalazł się przy nich, obaj dyszeli i sapali. Augustine siedział na tyłku na ziemi, a McCleery klęczał.

– Trzeba unieszkodliwić podejrzanego, McCleery. Czy muszę ci wszystko mówić?

McCleery spojrział na niego jak pies błagający o litość. Gibbons wycelował do niego z pistoletu.

– Powiedziałem, żebyś unieszkodliwił podejrzanego.

McCleery skinął głową i podpełził na czworakach do Augustine'a, który rzucił mu piorunujące spojrzenie. Irlandczyk wyglądał żałośnie. Bał się szefa jak uczeń dyrektora szkoły.

– No dalej, McCleery. Powinieneś wiedzieć, jak to się robi.

Podnieś go, postaw pod ścianą. Obszukaj go i przeczytaj mu jego prawa. Ręce na kark. No już.

Augustine wykrzywił twarz.

– Nie dotykaj mnie – rzekł. Wymówił dobitnie każde słowo, pocierając dłonią policzek.

Gibbons wycelował w niego pistolet.

– Zamknij się, drogi prokuratorze. Cokolwiek powiesz, zostanie wykorzystane przeciwko tobie.

– Gryziesz za duży kęs, Gibbons, udławisz się.

– A ty stawiasz opór. Uważaj, żebyś mnie nie sprowokował.

– Ej, Cuthbert – wtrącił się McCleery – zachowujmy się rozsądnie, dobrze?

– Nie.

Augustine podniósł się i otrzepał palto, zerkając na pistolet w skutych rękach Gibbonsa. Skrzywił się i popatrzył mu w oczy.

– To będzie bardzo trudne, ale zrobię dla ciebie, co będę mógł. – Z trudem wymawiał słowa. – Za taką jazdę staniesz przed sądem za piractwo drogowe, tego nie da się uniknąć. Co dalej, zobaczymy. A teraz odłóż broń, zanim dojdzie do aresztowanie urzędnika państwowego pod fałszywym zarzutem.

Gibbons wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Pierdol się, McCleery, rób swoje.

Ale McCleery bał się tknąć swego szefa.

– Słuchaj, McCleery, nienawidzę cię jak zarazy, ale nie będzie mi miło, kiedy taki niewinny złamas jak ty runie z wysoka razem ze swoim panem. Ty mnie też nienawidzisz, ale wiesz, że nie kłamię. Twój szef jest trefny, naprawdę trefny. Siedzi w kieszeni makaroniarzy. Jest też zamieszany w porwanie. Pójdzie na dno, co do tego nie ma wątpliwości. Jest tylko pytanie: pójdzie tam sam, czy pociągnie ze sobą ciebie.

– Nie słuchaj tego śmiecia, Jimmy. Zmyśla to wszystko na poczekaniu. Błefuje.

– Masz do wyboru, McCleery. Albo natychmiast go aresztujesz, albo później zostaniesz aresztowany razem z nim. Wybieraj.

– On cię nabiera, Jimmy. To wszystko kłamstwa, on chroni swojego kumpla, Tozziego. – Augustine wreszcie zapanował nad mimiką twarzy. Znowu mówił jak księżę.

McCleery patrzył to na jednego, to na drugiego, zdezorientowany i zagubiony. Nagle się zdecydował, ot tak, po prostu. Widać to było po jego minie.

- Przykro mi, proszę pana. – Zrobił krok w kierunku szefa.
- Stój! – Ręka Augustine'a wskoczyła do kieszeni palta.
- Nie próbuj! – krzyknął Gibbons, obracając się ku niemu błyskawicznie. Wycelował mu prosto w twarz. Coś wypadło z ręki Augustine'a i stuknęło o chodnik.

Gibbons stanął na tym nogą, wbijając Augustine'owi lufę pistoletu w policzek. Zerknął na broń pod stopą.

- Wiskaj go. Założę się, że ma jeszcze jeden taki.

McCleery już się nie zastanawiał. Gibbons jeszcze raz spojrzął na pistolet. Plastikowa spluwa, glock 19. Tak właśnie wnosił z odgłosu, jaki wydała przy upadku.

McCleery wytrzeszczył ze zdumienia oczy. Znalazł w kieszeni Augustine'a jeszcze jednego glocka.

Gibbons odetchnął.

*Dzięki Bogu, Tozzi miał rację.*

– Dwa sześciostrzałowce, McCleery – powiedział. Rzucił specjalnemu oficerowi śledczemu spojrzenie, które znaczyło „a nie mówiłem?”

McCleery był bardzo poważny.

- A więc rewolwerowiec, tak jak mówiłeś.

Augustine był błydy jak ostryga na talerzu łakomczucha.

– Uważaj na niego, Cuthbert. – Irlandczyk wyjął z kieszeni kluczyki i rozkuł Gibbonsa. – Odwróć się – rzekł do Augustine'a.

- Chwileczkę, Jimmy, robisz...

Ale McCleery nie czekał. Obrócił go siłą, wygiął mu jedną rękę do tyłu, zatrzasnął na niej obręcz, potem zrobił to samo z drugą i zamknął kajdanki. Chwył łańcuch i pociągnął do góry, tak że Augustine musiał się nachylić.

Gibbons uśmiechnął się jak krokodyl. Co za cudowny widok: Jego Eminencja traktowany brutalnie, jak byle złodziej.

– Robicie wielki błąd – odgrażał się Augustine, obracając głowę, by na nich spojrzeć. Miał srogą minę. Ale oni już go nie słuchali.

- Dobra robota, McCleery.
- Dzięki za uznanie.
- Może zobaczymy, co porabia Tozzi?
- Naturalnie. Poinformuję podejrzanego o jego prawach po drodze.

Zbieraj się, Tom. – Pociągnął za łańcuch, zmuszając Augustine'a do marszu.

Gibbons podniósł z ziemi glocka i ruszył za nimi.

Kiedy dotarli do Grand Street, było tam tyle suk i gliniarzy, że Gibbons mógłby przysiąc, iż zjawiła się cała nowojorska policja. Mundurowi spisywali zeznania wrzeszczących, złorzeczących, wyrwijających sobie włosy z głowy kierowców. Kolejna ich grupa otaczała białą furgonetkę zaparkowaną naprzeciw La Bell' Isola Ristorante. Gibbons mógł się tylko domyślać, co się dzieje na Canal Street. Rzecznicy ubezpieczeniowi będą mieli sądny dzień.

Ruszyli w kierunku furgonetki, przedzierając się przez tłumy ciekawskich. Tozzi opowiadał coś sierżantowi. Skuty kajdankami karzeł stał oparty o maskę samochodu policyjnego, jęcząc, płacząc i śliniąc się. Dywan leżał tam, gdzie go Tozzi upuścił.

– Ej, Toz, mam dla ciebie prezent. – Gibbons pokazał mu glocka. Skinął głową na Augustine'a. – Jego też możesz sobie wziąć.

Kiedy gliniarze zobaczyli, kim jest aresztowany, o mało nie posrali się w gacie.

– Panie prokuratorze! – wyjąkał sierżant. Jakby ten pierdolony skurwiel był papieżem.

– To pomyłka, straszna pomyłka. – Augustine miał pomarszczoną twarz, jego oczy ciskały pioruny. Gadał o tej pomyłce jak papuga.

Tozzi podszedł do niego.

– Jak się masz, Tom? – Zaczaj mu szperać po kieszeniach.

– Co ty wyrabiasz? – Augustine znowu przemówił z wysoka.

– Szukam czegoś.

– Proszę przestać, pan nie ma prawa – rozkazał sierżant.

Gibbons pokazał mu swoją legitymację.

– Ale ja mam prawo. – Spojrzał na Tozziego. – Dokończ.

Sierżant zrobił oburzoną minę, ale się nie odezwał.

– Już go obszukałem – powiedział McCleery. – Mamy jego broń.

– Szukam czego innego. – Tozzi nadal przetrząsał kieszenie Augustine'a, podciągając go do góry za klapy.

Augustine kipiał z wściekłości, wydawał dziwne odgłosy, jakby potrzebował naoliwienia, łypał oczami. Najwyraźniej nie był nawykły do obławiania.



– To jest łamanie prawa, sierżancie, ja doma...  
– O, jest. – Tozzi znalazł to, czego szukał, w wewnętrznej kieszeni jego palt. Próbką dywanu w orientalny wór, postrzępiony kawałek, mniej więcej piętnaście centymetrów na piętnaście.

– Przepraszam bardzo – rzekł do otaczających go policjantów i podszedł do leżącego koło furgonetki dywanu. – Gib, pomóż mi.

Razem rozwinęli cały dywan na ulicy. W tłumie szeptano. W jednym z rogów brakowało wyciętego kawałka. W tym miejscu widać było szarą plastikową warstwę, zaklejoną w jednym miejscu taśmą. Tozzi ukląkł i wpasował w dywan znaną próbkę jak ostatni fragment układanki.

– I co ty na to, skurwysynu? – spytał Augustine'a, podnosząc wzrok. – Pasuje jak ulał.

– Co tam jest pod spodem? – odezwał się sierżant burkliwym, urzędowym tonem. Pewnie jeden z klanu McCleerych.

– Zobaczymy – odparł Tozzi. Złapał za róg taśmy i odkleił ją od plastiku. – Ma ktoś nóż?

McCleery miał szczyryk przy łańcuszku z kluczami. Tozzi otworzył ostrze i wbił je w nacięte uprzednio miejsce. Kiedy je wyciągnął, było pokryte białym proszkiem. Nagle zerwał się wiatr i zdmuchnął proszek.

– Co to? – spytał groźnie sierżant. Tozzi zerknął na niego.

– No chyba nie cukier puder, nie?

– Podrzucili mi ten kawałek dywanu – powiedział oburzonym tonem Augustine – i teraz próbują mnie zrobić.

McCleery znowu pociągnął do góry za łańcuch kajdanek i prokurator zgiął się wpół.

– Nie pogarszaj sprawy, hmm?

– Sierżancie, żądam, żeby mnie pan uwolnił. To wszystko jest ukarowane. Przecież pan tu stanowi prawo, niech pan coś zrobi.

Policjant zacisnął usta, patrząc na dziwną pozycję Augustine'a. Zastanawiał się. Zerknął na Gibbonsa, a ten wzruszył ramionami.

– Czterdzieści kilo – rzekł. – Czyściutka heroina. Jak pan nie wierzy, niech pan sam sprawdzi. Jeśli nie chce pan zapuszkować naszego drogiego prokuratora, to my go weźmiemy.

Sierżant nie namyślał się dłużej.

– Zwińcie dywan – rozkazał swoim ludziom. – A podejrzanego zabrać na posterunek. Tam wszystko wyjaśnimy.

Dwóch policjantów wzięło Augustine'a pod pachy i postawiło go w pozycji pionowej. Obląkany lord Faunteroy\* próbował stawić opór, ale nie był równorzędnym przeciwnikiem dla chłopców w mundurach.

\* Bohater jednej z powieści Frances E. Hodgson Burnett, dziecko o nienaganych manierach i ubiorze – przyp. tłum.

– Tom, daj już spokój – zagruchał mu w ucho McCleery. – Pojadę z tobą, żebyś im bzdur nie nagadał. – Obrócił się ku Tozziemu i Gibbonsowi. – Jedzicie?

Gibbons pokręcił głową.

– Bierz go sobie, jest twój.

Tozzi wzruszył ramionami.

– Formalnie rzecz biorąc, wciąż jestem zawieszony. Chętnie bym pomógł, ale...

– W takim razie jego głowa ozdobi moją ścianę – odparł McCleery.

Augustine wciąż utrudniał.

– Śmiejesz się, McCleery? Zobaczmy, czy później będziesz się śmiał. Załatwię cię, wszystkich was załatwię. Wy nawet nie wiecie, co ja mogę. Nie...

Nagle urwał i spurpurowiał. Patrzył ponad tłumem na drugą stronę ulicy. Gibbons spojrział w tym kierunku. W wejściu do budynku stał staruszek o twarzy pokerzysty oraz wesoły niegdyś grubas, Zucchetti i Salamandra.

– To wszystko wasza wina! – ryknął Augustine ponad głowami zebranych ludzi, znów wykrzywiając twarz. – Myślicie, że na wszystkim się znacie, a schrzaniłście to. Nie słuchaliście, co się do was mówi! Wy i ten wasz upór, ta głupia chłopska mentalność – to właśnie wasz problem! Was wszystkich. Sami to zniweczyliście. Wszystko by poszło, jak należy, ale wy to zepsuliście. Jesteście tylko uwalanymi gnojem wieśniakami. Byłem dla was za dobry!

Augustine nadal wygłaszał swoją tyradę, kiedy policjanci podprowadzili go do samochodu i, przycisnąwszy mu głowę do dołu, wepchnęli go do sukii. Gibbons nie mógł zrozumieć, dlaczego prokurator otwarcie przyznał się do związków z Sycylijczykami. Czy zgłupiał zupełnie, czy może błyskawicznie wymyślił sobie linię obrony opartą na niepoczytalności? Z Augustine'em nigdy nic nie wiadomo, to sprytny skurwiel.

Jeden z krawężników przecisnął się przez tłum, niosąc nad głową rolkę taśmy maskującej. Podał ją innemu, który ukląkł i zalepił nacięcie w plastikowej powłoce, żeby nie stracić nic więcej z dowodu rzeczowego. Następnie

obaj zwinęli dywan, zarzucili go sobie na ramiona i ruszyli do samochodu. Z całym tym hałasem i zamieszaniem panującym dokoła dywanu, Grand Street robiła wrażenie tureckiego bazaru w dzień powszedni.

Gibbons zerknął w kierunku restauracji, gdzie stali Zucchetti i Salamandra, odprowadzający bolesnymi spojrzeniami swoje osiemdziesiąt milionów dolarów. Grubas nachylił się do szefa i szepnął mu coś do ucha. Starszek wysunął dolną wargę, wzruszył ramionami i pokręcił głową. Po chwili obaj weszli do budynku. Gibbons spojrzął na okna na trzecim piętrze. W jednym ktoś opuszczał zasłonę. Na słupie telefonicznym atrapa cukierka bujała się na wietrze wśród tańczących w zwariowanym tempie, lśniących srebrem girland.

## 25.

„...**Z**imno tu na Times Square, ale jest wspaniała atmosfera. Do północy zostało nam dokładnie szesnaście minut i wtedy to owo wielkie czerwone jabłko, które widzicie teraz państwo na swoich ekranach, zjedzie w dół, wprowadzając nas w Nowy Rok”.

Kamera znów pokazała Dicka Clarka, stojącego na jakimś dachu na Times Square, trzymającego mikrofon i odmrażającego sobie dupę.

– Nigdy nie lubiłem tego faceta – rzekł Gibbons, kiedy Tozzi podał mu kolejną butelkę piwa.

Tozzi usiadł obok niego na kanapie.

– Dlaczego?

– Nie wiem, po prostu. Co on takiego świetnego robi? Zupełne beztalencie.

Tozzi sączył piwo z butelki.

– On jest producentem. On odkrywa talenty. Dlatego jest taki bogaty.

– No to co? To, że jest bogaty, nie znaczy, że trzeba go oglądać w telewizji.

– No to co chcesz? Mam zmienić kanał? Chcesz Guya Lombardo i jego Królewskich Konnych?

– Guy Lombardo nie żyje.

– Och, bardzo mi przykro.

Tozzi uśmiechał się zza butelki. Gibbons wiedział, o czym on myśli. Tozzi uważał go za dinozaura. Uważał, że takie „zgredy” jak on lubią

Guya Lombardo i Lawrence'a Welka, tego rodzaju pierdoły. No cóż, problem z facetami w wieku Tozziego, z „młodymi geniuszami”, polega na tym, że oni uważają, iż ich pokolenie to jest to. Wszyscy, którzy byli przed nimi, to era filmu niemego, a wszyscy, którzy następują, to tylko przypis. Gibbons wypił piwo jednym haustem i zdecydował, że nie będzie odpowiadał na zaczepki tego dupka. Jest sylwester i siedzą w domu Lesley Halloran. Nie ma zamiaru zaczynać teraz z Tozzim. Ani po temu czas, ani miejsce. Tozzi rozparł się wygodnie. W ręku trzymał pilota.

– Oglądasz czasem MTV?  
– Ty chyba szukasz guza?  
– Nie, skąd. Pomyślałem tylko, że pokazałbym ci, co dzieje się teraz na świecie.

– Wiem o niebo więcej, niż ty będziesz wiedział kiedykolwiek, szczy-  
lu.

– Daj spokój, Gib. Co się tak jeżysz? Jest sylwester.

– Tak, a ty teraz jesteś taki mądry dupek, co? Szkoda, że taki nie by-  
leś, kiedy cię zawiesili.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że to była moja wina? Nie prosiłem  
Augustine'a, żeby mnie wrabiał.

– Nie, ale podłożyłeś mu się. Przez ten swój długi język. Podałeś mu  
się na tacy.

– Na jakiej tacy, co ty gadasz? Gdyby nie ja, Augustine nadal cho-  
dziłby wolny po świecie i pracował dla makaronów. Dzięki mnie jest udu-  
piony, nie wykręci się sianem. Posiedzi, i to długo.

– Wcale nie dzięki tobie.

– Ej, a kto znalazł heroinę? Kto położył na niej łapę, żeby go potem  
za nią mogli posadzić?

Gibbons spojrzął na Tozziego oburzony.

– Zaraz, zaraz, chwileczkę. Pytasz, kto znalazł heroinę? Cholera ja-  
sna! A kto ci powiedział, gdzie ona jest? Kto? Przypadkiem nie ja?

– Dobra, ale kto nadstawił karku, że...

– Znowu się sprzeczacie?

Do pokoju weszły Lesley i Lorraine. Niosły butelkę szampana i cztery  
wysokie, wąskie kieliszki.

– Bez przerwy skaczą sobie do gardeł – powiedziała Lorraine zmę-  
czonym głosem. – Cud, że jeszcze się nie pozabijali.

Tozzi pokręcił głową.

– Ty nic nie rozumiesz. Nigdy nie rozumiałaś. My wcale nie skaczymy sobie do gardeł. Gdybyśmy to robili, od razu byłoby widać.

– Tak, bo ja bym wygrał – rzekł Gibbons.

– Gówno prawda.

– Toz, jesteś taki wku... pam-param-pam, bo rozwiązałem tę sprawę i uratowałem twój tyłek, a nie chcesz mi tego przyznać.

Tozzi uniósł się na kanapie i zajął Gibbonsowi w twarz.

– No, teraz to ty naprawdę szukasz guza.

Lorraine klapnęła na kanapę między nich.

– Trzeba ich rozdzielić, kiedy dochodzi do tego – powiedziała do Lesley. – Są jak dzieci.

Lesley roześmiała się. Był to jej pierwszy szczery śmiech, jaki Gibbons słyszał od hecy na Grand Street. Cały wieczór była spięta i nieswoja, zbyt często się uśmiechała udając, że wszystko jest w porządku. Przeszła piekło i to jeszcze wcale nie był koniec. Patricia miewała koszmary, budziła się w nocy, łaźniła zapłakana po domu, szukając matki. Lesley zabrała ją do psychiatrii. Doktor powiedział, że i tak mają szczęście, bo dziecko mogło przeżyć to znacznie gorzej. Po porwaniu Nemo namówił małą, żeby zażyła jakiś środek uspokajający. Znaleźli w furgonetce butelkę po tym specyfiku. Większą część tego koszmaru przespała. Gibbons zastanawiał się jednak, jak mała będzie reagować na postaci karłów występujących w bajkach i filmach.

Lesley nalała szampana do dwóch kieliszków i podawszy jeden Lorraine, usiadła obok Tozziego, biorąc go pod rękę. Na początku Gibbons nie bardzo ją lubił, ale okazała się równa. Jak większość ludzi, zołzowatością maskowała jedynie kompleksy i brak pewności siebie. Wydawała mu się teraz nawet ładniejsza niż przedtem. Była wprawdzie niewysoka, a Gibbons nigdy nie widział nic szczególnego w niskich kobietach, ale nadrabiała to czym innym. Przystojna, ma poukładane pod kopułą. Za dobra dla Tozziego.

Przeniósł wzrok na profil Lorraine, patrzącej na Dicka Clarka na ekranie. Wyglądała dzisiaj świetnie, z tymi grzebykami w długich ciemnych włosach. Nigdy jej jeszcze nie widział w tej seksownej sukni, choć kiedy się dziś ubierali, przysięgała, że ma ją już wiele lat. Odsłaniając po same

uda założone jedna na drugą nogi, stuknęła szpilką w stół. Tak, nieźle z niej dziś laska. Niewiele kobiet wygląda tak dobrze w wieku pięćdziesięciu jeden lat. I niewiele w wieku dwudziestu dziewięciu. To niemożliwe, żeby była spokrewniona z Tozzim. Za wiele w niej klasy, a w nim za mało. Pewnie go znaleźli w kuble na śmieci, jak płynął z prądem rzeki.

– Chyba nie mówisz tego poważnie, co? – spytał Tozzi, wychylając się zza Lorraine.

– Czego?

– Że to ty rozwiązałaś tę sprawę.

– Oczywiście, że ja.

– Idź w cholerę.

Lorraine dźgnęła Tozziego łokciem.

– Może w końcu przestaniecie? Chcecie znać moje zdanie? Uważam, że obaj spieprzyliście robotę, bo nie złapaliście Zucchettiego.

– Aaa, tak – odparł Tozzi tonem obrony – łatwo ci mówić. Zucchetti nawet nie dotknął dywanu. Nie mamy nic, co by go z nim wiązało. Trzymał się z daleka od narkotyków, wielcy szefowie zawsze tak robią.

– Tak, ale to największa fisza. To jego powinniście złapać, żeby zatrzymać przemyt.

– Masz absolutną rację, Lorraine, ale nie mamy przeciw niemu żadnych dowodów.

Lesley odstawiła kieliszek na stół.

– Mam trochę wyrzutów sumienia i wiem, że nie powinnam tak mówić, ale głęboko w sercu nie czuję nienawiści do Zucchettiego. On uratował Patricję.

– Tak, z tymi staromodnymi mafiosami tak czasem bywa – rzekł Tozzi. – W przeciwieństwie do nowych – takich zbójów jak Nemo – starzy są naprawdę „ludźmi honoru”. Mają swoje zasady i starają się ich przestrzegać.

– Naoglądałaś się za wiele powrotów „Ojca chrestnego”, Tozzi. W tym ludziach nie ma nic szlachetnego. To najgorsze łajno, parszywe typy, ot i wszystko.

– Nie zgadzam się.

– Bo jesteś idiotą.

Tozzi machnął ręką.

– Wierzysz w to, w co chcesz wierzyć, zakuty łbie.  
– A co będzie z procesem Figara? – spytała szybko Lorraine. – Wiem, że sędzia zarządził unieważnienie procesu z racji związku Augustine'a z Sycylijczykami. Ale czy to oznacza zupełny koniec?

Gibbons pokręcił głową, opierając się o kanapę.

– Zacznie się od nowa, tyle że pojawią się nowe twarze, Nemo i Augustine. No i jest nowy dowód, śliczny dywan, a w nim czterdzieści kilo towaru.

– Tak, ale jednej twarzy zabraknie – powiedziała Lesley. – Mojej. Poinformowałam pana Salamandrę, że powinien sobie poszukać nowego obrońcy.

Gibbons uśmiechnął się zadowolony. Ona mu się coraz bardziej podobała.

– Jak myślicie, jak sprawa pójdzie za drugim razem? – spytał Tozzi.

– Salamandra będzie w znacznie gorszej sytuacji – odparła Lesley – bo za sprawą Augustine'a dywan znalazł się pod jego drzwiami. Z drugiej strony może będzie bardziej skłonny do ugody sądowej. Podejrzewam, że za zmniejszenie kary będzie zeznawał przeciw Augustine'owi. Prokuratura na pewno pójdzie na to, bo tak naprawdę zależy im tylko na Augustine, żeby pokazać opinii publicznej, że nie kryją swoich. Natomiast Salamandra to tylko jeszcze jeden gruby mafioso, jak inni, o których co jakiś czas piszą w gazetach. Ludzie szybko o takich zapominają. Augustine to co innego – gwiazdor, upadły anioł. Musi zostać ukarany. I, niestety, Salamandra może dostać stosunkowo niewielki wyrok, jeśli go wkopie. Nie zdziwiłabym się, gdyby go w ogóle nie posadzili.

– Skurwiel – powiedział Gibbons, podnosząc butelkę do ust.

– A Nemo?

– Ten śmieć? – Głos Lesley zmatowiał na wspomnienie porywacza córki. – Podobno nadaje prokuratorom jak nakręcony. Powiedział im wszystko o Augustine: jak Augustine przyznał się, że zabił Giordana, Marty'ego Blooma i dwóch agentów, jak przedstawił Augustine'a Zucchetiemu i Salamandrze w jakimś gospodarstwie na Sycylii, jak Augustine zmusił go do porwania Patricii. – Urwała. Czuć było jej ślepy gniew. – Podobnie jak Salamandra, może wyjść czysty, bo będzie zeznawał przeciw Augustine'owi. Słyszałam nawet, że opowiedział im o jakimś rytualnym morderstwie, którego Augustine dokonał podczas tego spotkania na Sycylii.



Podobno Sycylijczycy chcieli go wypróbować i kazali mu udusić jakiegoś urzędnika, którego porwali. Włoskie władze chcą ekstradycji Augustine'a, żeby go postawić przed sądem za morderstwo. – Lesley zatrzęsa się z gniewu. – Nemo zostanie uznany za biedną ofiarę nałogu i skurwiel wykręci się sianem.

– Oj nie – rzekł Tozzi. – Porwanie to przestępstwo federalne, wiesz przecież. FBI ma zamiar wytoczyć mu osobną sprawę. Może się wywinąć od zarzutów o handel narkotykami, ale posiedzi za porwanie Patricii. Bądź spokojna.

Lorraine zmarszczyła brwi.

– Naprawdę myślicie, że Augustine pójdzie do więzienia? Do prawdziwego więzienia? Tacy jak on idą do tych hotelików prowadzonych na koszt Departamentu Sprawiedliwości.

Gibbons pokręcił głową.

– Do hotelików idą kanciarze giełdowi, oszuści w garniturkach. Augustine idzie siedzieć za morderstwo. Może udawać, że jego gówno nie śmierdzi. Może sobie siedzieć w swoim pałacyku ze srebrną zastawą na długim stole i opowiadać dziennikarzom, że to jakaś straszliwa pomyłka wymiaru sprawiedliwości i że nie ma żadnych dowodów przeciwko niemu, ale możecie mi wierzyć, jest ujebany na dobre i te napuszone wywiady, których udziela, wcale mu nie pomogą. Ci z balistyki stwierdzili, że łuski znalezione w domu wuja pochodzą z dwóch glocków, które miał przy sobie, jak go zapuszkowaliśmy. Powinien się jak najszybciej przyzwyczać do korzystania z kibla bez deski sedesowej, bo tak właśnie będzie się wypróżniał do końca życia. – Gibbons zerknął na wielkie oświetlone jabłko na ekranie. – Tak, kiedy Dick Clark ogłosi nadejście nowego wieku, nasz Tom będzie to oglądał w pierdlu. I to nie będzie jego ostatni sylwester w tym miejscu.

– A co z Jimmym? Czy on zostanie o coś oskarżony? Augustine się nim wysługiwał.

Gibbons zazgrzytał zębami, jak zawsze kiedy Lorraine wymawiała to imię.

Tozzi zdjął nogi ze stolika.

– McCleery? Był jednym z lojalnych giermków Augustine'a. Wykonywał rozkazy, ale tak naprawdę Augustine nigdy nie kazał mu zrobić niczego, co byłoby wbrew prawu.

– Nawet gdyby mu kazał, to ten i tak by się nie spostrzegł, durny palant.

– Możesz przestać? – Lorraine posłała Gibbonsowi jedno z tych swoich wymownych spojrzeń.

Gibbons opróżnił butelkę do reszty.

*Po cholerę ona go broni?*

– Pozwól, że ci coś powiem, Lorraine. Gdyby nie ja, McCleery byłby teraz oskarżony razem ze swoim szefuniem. To ja pozwoliłem mu go aresztować, to dzięki mnie ten kretyn wypadł jak bohater. I dzięki temu nie poszedł na dno. Nienawidzę złamasa, ale mu pomogłem. Widzisz? Widzisz, ile we mnie jest humanitaryzmu? Więc oszczędź mi tych min i lepiej poznaj fakty.

Ale ona znów zrobiła tę swoją minę. Co jest? Czy ma go dosyć? Czy śni o tym dupku McCleerym i jego pieprzonej poezji?

Z telewizora popłynął spotęgowany ryk tłumu. Dick Clark trzymał w ręku słuchawki, wrzeszcząc coś do mikrofonu, gdy tymczasem kamera przesunęła się w bok, żeby objąć gromady idiotów zebranych na Times Square. Następnie ukazało się wielkie jabłko na słupie i zaczęło się odliczanie: „Dziesięć, dziewięć, osiem...” – Lesley szybko napełniła cztery kieliszki – „...siedem, sześć, pięć, cztery...” – Lorraine wyjęła Gibbonsowi butelkę piwa z ręki i wcisnęła mu kieliszek – „... trzy, dwa, jeden, juuuuż!”

Stuknęli się we czworo kieliszkami i wypili za Nowy Rok. Lesley i Tozzi zamknęli się w czułym, mocnym uścisku. Gibbons objął żonę ramieniem, ale zanim pozwoliła się pocałować, posłała mu jeszcze jedno kąśliwe spojrzenie. Myśli o McCleerym, wiedział o tym. Co za kurewski początek roku.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Gib – powiedział Tozzi, wyciągając dłoń.

Gibbons ją uściskał.

– Nawzajem, mistrzu.

Lorraine i Lesley uściskały się ponad ramieniem Tozziego. Gibbons zastanawiał się, jak ma się zachować wobec pani mecenas. Podać jej rękę czy co?

Lesley wstała i ruszyła w jego stronę, obchodząc kanapę. Przysiadła na skraju obok niego i posłała mu lekki uśmiech, jakby znała jego myśli, po czym objęła go ramieniem i uściskała.

– Szczęśliwego Nowego Roku, twardzielu.  
– I pani życzę tego samego, droga pani mecenas. – Odwzajemnił uścisk i jego ramię praktycznie całkiem pokryło jej plecy, taka była mała. Mała, ale za to w porządku.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała nagle. – Zajrzę tylko do Patricii.

Kiedy wyszła, Tozzi nachylił się do Gibbonsa.

– Ona wciąż nie może zapomnieć o porwaniu – powiedział. – Nie pozwala nawet małej samej iść do łazienki.

– Dziwisz się jej? – Tym razem Lorraine spojrzała gniewnie na Tozziego.

– Jasne, że nie. Dlatego często tu bywam. Wiecie, żeby czuła się bezpieczniejsza.

Teraz z kolei Gibbons spojrzał na niego wymownie. Komu on wciska te pierdoły?

Lorraine odstawiła kieliszek, wstała i rozprostowała kości.

– Czas zmykać? – spytał ją Gibbons.

Skinęła głową.

– Chyba tak, jestem zmęczona.

Gibbons patrzył na nią, jak zbiera puste butelki po piwie i kieliszki i wychodzi do kuchni.

*Zmęczona, co? Czy to znaczy to, co myślę? Tak się pani śpieszy do tego, że nie chce pani zostać nawet na jeden taniec?*

– Zabierzesz się z nami do domu? – spytał Tozziego.

– Nie, dzięki, zostanę tu dziś na noc.

Gibbons pokręcił głową.

– Wiedziałem, że prędzej czy później do tego dojdzie. Z tobą to tak zawsze.

*Ma skurwiel farta.*

– Wiesz co, Gib? Zrobił się z ciebie staruch o nieczystych myślach. Mówiłem ci już, że Lesley nie doszła jeszcze do siebie po porwaniu, że jestem tu potrzebny, żeby nie była sama, żeby zrozumiała, że ćpuny nie będą się do niej włamywały przez okno co noc.

– Wymyśl coś lepszego, dobra?

– Przysięgam na grób mego wuja. Śpię tu na kanapie.

– Wierzę, razem z nią.

Tozzi nie mógł powstrzymać łobuzerskiego uśmiechu. Gibbons parsknął i pokręcił głową.

Lesley wróciła razem z Lorraine i powiedziała, że dziewczynka śpi. Była przy tym tak szczęśliwa i uspokojona, że Gibbons pomyślał, iż Tozzi w gruncie rzeczy ma rację. Naprawdę się bała, że cwaniaczki będą włączyć do niej przez okno.

Gibbons i Tozzi podnieśli się z kanapy i wszyscy czworo ruszyli do drzwi, tak jak to robią ludzie, którzy idą do domu, a więc powoli, nie śpiesząc się, przeciągając rytuał w nieskończoność. Lesley przyniosła im palta i oto nagle znalazły z Lorraine mnóstwo tematów do rozmów. To kolejny z tych tajemniczych kobiecych nawyków, którego Gibbons nigdy nie mógł zrozumieć. Jeśli mają sobie tyle do powiedzenia, to dlaczego nie zaczęły wcześniej? Potrzebowały na to – ile? – aż pięć godzin? Jezu.

W końcu się pożegnały i wyszły. Drzwi się zamknęły. Gibbons i Lorraine znaleźli się sami na klatce.

- Miło było – powiedziała, ruszając do windy.
- Tak.

Wcisnął przycisk, zerkając na nią kątem oka. Myślał o Tozzim i o Lesley na kanapie.

- Co jest? – spytała nagle.
- Co? Nic.
- Co mi się tak przyglądasz?
- Jak?

Znów rzuciła mu to spojrzenie. Wyglądała jak typowa żona. Obrócił się ku niej, zawahał na moment i zdecydował. Co tam, niech to cholera.

– Guinness jest smaczny, koniczyna zielona, a najpiękniejsza na świecie moja kochana żona.

- Co?
- To poezja irlandzka. Powiedziałaś, że lubisz irlandzką poezję.
- Upiłeś się czy co?
- Nie. Powiedziałaś, że lubiłaś, kiedy McCleery recytował ci poezję. Więc napisałem irlandzki wiersz. Nie podoba ci się?

- Myślisz, że się w nim podkochuję, prawda?
- Eee, no nie... może tak to nie. Ale przecież powiedziałaś, że go lubisz... czy też lubiłaś, czy coś w tym stylu.

Na jej twarzy pojawił się rzewny uśmiech.

- Oj, Gibbons – westchnęła.
- Ja nie jestem zazdrosny, nic takiego. Tylko... wiesz, jesteś taka słodka dla niego. Pomyślałem więc, że może ja też powinienem wycisnąć

z siebie trochę słodczy, że może uważasz, że jestem za szorstki.

Znowu westchnęła.

– Masz rację, rzeczywiście moim zdaniem Jimmy jest słodki. – Objęła go w pół. – Ale jak ktoś jest głodny i na szczęście ma główne danie, to po co mu słodczy?

Zerknął na nią spode łba i nagle się rozpromienił, żeby nie wyglądać jak stary, upierdliwy mąż.

– Szczęśliwego Nowego Roku, upierdliwcze – powiedziała, jakby czytała w jego myślach, i przyciągnąwszy go ku sobie, pocałowała, i to fest.

Nagle drzwi mieszkania Lesley się otworzyły.

– Ej, Gib? – Tozzi wystawił swój łeb.

Gibbons odrzucił głowę do tyłu i obnażył zęby.

– Czego? – warknął.

– Oj, eeee... Nie, nic, nieważne. – Drzwi się zamknęły.

Gibbons włożył ręce pod płaszcz Lorraine i objął ją mocno, podejmując na nowo przerwany wątek. Winda przyjechała i czekała na nich cierpliwie, ale im się nie śpieszyło. Byli zajęci. Uśmiechnął się jak krokodyl pod pocałunkiem Lorraine, przesuwając rękami po tyle seksownej sukni, czując pod nią sedno sprawy, myśląc sobie, że o wiele przyjemniej jest obejmować wysoką kobietę.